



Margaret Moore



*Cygański
Kochanek*

Rozdział pierwszy

Anglia, 1204

Kółka kolczugi zabrzęczały metalicznym dźwiękiem, gdy sir Bayard de Boisbaston uniósł rękę, by zatrzymać swój zbrojny oddział.

- I jak ci się podoba zamek Averette, Fredericu? - zwrócił się do młodego giermka, wskazując na strzelistą budowlę po drugiej stronie zalesionej doliny.

Frederic de Sere spojrział przymrużonymi oczami na szarą kamienną fortecę wznoszącą się na szczycie łagodnego zbocza i niespokojnie poruszył się w siodle.

- Chyba nie jest zbyt potężny?

- Stąd tak się wydaje - zgodził się Bayard - gdyż barbakan i wieże, z których można obserwować drogę, znajdują się w obrębie murów. - Wskazał na baszty po obu stronach bramy. - Łucznicy widzą stamtąd każdego, kto się zbliża do zamku.

- Rozumiem, panie - rzekł Frederic, odgarniając z oczu pasmo jasnobrązowych włosów.

Drzewa i zarośla po obu stronach drogi zostały wykarczowane, a pozostały po nich pas ziemi porośnięty był paprociami. Podróżni mieli zatem czas na wyciągnięcie mieczy i przygotowanie się do obrony w wypadku, gdyby wrogowie lub rabusie próbowali zastawić na nich pułapkę. Nieżyjący już pan na Averette zyskał sobie sławę straszego człowieka, ale trudno byłoby odmówić mu rozwagi w sprawie zabezpieczenia obronności zamku.

Ruszyli dalej. Jechali teraz wzdłuż rzeki, nad brzegiem której rozpościerała się wioska. Minęli młyn z kołem obracającym się powolnym, nieprzerwanym ruchem. Z pobliskiego pastwiska dochodziło muczenie krów, kilka owiec skubało na łące trawę, w przydrożnych zagrodach słychać było gęganie gęsi i gdakanie kur. Wioska nie była duża, ale domy wydawały się porządne, a wieśniacy wyglądali na zdrowych i dobrze odżywionych. Z zaułka między kramem ze świecami a gospodą wybiegło kilkoro oberwanych dzieci, a za nimi rozszczekane kundle. Na szyldzie gospody szczyrzył zęby ogier. Stojąca przy drzwiach dziewczyna o rozłożystych biodrach patrzyła pożądliwie na rycerza i jego towarzyszy. Jeśli sądziła jednak, że właśnie znalazła klientów na swe usługi, czekało ją rozczarowanie.

Wokół głównego placu w wiosce stały kramy z różnymi towarami. Sprzedawcy i klienci przerywali swe targi, by przyjrzeć się przyjezdnym. Patrzyła na nich również grupa starszych mężczyzn siedzących pod dużym dębem przy kuźni, z której unosił się dym, a także dziewczęta i kobiety zgromadzone wokół studni. Dowódca oddziału był pewien, że wkrótce cała wioska zacznie o nich plotkować i że już niebawem ktoś przypomni sobie, iż słyszał niepoehlebne rzeczy o sir Bayardzie de Boisbastonie. Gdy po raz pierwszy pojawił się na dworze królewskim, miał szesnaście lat, był rozpieszczony, próżny i chciał za wszelką cenę zyskać rozgłos. I bez wątpienia udało mu się to.

Zatrzymał wzrok na piętnastoletnim Fredericu. Chłopak godnie siedział na koniu, patrząc przed siebie obojętnie, jakby w ogóle nie zauważał, że wraz z Bayardem przyciągają uwagę kobiet z wioski. Rycerz był jednak pewien, że w głębi duszy jego giermek doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Młodość zawsze była głupia i pewna siebie, ale pewnego dnia Frederic również się przekona, że rozgłos nie zawsze jest pożądany, a zdobycie kobiety nie musi oznaczać wielkiego triumfu.

Od strony zamku rozległ się ostrzegawczy okrzyk. Straże już ich zauważyły. Ze względu na wagę wiadomości, jakie miał do przekazania, Boisbaston chciał mieć jak najszybciej za sobą pierwsze spotkanie z panią zamku. Ponaglił swych ludzi, a sam spiął konia do galopu. Zbliżyli się do bramy.

Naraz spod wozu wypełnionego pustymi koszami wyskoczył chłopiec i niczym spłoszony bażant rzucił się ku furtce płotu po drugiej stronie drogi. Bayard zaklął i zatrzymał konia tak gwałtownie, że Danceur stanął dęba i zarżał. W tej samej chwili przy płocie pojawiła się kobieta. Szarpnęła furtką z taką siłą, że oderwała górny skórzany zawias, porwała dziecko w ramiona i umknęła na podwórze, patrząc na rycerza ponurym wzrokiem.

Śmiało odwzajemnił jej spojrzenie. Nie zrobił dzieciakowi żadnej krzywdy, a nawet gdyby tak się stało, nie byłby niczemu winny; chłopak wybiegł wprost pod kopyta konia. Miał ochotę zwrócić na to uwagę niewdzięcznej chłopce, ale w porę przypomniał sobie, jaki jest cel jego misji, i powściągnął złość. Przybył tu, by zaproponować pomoc, nie należało więc wzbudzać wrogości wieśniaków. Kilka monet powinno sprawić, by kobieta zapomniała o incydencie. Zsiadł z konia i podszedł do furtki.

Chłopiec miał nie więcej niż sześć lat. Patrzył na niego z wyraźnym strachem. Jego opiekunka, ubrana w prostą chłopską szatę z brązowej wełny i z lnianym welonem na lekko miedzianych włosach, spoglądała natomiast na rycerza z ponurym, zaciętym wyrazem twarzy. Nie była piękną, ale była od niej siłą charakteru. Bayard lubił niewiasty obdarzone charakterem, nie miał jednak ochoty stawić czoła jej złości.

Zza progu wyłonił się przysadzisty mężczyzna w samodziiałowej szacie. Jego zdumione spojrzenie powędrowało od Boisbastona do Frederica, na chwilę zatrzymało się na grupie jeźdźców na drodze, a potem zwróciło się ku kobiecie. Pewnie nigdy jeszcze nie widział rycerza z eskortą, a może zastanawiał się, skąd ów człowiek wziął się na jego podwórze.

Niewiasta oddała wieśniakowi chłopca, skrzyżowała ramiona na kształtnych piersiach i zwróciła się do przybysza bez odrobiny szacunku w głosie:

- Czego tutaj szukasz, panie?

- Kim jesteś, że ośmielasz się tak bezczelnie zwracać do szlachcica? - obruszył się Frederic.

- Spokojnie, chłopcze - ostrzegł go starszy towarzysz. Kobieta nie miała chłopskiego

akcentu. Zdradziła się z tym już pierwszym wypowiedzianym słowem.

Zdjął hełm, wsadził go pod pachę i skłonił się nisko.

- Bądź pozdrowiona, pani. Jestem Bayard de Boisbaston i przywożę ci wiadomości od twojej siostry.

Tak jak się spodziewał, w jasnozielonych oczach lady Gillian d'Averette błysnęło zdziwienie. Opanowała się szybko, nie próbowała jednak zaprzeczać.

- Cóż to za wiadomości i od której z moich siostr? - zapytała spokojnie, jakby codziennie przyjmowała rycerzy na podwórzu, ubrana w chłopski strój. Może zresztą rzeczywiście tak było.

Armand ostrzegwał go przecież, że siostra jego żony jest niezwykle osobą, choć nie wyjaśnił w szczegółach, na czym owa niezwykłość polega. Może pani na Averette miała zwyczaj rozmawiać o ważnych nowinach publicznie. Bayard jednak wolał tego nie robić.

- Sądzę, pani, że to nie jest odpowiednie miejsce do czytania listu, który ci przywożę - odrzekł.

Lady Gillian wydeła usta. Przez chwilę sądził, że znów mu się sprzeciwi, na szczęście jednak zmieniła zdanie.

- Dobrze - powiedziała i ruszyła przed siebie szybkim, śmiałym krokiem. - Zechciej, panie, pójść za mną - dodała przez ramię.

Armand nie wspominał o tym, że jego szwagierka, oprócz tego, że ubierała się jak chłopka, to w dodatku wydawała rozkazy tonem cesarzowej, tupała nogą niczym rozzłoszczony kupiec i nie była nawet w połowie tak urodziwa, jak jej siostra Adelaide. Nie obdarzyła też Bayarda powitalnym pocałunkiem. Nawet człowiek, który więził go we Francji, przywitał go życzliwiej. Boisbaston zdecydował się jednak zignorować tę nieuprzejmość. W końcu nie mógł się spodziewać, że zostanie tu przyjęty z otwartymi ramionami. Zamierzał jednak spełnić prośbę brata o przekazanie lady Gillian nowiny oraz o pozostanie w zamku dla jej ochrony.

* * *

Prowadząc rycerza, lady d'Averette zastanawiała się, jakież to wieści przywiózł jej ten arogant. Wątpiła, by były pomyślne.

Podobnie jak jej siostry - Adelaide i Elizabeth, dla bliskich Lizette - była podopieczną króla. Oznaczało to, że Jan bez Ziemi miał nad nimi pełną władzę. Mógł je wydać za mąż, jak uważał za stosowne, nie zważając na ich uczucia. Król Jan nie dbał o dobro i bezpieczeństwo tych, których oddano mu pod opiekę, podobnie jak nie dbał o lud zamieszkujący Anglię.

Miał zwyczaj oddawania posiadłości nieletnich dziedziców ludziom, którzy potrafili ogołocić je ze wszystkiego co cenne, nim prawowici właściciele dorośli. Gillian zastanawiała się, co takiego wymyślił teraz wobec niej i jej poddanych, i dlaczego przysłano do niej sir Bayarda. Gdyby Adelaide zachorowała, wysłałaby raczej sługę.

Czyżby król zdecydował się wydać którąś z nich za męża za tego właśnie rycerza? Modliła się, by tak nie było. Nie chciała wychodzić za męża, a już na pewno nie za aroganckiego szlachcica, który patrzył na wszystkich z irytującą wyższością. Spotkała już w życiu wielu takich jak on. Boisbaston był chyba przekonany, że jego ranga, postawa i atrakcyjna powierzchowność zbiją ją z nóg. Owszem, był przystojny, nie szpeciła go nawet cienka blizna biegnąca od kącika prawego oka aż do podbródka, Gillian jednak nie była już lekkomyślną młodką, łatwo poddającą się czarowi urodziwej twarzy.

Dotychczas tylko raz zdarzyło jej się spotkać rycerza, który był wielkoduszny, dobry i skromny i, co najdziwniejsze, bardziej interesował się nią niż jej siostrami. Ale było to wiele lat temu; James d'Ardenay już nie żył.

Znów zerknęła na sir Bayarda. Co widział, patrząc na Averette? Dochody i dziesięcinę? Chłopów gotowych walczyć w bitwach i ginąć za swego pana? Dla niej to był dom, któremu wieśniacy ciężką pracą zapewniali dostatek i bezpieczeństwo. Znała ich twarze, imiona, rodziny, marzenia i nadzieje. Na przykład młodego Davy'ego, który jak nikt inny interesował się historią wioski i jej mieszkańców, starego Davy'ego, który był dla niej jak rodzony dziadek, albo jego żonę, która opiekowała się małą Gillian bardziej niż chorowita matka. Znała piekarza i młynarza oraz dzieje ich długotrwałego konfliktu, Sama i Peg z gospody oraz ponurego sprzedawcę świec, który rzadko wypowiadał więcej niż trzy słowa naraz, a także pasterza Hale'a, ojca małego Teddy'ego, którego Boisbaston wcześniej omal nie stratował. Znała tu wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiety. Każdy z nich był inny. Niektórych lubiła bardziej, innych mniej, ale wszyscy byli jej poddanymi i miała obowiązek ich chronić, podobnie jak zamek i całą posiadłość.

I zamierzała dopełnić tego obowiązku bez względu na to, kto akurat zasiadał na tronie.

* * *

Gdy zbliżyli się do barbakanu, dziesięciu wojów wyjechało przed bramę i zablokowało wjazd, wystawiając przed siebie ostrza włóczy. Krata opadła i trzasnęły wewnętrzne wieże. Na murach pojawiło się kilku łuczników.

- Twoi ludzie, pani, są dobrze wyszkoleni - zauważył Bayard.

- To prawda - odrzekła Gillian z dumą i zawołała donośnym, czystym głosem: - Wszystko w porządku!

Boisbaston zauważył szybki błysk na twarzach wojów. Najwyraźniej nie wszystko było jednak w porządku. Być może te słowa miały oznaczać, że pani zamku nie widzi bezpośredniego zagrożenia, ale załoga powinna być przygotowana do walki.

Krata uniosła się powoli. Żołnierze cofnęli się i ustawili po obu stronach drogi. Gość posłusznie stanął obok lady d'Averette. Przeszli przez wartownię i znaleźli się za zewnętrznymi murami. Znajdował się tu plac do ćwiczeń dla załogi, ogrody, kuźnia oraz okrągły kamienny gołębnik. Bayard nie pomylił się, mówiąc Fredericowi, że część murów widoczna od strony drogi nie świadczy o wielkości fortecy. Twierdza miała kształt ły, z

barbakanem i wartownią na węższym końcu.

Przez grube dębowe wrota wjechali na wewnętrzny dziedziniec. Forteca wyglądała na zbudowaną w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, ale okrągła wieża za długim budynkiem była wyraźnie starsza. Ciemne ślady na murze pod otworami strzelniczymi świadczyły o tym, że płonęła już niejedną raz. To, że wciąż stała, było świadectwem umiejętności budowniczych, a także dobrej jakości zaprawy.

Wewnętrzne mury, oprócz części mieszkalnej zamku, chroniły kaplicę, magazyny i stajnie. Z dziedzińca wchodziło się wprost do wielkiej sali, zwanej świetlicą, połączonej korytarzem z kuchnią. Dwukondygnacyjny budynek na zachód od świetlicy mieścił zapewne komnaty przeznaczone dla rodziny, a być może także dla gości. Bayard jednak nie był pewien, czy nie przyjdzie mu spać w wielkiej sali razem z żołnierzami i męską częścią służby.

Panował tu niemal przesadny ład. Nigdzie nie zalegały sterty beczek, skrzyń ani koszy, nie widać było żadnego zepsutego wozu ani porzuconego przedmiotu; nawet stajnie musiały być często czyszczone, gdyż nie dochodziła stamtąd nieprzyjemna woń. Porządek w fortecy wywarł wrażenie na Boisbastonie, ale zadziwiła go panująca na dziedzińcu cisza i brak służby. Nikt nie wyglądał z okna ani zza drzwi, choć z pewnością wszyscy w zamku usłyszeli ich przyjazd. Albo tutejsi służący nie byli ciekawi gości, albo pani tego zamku rządziła swymi ludźmi żelazną ręką.

Połowa łuczników stojących na murze obróciła się i wycelowała naciągnięte łuki w stronę dziedzińca, na którym stała w pogotowiu jeszcze jedna grupa wojów dowodzona przez wysokiego mężczyznę o beczkowatej piersi i ponurym wyrazie twarzy. Był w zbroi, ale z gołą głową. Jego czarne włosy przetykane były siwizną. Patrzył na bramę takim wzrokiem, jakby gotował się, by własną pierśią odeprzeć atak. Gość przypuszczał, że to dowódca garnizonu.

- Pani - odezwał się żołnierz, omiatając Bayarda taksującym spojrzeniem.

Miał szkocki akcent. Interesujące, pomyślał rycerz. Szanował Szkotów; nabrał do nich respektu podczas kampanii we Francji, gdy król Jan próbował odzyskać utracone ziemie.

- Sir Bayardzie de Boisbaston, to jest Iain Mac Kendren, komendant garnizonu odpowiedzialny za wyszkolenie moich wojsk - wyjaśniła lady Gillian z cieniem uśmiechu na twarzy. Najwyraźniej lubiła tego Szkota. To również było interesujące. Większość niewiast traktowała żołnierzy, którzy je chronili, na równi z psami gończymi i sokołami używanymi do polowań.

- To dla mnie zaszczyt - skłonił się przybysz.

Komendant skwitował to krótkim prychnięciem. Boisbaston z trudem opanował irytację. Nie był przyzwyczajony do takiego traktowania. Armand powinien był go uprzedzić, co go tutaj czeka.

- Sir Bayard przywiózł wiadomości od lady Adelaide - dodała pani zamku.

- Ach, tak - mruknął Mac Kendren, marszcząc krzaczaste brwi.

- Tak - potwierdził gość ze zniecierpliwieniem. - Pani, twojemu dowódcy garnizonu należą się słowa uznania, skoro radzi sobie z tak odpowiedzialną funkcją, mając bardzo kiepski wzrok.

- Moje oczy są w porządku - zaprzeczył Szkot ze zdziwieniem. Rycerz z satysfakcją uniósł brwi.

- Sądziłem, że niedowidzisz, bo twoja kolczuga jest trochę zardzewiała na dole.

Iain opuścił wzrok i jego twarz poczerwieniała. Rzeczywiście, na skraju kolczugi widniały trzy plamki rdzy. Bayard uśmiechnął się szeroko.

- Chciałbym również zauważyć, pani, że nie wymieniliśmy jeszcze zwyczajowego pocałunku powitalnego.

Rozdział drugi

Bayard nie był pewien reakcji lady Gillian na wypowiedziane przez niego słowa, ale nie zdziwił się, gdy zauważył w jej oczach prowokujący błysk. Śmiało podeszła do niego, wspięła się na palce i serdecznie ucałowała go w oba policzki. Gdy się cofnęła, twarz miała zaróżowioną.

- Cóż za entuzjizm - zauważył kpiąco. - Kto wie, może jeszcze nadejdzie taka chwila, że będę zachwycony, iż wysłano mnie do Averette.

Rumieniec na jej policzkach pogłębił się. Spojrzała mu w oczy, ale w tej samej chwili wrota do zamku otworzyły się i stanął w nich mężczyzna w wieku Boisbastona. W długiej szacie zamiatającej ziemię sprawiał wrażenie księdza, choć nie miał tonsury, a spojrzenie, jakim obrzucił panią zamku, nie miało w sobie nic z pobożności.

Ta obserwacja zaintrygowała Bayarda. Najwyraźniej pomylił się, uznając kobietę za tę, która doskonale nadawałaby się na zakonnice. Nie miało to jednak najmniejszego znaczenia. Przybył tu, by wypełnić prośbę Armanda, a nie po to, by zabawiać się z niewiastami.

- Sir Bayardzie de Boisbaston, to jest Dunstan de Corley, ochmistrz Averette - wyjaśniła gospodyni. - Dunstanie, sir Bayard przywiózł wiadomości od Adelaide. Proszę, przejdź z nami do komnaty w wieży.

Na schodach zatrzymała się i odwróciwszy się, zawołała:

- Iainie, chciałabym, żebyś ty również poszedł z nami.

Szkot bez słowa dołączył do nich i razem przeszli przez świetlicę. Świeże, czyste powietrze na podłodze tłumiło odgłosy kroków. Tu również nie napotkali żadnego ze służących, natomiast wybiegły im na spotkanie charty, równie posępne i ostrożne jak żołnierze na dziedzińcu. Jeden z psów zaczął warczeć, ale krótka komenda lady Gillian natychmiast go uciszyła.

Z drzwi wiodących do kuchni wyjrzała młoda, rudowłosa i piegowata dziewczyna.

Gdy uświadomiła sobie, że ją zauważył, natychmiast cofnęła głowę. Może była po prostu nieśmiała. Bayard jednak zaczynał utwierdzać się w przekonaniu, że to domostwo nie jest radosnym miejscem.

Za przegrodą na drugim końcu sali kryły się kolejne drzwi, a dalej kilka schodków prowadziło do wąskiej, zadaszanej drewnianej kładki, która łączyła świetlicę z wieżą. Korytarzyk znajdował się jakieś pięć metrów nad ziemią. Wystarczyło go podpalić, a wówczas do wieży można byłoby się dostać jedynie po drabinie, jeśli ktoś zechciałby zaryzykować wystawienie się na grad strzał i kamieni oraz lejący się z góry wrzątek. Jeśli wewnątrz była studnia i zapasy żywności, można było się tam bronić przed atakiem całymi tygodniami.

Gillian otworzyła drzwi i zaczekała, aż wszyscy wejdą do środka. Rycerz zobaczył wokół siebie chropowate ściany z szarego kamienia. Spiralne schodki prowadziły w górę i w dół, gdzie zapewne znajdowały się magazyny i cele dla więźniów. W podobnym lochu spędził wiele miesięcy brat Bayarda, Armand, podczas gdy on sam przebywał w zamku diuka d'Ormonde, traktowany tam bardziej jak gość niż jak jeńiec.

W pomieszczeniu znajdującym się na wyższej kondygnacji, do którego wprowadziła ich pani zamku, nie było łóżka ani żadnego sprzętu, który świadczyłby o tym, że ktoś tu mieszka. Oddzielone od pozostałej części zamku, sprawiało wrażenie miejsca, w którym przechowywano księgi rachunkowe i najcenniejsze przedmioty. Wskazywała na to stojąca w kącie ciężka drewniana skrzynia okuta żelazem i zamknięta na solidny zamek.

Słońce oświetlało blat stołu pod oknem. Stał na nim lichterz z resztkami świecy, a obok niego leżało kilka piór, jakby ktoś próbował posprzątać to miejsce w pośpiechu. Resztę umeblowania stanowiły krzesło z wyściełanym siedzeniem i coś w rodzaju komody, gdzie przechowywano księgi, spisy dziesięcin i inne dokumenty.

Bayard sięgnął za pas i wyjął list, który Armand powierzył jego pieczy.

* * *

Próbując ukryć drżenie rąk, lady d'Averette wzięła od niego zwój pergaminu i podeszła do okna. Ufała Dunstanowi i Iainowi, obawiała się jednak, że jej twarz zdradzi zbyt wiele emocji. Przygotowując się w duchu na najgorsze, złamała pieczęć z błękitnego wosku i zaczęła czytać.

Adelaide wyrażała nadzieję, że wszyscy w Averette cieszą się dobrym zdrowiem. Pisała, że jest bardzo szczęśliwa, ale wyjaśni to później, a najpierw chce ostrzec Gillian.

Kobieta zaczęła czytać szybciej. Z kolejnych słów listu dowiedziała się, że jej siostra pomogła unicestwić skierowaną przeciwko królowi intrygę, która mogła prowadzić do buntu i wojny domowej.

Niestety, jednemu z konspiratorów udało się umknąć i Adelaide obawiała się teraz o bezpieczeństwo sióstr. Napisała również do Lizette, prosząc ją o natychmiastowy powrót do domu. Sir Bayarda de Boisbastona, któremu powierzyła przekazanie tej wiadomości, opisała

jako wprawnego w walce rycerza, mistrza wielu turniejów i weterana królewskiej kampanii w Normandii. Wedle jej życzenia powinien pozostać w zamku, dopóki wszyscy zdrajcy nie zostaną pochwyteni i wtrąceni do więzienia lub zgładzeni.

Gillian rzuciła szybkie spojrzenie na Bayarda, który stał z rękami splecionymi z tyłu i spokojnie mierzył całą grupę wzrokiem zdobywcy. Jeśli sądził, że uda mu się rządzić nią tutaj, w jej własnym domu i wśród jej poddanych, to był w wielkim błędzie.

Mocniej zacisnęła palce na pergaminie i powróciła do czytania.

Z dalszych słów listu wynikało, że przybyły do zamku rycerz był bratem przyrodnim lorda Armanda de Boisbastona, męża Adelaide, najdzielniejszego, najuczciwszego, najodważniejszego i najlepszego człowieka na świecie.

Oślupiała Gillian przez dłuższą chwilę wpatrywała się w skreślone na pergaminie zdania. Jej starsza siostra wyszła za mąż?! To było niemożliwe, po prostu niemożliwe. Ona nigdy by czegoś takiego nie zrobiła! Nie pozwoliłaby, by jakikolwiek mężczyzna rządził nią i traktował jak swoją własność, pozbawiwszy prawa głosu. Prędzej można było się spodziewać, że Lizette złamie ich wspólną przysięgę, ale nie Adelaide, która sama zaproponowała te śluby, wymieniając liczne powody, dla których kobieta nie powinna wychodzić za mąż! A nawet gdyby to wszystko było prawdą, choć wydawało się zupełnie nie do pomyślenia, siostra przyjechałaby tu sama. Z pewnością nie przysyłałaby obcego człowieka, rzekomo po to, by pomógł chronić zamek.

„Armand zgodził się, by Averette pozostało pod twoją pieczę - pisała. - Ma własne posiadłości na północy, które, jak twierdzi, w zupełności mu wystarczą. Wierz mi, Gillian, na całym świecie nie ma lepszego człowieka”.

Nie potrafiła w to uwierzyć. Znała moc zauroczenia i potęgę miłości, wyraźnie też czuła, że Adelaide jest zakochana po uszy. Ten Armand de Boisbaston zapewne chciał tylko zyskać na czasie, nim rzuci się na ich posiadłość jak sęp, zwłaszcza że przysłał tu już swego brata przyrodniego, by zapewnić sobie wsparcie.

Dunstan zbliżył się do niej z troską na twarzy.

- I cóż pisze Adelaide? Czy jest chora?

Gillian potrząsnęła głową i podała mu list.

- Nie. Pisze, że czuje się dobrze. Ale czy sądzisz, że ten list został napisany przez moją siostrę?

- Wygląda na jej pismo - mruknął i zaczął czytać. Po chwili również i na jego twarzy pojawiło się osłupienie.

- Wyszła za mąż? - wyjąkał, wpatrując się w sir Bayarda. - Za twojego brata?

- Przyrodniego brata.

Przyrodni czy rodzony, co to za różnica, pomyślała Gillian.

- Kto wyszedł za mąż? - zapytał Iain ze zdumieniem. Rycerz zacisnął zęby, po czym odezwał się równym głosem:

- Lady Adelaide poślubiła niedawno mojego przyrodniego brata, królewskiego rycerza, lorda Armanda de Boisbastona.

- Kiedy, jak?

- Cztery dni temu - wyjaśnił Bayard wciąż tym samym spokojnym tonem. - Wszystko odbyło się wedle zwyczaju. Ja sam nie byłem świadkiem tego wydarzenia, bowiem tuż po nim wróciłem z Francji, ale mogę was zapewnić, że ślub się odbył, a państwo młodzi są w sobie bardzo zakochani. Tak bardzo, że Armand zrzekł się wszelkich praw do Averette.

Lady Gillian uświadomiła sobie, że gość nie jest w stanie zrozumieć postępowania swego brata. Ona zresztą też nie mogła tego pojąć.

- Czy ktoś słyszał kiedyś o władcy, który dobrowolnie zrzeka się prawa do jakiejś posiadłości? - zapytała ze zdumieniem.

- Bez względu na to, co my wszyscy o tym myślimy, taka jest umowa między Armandem a jego żoną - odrzekł Boisbaston. - I jako człowiek honoru będzie jej przestrzegał. Ja zaś daję moje słowo, słowo królewskiego rycerza, że ten list naprawdę pochodzi od twojej siostry, pani, i że grozi wam niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo? - zdumiał się Iain. - Jakie niebezpieczeństwo?

Gdy Gillian powtórzyła mu to, co Adelaide pisała o spisku i o konieczności pozostania sir Bayarda w Averette, on i Dunstan popadli w irytację.

- Jak długo? - zapytał komendant.

- Dopóki mój brat i jego żona nie uznają, że mogą opuścić ten zamek - odrzekł rycerz.

- A czy ja nie mam tu nic do powiedzenia? - oburzyła się gospodyni.

- Zapewniam cię, pani, że to ty w dalszym ciągu sprawujesz władzę w Averette. Ja mam ci tylko służyć radą i pomocą w razie potrzeby, nic ponadto.

- Doskonale potrafimy sami się obronić - obruszył się Dunstan, kładąc rękę na rękojeści miecza, którym posługiwał się jedynie na placu ćwiczeń.

Boisbaston uniósł brwi, krzyżując na piersiach potężne ramiona.

- Czy któryś z was ma doświadczenie w dowodzeniu ludźmi na polu bitwy albo podczas oblężenia?

- Brałem udział w bitwach, gdy ciebie matka jeszcze karmiła piersią - rzekł Iain, prostując się dumnie.

Bayard pokręcił głową.

- Nie o to pytałem. Czy dowodziłeś ludźmi w bitwie albo podczas oblężenia?

Odpowiedziało mu kamienne milczenie. Gillian wiedziała, że Mac Kendren uczestniczył w wielu bitwach, ale komendantem garnizonu został mianowany niedawno, tuż przed śmiercią jej ojca. Pan na Averette zmarł na apopleksję podczas jednego ze swych pijaństw, gdy jak zwykle rozpaczał, że nie ma synów, i przeklinał Boga, który pokarał go bezużytecznymi córkami.

Dunstan nie miał natomiast żadnego doświadczenia w walce; jego mocnym punktem

była arytmetyka i prowadzenie ksiąg.

- Wrogowie, którym musimy stawić czoło, są bardzo zdeterminowani - rzekł Boisbaston. - Uczynisz mądrze, pani, przyjmując moją pomoc, chyba że własna duma cenniejsza jest dla ciebie niż dobro twoich ludzi.

A jeśli list mówi prawdę? - zastanawiała się. Jeśli wrogowie, o których wspominała Adelaide, rzeczywiście są niebezpieczni i kierują się już w stronę Averette? Pokładała wiarę w umiejętności Iaina, ale postąpiłaby nieroztropnie, odrzucając pomoc doświadczonego rycerza.

- Niech tak będzie, panie - powiedziała w końcu i podniosła rękę, by powstrzymać protesty Mac Kendrena i Corleya.

- Choć głęboko wierzę, że Iain i moi ludzie potrafią obronić zamek przed każdym wrogiem, możesz tu zostać wraz ze swoimi żołnierzami. Ale napiszę do siostry z prośbą o potwierdzenie, że rzeczywiście jesteś tym, za kogo się podajesz, i że wszystko, co przeczytałam w tym liście, jest prawdą. Wypełniłeś swoje zadanie, panie. Możesz teraz pójść do komnaty i odpocząć.

Sir Bayard ściągnął brwi, najwyraźniej niezadowolony z tej bezceremonialnej odprawy, odrzekł jednak bez złości:

- W takim razie do zobaczenia później, pani. Skłonił się ledwo dostrzegalnie i wyszedł.

- Powinniśmy natychmiast odesłać tego aroganckiego osła za bramę, nie zważając na prawo gościnności - wybuchnął Iain, ledwo drzwi zamknęły się za gościem.

- Powinien opuścić zamek jeszcze dzisiaj - zgodził się Dunstan. - Cóż za impertynent!

Gillian przenosiła wzrok z jednej twarzy na drugą. Doceniała lojalność i troskę obydwu mężczyzn, ale to ona była odpowiedzialna za Averette i swoich poddanych. - A jeśli on naprawdę jest ze mną spokrewniony przez małżeństwo mojej siostry? Dopóki nie mamy pewności, musimy go traktować jak gościa. A gdyby miał się okazać naszym wrogiem, również rozropnie będzie zatrzymać go tutaj, gdzie przez cały czas możemy go mieć na oku.

- To racja - zgodził się komendant.

- A jeśli to szpieg przysłany po to, by wybadać mocne i słabe punkty naszego garnizonu? - mruknął Dunstan.

Pani zamku nie pomyślała o tym wcześniej.

- Ale przecież Averette nie ma słabych punktów - powiedziała zdziwiona.

- Zawsze są jakieś słabe punkty, pani - rzekł Mac Kendren. - Choćbyśmy najbardziej starali się wyćwiczyć ludzi i wzmocnić mury.

Gillian wiedziała, że Iain ma rację. Postanowiła jednak nie odsyłać sir Bayarda ze względu na list Adelaide oraz swoje obowiązki władczyni posiadłości. List mógł być prawdziwy, możliwe było również, że siostra przysłała im tego rycerza w szczyrych zamiarach. Jeśli rzeczywiście zagrażało im jakieś niebezpieczeństwo, to lepiej było nie ryzykować obrazy spokrewnionego szlachcica. Z drugiej strony nie można też było pozwolić

na bezkarne szpiegowanie zamku przez obcych.

- Zostaną tu na pozór jako goście - powiedziała. - Uprzedźcie żołnierzy i służbę, że mają traktować sir Bayarda, jego giermka i ludzi jak najuprzejmiej, dopóki nie wydam innych poleceń. Nie wolno im jednak opuszczać zamku, a jeśli będą protestowali, przyślijcie ich do mnie. Iain, odeślij połowę żołnierzy do wioski, by ukryć naszą prawdziwą siłę, a ćwiczenia niech odbywają na odległych łąkach. Jeśli ktokolwiek zauważy coś podejrzanego w zachowaniu naszych gości, natychmiast ma mi o tym powiedzieć.

Podeszła do komody i znalazła w niej czysty kawałek pergaminu.

- Napiszę do Adelaide z prośbą o potwierdzenie wiadomości i zadam jej kilka pytań, na które tylko ona potrafi odpowiedzieć. W ten sposób przekonamy się, czy listy nie zostały sfalszowane albo podmienione.

- To rozsądny pomysł, pani - zgodził się Dunstan. Gillian usiadła przy stole i sięgnęła po gliniany kałamarz.

- Dopóki nie będziemy mieli pewności, że to, co przeczytaliście, jest prawdą, musimy mieć na oku sir Bayarda i jego ludzi.

- Tak jest, pani - zgodzili się obaj.

* * *

Tego samego dnia Peg podeszła do kupca, który postawił wózek pełen antałów i beczulek z winem przed gospodą, i zapytała nieśmiało:

- Jak się nazywasz?

Sądząc po stroju, mężczyzna był zamożny. Był również młody i przystojny. To wystarczyło, by dziewczyna zaoferowała mu swe towarzystwo i umiejętności. Co prawda próbował zapuszczać brodę, ona zaś nie lubiła brodatych, ale za odpowiednią cenę gotowa była uczynić wyjątek.

W gospodzie siedziało kilku wieśniaków odpoczywających po kolejnym dniu zniw. Rozmawiali o pogodzie, o zbiorach, a także o królu Janie i wprowadzanych przez niego prawach. Większość z nich miała tu swoje stałe miejsca: młynarz Geoffrey siedział przy beczkach, piekarz Felton, jego wróg, zawsze zajmował miejsce na ławie po drugiej stronie niskiej izby, a stary Davy i jego kompani grzali się przy ogniu.

- Nazywam się Charles de Fenelon - rzekł kupiec z przyjaznym uśmiechem. - Jestem z Londynu.

- Doprawdy? - zdziwiła się Peg, pochylając się nad nim, by mógł dobrze obejrzeć jej piersi. - Wybierasz się dokądś czy wracasz do domu?

- Wracam z Bristolu i chciałbym po drodze sprzedać trochę wina w tutejszym zamku. Czy sądzisz, że uda mi się porozmawiać z ochmistrem?

Karczmarka przestąpiła z nogi na nogę, opierając dzban piwa o biodro, i przygryzła kosmyk włosów.

- Dunstan de Corley często przychodzi do wioski. Jeśli chcesz, panie, mogę cię z nim

poznać.

- Potrafię ci się odwdziaczyć - obiecał Charles, wymownie kładąc dłoń na sakiewce przy pasie. - Jak masz na imię?

Zerknęła na sakiewkę i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Peg.

- Peg - powtórzył i przyciągnął ją do siebie. Rzuciła szybkie spojrzenie na potężnego mężczyznę, który nalewał piwa z beczki.

- To twój mąż? - zapytał kupiec ostrożnie.

Była pociągająca, ale nie miał ochoty na bójkę.

- Nie, jeszcze nie. - Zachichotała, zarzucając mu ręce na szyję. - To Sam. Nie będzie miał nic przeciwko. Im więcej zarobię, tym szybciej będziemy mogli się pobrać.

- Ach - mruknął Charles, przytulając twarz do jej szyi. - Czy ochmistrz tego zamku potrafi się dobrze targować?

- To bardzo twardy człowiek - odrzekła ze śmiechem.

- Nie o to pytałem.

Wydeła usta, rozczerwiona, że nie docenił jej żartu.

- Jest bystry. Ale to nie on podejmuje decyzje, tylko pani.

- Lady Adelaide?

- Nie, nie. Lady Adelaide jest teraz na królewskim dworze. Chodzi o jej siostrę, lady Gillian. Jest jeszcze bystrzejsza niż Dunstan, ale potrzebują wina, bo mają gości. Do zamku przyjechał jakiś rycerz i słyszałam, że ma tu pozostać przez jakiś czas.

Kupiec uniósł brwi z zainteresowaniem.

- Rycerz?

- Tak, razem z giermkim i z żołnierzami.

- Konkurent do ręki pani? Może będą potrzebowali wina na ślub?

Peg odrzuciła do tyłu brązowe włosy.

- Jeśli taki ma zamiar, to życzę mu szczęścia. Lady Gillian na pewno szybko go stąd odeśle. Jej siostra wcześniej robiła to samo. Te damy nie przepadają za mężczyznami. Nie sądzisz, panie, że to nienaturalne? - Oblizwała usta, kusząco wysuwając czubek języka.

- Owszem - zgodził się Charles. - Słyszałem, że lady Adelaide jest bardzo piękna. Czy jej siostra również?

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

- Na rany Boga, nie! Nie jest brzydka, ale przy swoich siostrach wygląda jak jeź. Czy masz ochotę skosztować naszych specjałów, panie? - poruszyła się wymownie, jasno okazując, że nie ma na myśli piwa.

Kupiec położył dłoń na jej piersi.

- Naturalnie. Ale najpierw napiję się piwa.

- A nie wina?

- Piwo jest tańsze.

Peg przechyliła się nad jego ramieniem i napełniła kufel.

- Teraz piwo, a później coś innego... za dwa srebrne pensy.

- To drogo - zauważył. Za połowę tej ceny mógł mieć w Londynie absolutnie wszystko, czego tylko zapragnął.

Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając równe białe zęby.

- Jestem tego warta.

Wsunął rękę pod jej luźny gorset, jednocześnie zerkając ostrożnie na draba przy beczce. Ten jednak uśmiechał się do niego, zadowolony, jakby przyszła żona właśnie podarowała mu sakiewkę pełną złota.

- Niech będzie. A kim jest ten rycerz, który przybył do zamku?

- Jest przystojny, chociaż ma bliznę na twarzy. Bayard jakiś tam.

- Bayard de Boisbaston? - zapytał Charles ostrym tonem.

- A co? Może i Bobaton. Co on takiego zrobił? Mężczyzna potrząsnął głową, a jego twarz przybrała ponury wyraz.

- Jeśli to, co o nim słyszałem, jest prawdą, to twoja pani powinna zachować ostrożność. Kobiety na dworze nazywają go cygańskim kochankiem. Mówią, że podróżuje z łóżka do łóżka, kradnąc serca wszystkich dam, tak jak ci włóczędzy, którzy przepowiadają przyszłość. Podobno miał co najmniej pięćdziesiąt kochanek, i to tylko wśród żon i córek królewskich dworzan.

- Pięćdziesiąt? - Peg wstrzymała oddech i szeroko otworzyła oczy. - Jakim cudem żaden mąż ani ojciec jeszcze go nie zabił?

- Bo nikt się nie ośmielił wyzwać go na pojedynek. Zwyciężył we wszystkich turniejach, w jakich brał udział. Mówią, że nawet sam diabeł ucieka przed ostrzem jego miecza, choć nie zawsze decyduje się go użyć. W zeszłym roku powierzono mu opiekę nad zamkiem w Normandii, a on poddał się wrogowi zaledwie po trzech dniach i dostał się w niewolę diuka d'Ormonde, którego żona podobno jest wielką pięknoscią. Niektórzy mówią, że zrobił to tylko po to, by ją uwieść, i że mu się to udało.

Karczmarka wstrzymała oddech.

- Poddał zamek tylko po to, żeby uwieść kobietę? Kupiec skinął głową.

- Tak mówią. A teraz przybył tutaj.

- Jeśli ma złe zamiary wobec lady Gillian, to już ona wybije mu je z głowy - oświadczył stanowczo młody Davy, włączając się do rozmowy. - Potrafi być przebiegła i nieugięta jak sam diabeł.

- Błuznisz - wymamrotał handlarz świec ze swego kąta, gdzie siedział nad kuflem piwa.

- Wy, kobiety, zawsze myślicie tylko o małżeństwie - ciągnął Davy, nie zwracając uwagi na tamtego. - Przepowiadałyście ślub lady Gillian z Jamesem d'Ardenayem już w

tydzień po przybyciu tego chłopaka do zamku.

- No, ale on umarł - wtrąciła Peg.

- Gdyby nasza pani wyszła za mąż, nie musielibyśmy się martwić - zauważył piekarz Felton ze swej ławy przy drzwiach.

- Chciałbyś, żeby wyszła za pierwszego mężczyznę, który jej się oświadczy? - odparował młynarz z drugiego końca sali. - Chciałbyś, żeby któryś z tych półgłówków, którzy przyjeżdżają tu w konkury, został naszym nowym panem? Bo ja nie. Niech Bóg nas strzeże od tych wyniosłych durniów!

- Lady d'Averette pewnie nie ma ochoty wychodzić za mąż ze względu na swojego ojca - odezwał się stary Davy ze swojego miejsca przy ogniu. - To był zły i okrutny człowiek. Przy nim każda kobieta mogłaby uwierzyć, że śmierć jest lepsza od małżeństwa.

Kupiec, trzymający na kolanach Peg, poruszył się teraz niecierpliwie.

- Jeśli chcesz rozmawiać o swojej pani, to może pójdę odpocząć samotnie.

Zerwała się na nogi, pochwyciła go za rękę i pociągnęła na piętro, gdzie znajdowała się izdebka dla gości.

- Nie złość się, Charlie. Wszystko, co dzieje się w zamku, interesuje nas, tak jak ciebie interesują królewskie podatki. Lady Gillian to dobra kobieta, chociaż szlachcianka, więc nikt tutaj nie chce, żeby stała się jej krzywdą.

Gdy para młodych zniknęła na schodach, stary Davy niespokojnie popatrzył na pozostałych.

- Myślicie, że ten człowiek mówił prawdę?

- Wcale w to nie wierzę - odrzekł jego syn z wielką pewnością w głosie. - Nasza pani jest uczciwa i bystra. Nie pozwoli się ogłupić gładkim słowem jakiegoś rycerza, choćby był najprzystojniejszy na świecie. Pamiętacie tego, który tu kiedyś przyjechał? Sir Watersticks, czy jak mu tam było. Jeszcze nie zdążył rozpakować kufrów, a już wracał z powrotem.

W gospodzie rozległy się śmiechy i mężczyźni siedzący nad kuflami pokiwali głowami.

- Podpaliła mu włosy - roześmiał się stary Davy. - Udawała, że to był wypadek, ale czekał pewno z rok, żeby mu odrosły. A jak przeklinał!

- Miłość to wspaniała rzecz - westchnął młynarz. Rzucił szeroki uśmiech piekarzowi i zaczął śpiewać balladę o utraconym uczuciu. Tamten trzasnął kuflem o stół i wypadł z gospody.

Rozdział trzeci

Bayard wszedł za służącym do gościnnej komnaty i rzucił hełm na osłonięte baldachimem łoże. Izba była bardzo schludna. Na oknach wisały płócienne kotary, a w kącie naprzeciwko łóżka stała komoda pomalowana na zielono i niebiesko. Znajdowało się tu jeszcze posłanie dla giermka i drugi stół, z misą do mycia i czystymi ręcznikami. Podłogę świeżo zamieciono i trudno było dostrzec gdziekolwiek choćby odrobinę kurzu.

Chociaż to miejsce wyglądało z pewnością lepiej niż zatłoczone gospody, w których rycerz zatrzymywał się po drodze, nie spotkał się jednak w Averette z życzliwym przyjęciem, lecz z nieufnością, brakiem szacunku i lekceważeniem. Rozsądek podpowiadał mu wprawdzie, że podejrzliwość lady Gillian jest w pełni uzasadniona, czasy bowiem były niebezpieczne, a królowi Janowi z pewnością nie należało ufać, ale to chłodne traktowanie zirykowało Boisbastona. Uważano go tu za potencjalnego zdrajcę. Komendant garnizonu odnosił się do niego tak, jakby miał przed sobą Filipa Francuskiego. A ten ochmistrz...

Gość był ciekaw, czy pani zamku wie, że Dunstan jest w niej zakochany po uszy. Była szlachetnie urodzoną podopieczną króla, on zaś pochodził z pospólstwa i nie mógł się poszczycić żadnym tytułem, ale małżeństwo między nimi nie było zupełnie niemożliwe. Król potrzebował pieniędzy na zorganizowanie kolejnej kampanii, by odzyskać utracone posiadłości we Francji, toteż chętnie przyjmował łapówki nawet od ludzi niskiego stanu i z pewnością nie pogardziłby zapłatą za zezwolenie na małżeństwo ze szlachcianką. Bayard nie zauważył jednak żadnych wymownych spojrzeń ani oznak pożądania ze strony Gillian. Wyglądało na to, że uczucie ochmistrza jest nieodwzajemnione.

Niewątpliwie lady d'Averette miała głowę zaprzątniętą czym innym; zdeterminowana była samodzielnie zarządzać posiadłością i sprawy z tym związane pochłaniały całą jej uwagę; Bayard miał już całkowitą pewność, że ona i tylko ona sprawuje tu władzę. Nie znał żadnej innej kobiety, która samodzielnie rządziłaby swymi dobrami, z wyjątkiem kilku wdów, lecz były to rzadkie i zwykle krótkotrwałe sytuacje. Musiał też przyznać, że nigdy wcześniej nie spotkał kobiety podobnej do lady Gillian. Ubierała się jak chłopka, ale pewnością siebie, arogancją i uporem nie ustępowała żadnemu mężczyźnie.

Potrząsnął głową, podszedł do stołu i przesunął palcami po blacie. Ani śladu kurzu.

Nagle rozległ się trzask otwieranych z rozmachem drzwi. Do komnaty wszedł Frederic i z ciężkim westchnieniem rzucił skórzaną sakwę z odzieżą na łóżko, gdzie już leżał hełm jego pana. Sir Bayard zdążył przywyknąć do teatralnych zachowań swego giermka.

- Nie sądziłem, że przyniesienie kilku koszul tak cię zmęczy. Może powinieneś się położyć? - mruknął z wyraźną kpina w głosie.

Chłopak, który również przyzwyczał się do specyficznego poczucia humoru swego pana, odpowiedział szerokim uśmiechem i opadł na łóżko z takim rozmachem, że podtrzymujące je liny zaskrzypiały.

- Bardzo chętnie, tylko czy sądzisz, panie, że te sznurki mnie utrzymają?

- Nie wiem. Jeśli wylądujesz na podłodze, to spróbuj mnie nie obudzić. Ale zanim zapadniesz w drzemkę, pomóż mi wyjść z tej zbroi.

Frederic zdjął swemu panu płaszcz i ciężką kolczugę. Boisbaston pokręcił głową i rozprostował ramiona. Zrzuciwszy nagolennice i pikowany kaftan, podał je giermkowi. W luźnej koszuli, nogawkach i ciżmach podszedł do umywalni. Obok ręczników leżał kawałek mydła pachnący lawendą. Mężczyzna przelał wodę z dzbana do miski, przesunął dłonią po twarzy i uznał, że nie musi się golić; wystarczy, że zrobi to jutro.

- Widziałeś, panie, tę małą służącą? - zapytał Frederic, podnosząc wieko skrzyni. - Tę piegowatą z rudymi włosami?

- Tak - odrzekł Bayard, przypominając sobie dziewczynę, która ośmieliła się wyjrzeć z kuchni, gdy przechodzili tamtędy z lady Gillian. Była dość ładna, na oko mniej więcej piętnastoletnia. Spojrzał na swego giermka i rozpoznał wyraz jego twarzy. Niestety, gdy w pobliżu znajdowała się jakaś kobieta, inni mężczyźni natychmiast zaczęli być zazdrośni o Boisbastona, i to bez względu na to, czy mieli ku temu powód. Jednym z nich był diuk d'Ormonde, choć to akurat wyszło rycerzowi na dobre. W obawie, że szlachetny jeniec spodoba się jego żonie, diuk wypuścił go za bardzo niewielkim okupem. Gdyby nie zazdrość małżonka, być może Bayard wciąż jeszcze byłby uwięziony w Normandii.

Podobne uczucie malowało się tym razem na twarzy ochmistrza, choć ten nie miał żadnych powodów, by być zazdrosny o lady Gillian, pomijając już fakt, że była spowinowacana ze swym gościem. Owszem, miała wyrazisty charakter, a kobieta bez charakteru przypominała Bayardowi jedzenie bez przypraw, ale poza tym nie uważał jej za atrakcyjną. Proste jasnobrażowe włosy ściągała do tyłu, tak że jej twarzy w kształcie serca nie ozdobił żaden frywolny kosmyk. Nos miała mały i zadarty, a policzki upstrzone piegami. Jasne, zielone oczy błyszczały energią, ale nie wydawały się szczególnie pociągające. Była też za chuda, choć miała pełne piersi i idąc, kuszaco kołysała biodrami.

- Opowieści o moich podbojach są znacznie przesadzone - przypomniał Boisbaston giermkowi. - I zapewniam cię, że ta służąca jest dla mnie za młoda. A poza tym nie przepadam za rudymi włosami - dodał z lekkim uśmiechem.

Na twarzy chłopaka odbiła się ulga. Bez słowa zabrał się do rozpakowywania rzeczy. Jego pan zaś dodał w myślach: nie lubię też jędzowatych kobiet.

* * *

Z przyjemnością stwierdził, że pomimo chłodnego przyjęcia lady Gillian okazała się na tyle uprzejma, by przy wieczerzy posadzić go po swojej prawej stronie.

Zazdrosny ochmistrz siedział po jej lewej ręce. Obok Bayarda znalazł się Frederic, a dalej ojciec Matthew, który jadł z taką zachłannością, jakby był to jego pierwszy posiłek od wielu dni. Tuż pod podwyższeniem zasiadł dowódca garnizonu w otoczeniu części załogi z Averette. Boisbaston obserwował wcześniej musztrę na dziedzińcu i tutejsi żołnierze

wydawali mu się dobrze wyszkoleni. Trudno było jednak na tej podstawie wyrokować o ich wartości w bitwie czy podczas oblężenia.

Bogu dzięki, jechanie było dobre. Skoro już miał tu zostać, ucieszyło go to. Nadział kolejny kawałek cielęciny z octem na czubek noża i rozejrzał się dokoła.

Gospodyni przez cały czas ignorowała go, rozmawiając z ochmistrem. Zauważył, że lady Gillian ma dość ładne ręce, choć nieco ogorzałe od słońca. Dobrze urodzone kobiety spędzały zwykle większość czasu pod dachem, a jeśli już wychodziły na zewnątrz, siadywały w cieniu. Nie zajmowały się też pracami bardziej wyczerpującymi niż szycie. Najbardziej aktywne wyruszały od czasu do czasu na polowanie, ale zakładały wówczas rękawiczki. Najwyraźniej jednak pani tego zamku w niczym nie była podobna do innych niewiast.

- Znowu? Och, tylko nie to! - wykrzyknęła naraz, patrząc ze zdumieniem na ochmistra. W jej oczach czaił się śmiech.

Dunstan potrząsnął głową.

- Niestety, to prawda. Znowu oskarżył Geoffreya o oszukiwanie na wadze. Jestem pewien, że Felton podniósłby się nawet z łoża śmierci, gdyby tylko nadarzyła mu się okazja, by dokuczyć młynarzowi.

Lady d'Averette roześmiała się. Jej śmiech zaskoczył Bayarda. Gardłowy, serdeczny, zupełnie nie przypominał cienkich chichotów, jakie większość dam wydawała z siebie w towarzystwie. Był to śmiech, któremu mężczyzna miał ochotę zawtórować i który w zadziwiający sposób zmienił wygląd tej surowej kobiety. Wydała się naraz o całe lata młodsza i ładniejsza. Dopiero teraz gość zauważył, że ma pełne, pociągające usta z czarującym wgłębieniem nad górną wargą. Nieoczekiwanie naszła go ochota, by dotknąć tego miejsca. To była nedorzeczna zachcianka; najwyraźniej kolejna podróż, odbyta zaraz po powrocie z Normandii, zmęczyła go bardziej, niż przypuszczał.

- Czy oni nigdy nie przestaną się kłócić? - westchnęła Gillian, gdy już przestała się śmiać. - Ojciec Matthew, może ty byś z nimi porozmawiał? Te właśnie muszą się wreszcie skończyć!

- Ależ, pani, próbowałem, ale żaden nie chce nadstawić drugiego policzka - odrzekł ksiądz.

- Jest jakaś waśń? - zapytał Frederic z ciekawością.

- To konflikt, który trwa już od bardzo dawna - wyjaśniła gospodyni z uśmiechem.

- A od czego się zaczął? Czy jeden z nich obraził drugiego? - dopytywał się giermek z rosnącym zainteresowaniem, choć rudowłosa służąca właśnie postawiła przed nim pieczone jabłka, jego ulubioną potrawę.

- Chodziło o kobietę. Młynarz i piekarz chcieli się ożenić z tą samą dziewczyną, a ona wybrała młynarza.

- Ach! - wykrzyknął chłopak, spoglądając ze znaczącym uśmiechem na Bayarda, który zacisnął zęby i nic nie odpowiedział.

- Piekarz ciągle oskarża młynarza o oszukiwanie na wadze - wyjaśnił ochmistrz. - Za dwa dni znowu staną tu przed nami.

Te słowa zwróciły uwagę Boisbastona.

- Odbywacie tu sądy?

- Tak, najbliższy będzie za dwa dni - odrzekła Gillian.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł.

- Dlaczego nie? - Zmarszczyła brwi.

- Bo tak duże zgromadzenie naraża cię, pani, na niebezpieczeństwo.

- Sądy odbywają się na dziedzińcu zamkowym - zaprotestowała. - Z pewnością jest to zupełnie bezpieczne miejsce.

- Nie sędzę - odrzekł rycerz stanowczo. - Zabójca łatwo może się tu wślizgnąć wraz z wieśniakami. Jedna celna strzała albo rzut nożem wystarczy, by odebrać komuś życie.

Potrząsnęła głową i powiedziała z nieprzystojną kobiecie pewnością:

- Nie mogę odwołać tego wydarzenia. Ludzie na nie czekają. Jest kilka spraw, które trzeba rozstrzygnąć, i kilka grzywien do zapłacenia.

- Rozumiem, pani, że potrzebujesz dochodu, ale najważniejsze jest bezpieczeństwo.

W jej zielonych oczach błysnął upór.

- Sądy są konieczne dla zachowania spokoju w posiadłości. To, co zaczyna się jako drobny spór, łatwy do rozstrzygnięcia, może przerodzić się w znacznie poważniejszy konflikt. - Uniosła wyżej głowę i na jej twarzy pojawił się wyraz stanowczości. - Mam chyba jeszcze władzę w Averette, prawda? A skoro tak, to sąd odbędzie się zgodnie z planem, chyba że będziesz miał pewność, panie, iż zagraża mi jakieś bezpośrednie niebezpieczeństwo.

- Jestem przekonany, że to zupełnie bezpieczne - wtrącił Frederic, choć nikt go nie pytał o zdanie. - Władasz, panie, mieczem jeszcze lepiej niż twój brat. - Przeniósł wzrok na lady Gillian. - Czy mój pan opowiadał ci, pani, o sędzie bożym, z którego lord Armand wyszedł zwycięsko?

Zmarszczyła brwi.

- Sir Bayard nic mi nie mówił o żadnym sędzie.

Giermek uśmiechnął się od ucha do ucha. Wyglądał w tej chwili jak podniecony szczeniak.

- Jest zbyt skromny, by się chwalić bratem, ale powinnaś, pani, być bardzo dumna ze swojego szwagra, lorda Armanda. To było zadziwiające zwycięstwo.

Uniosła brwi.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że skromność może być jedną z zalet sir Bayarda.

Palce rycerza zacisnęły się mocniej na nóżce pucharu. Pomyślał, że w całej Anglii nie ma chyba bardziej irytującej niewiasty.

- Nie widziałem potrzeby, by o tym wspominać, bowiem niewinność Armanda została

dowiedziona, a prawdziwy zdrajca poniósł karę.

- Człowiek, który poślubił lady Adelaide, był oskarżony o zdradę? - zapytał Dunstan takim tonem, jakby nigdy w życiu nie słyszał czegoś bardziej oburzającego.

- Falszywie oskarżony. Dowiedziono jego niewinności - sprostował Boisbaston, żałując, że Frederic wspomniał o niedawnych kłopotach jego brata; wszyscy dokoła zamilkli, pilnie nasłuchując.

Gospodyni gwałtownie podniosła się z miejsca.

- Zamierzałam to ogłosić podczas zgromadzenia - powiedziała donośnym głosem, który docierał do najdalszych zakamarków świetlicy - ale te wiadomości i tak już zostały ujawnione. Dowiedziałam się, że moja siostra, lady Adelaide, najprawdopodobniej wyszła za mąż za lorda Armanda de Boisbastona.

W sali rozległ się szmer niedowierzania. Służba i żołnierze wymieniali zdziwione spojrzenia. Rudowłosa służąca i jej towarzyszka, stojące przy drzwiach kuchni, zaczęły coś między sobą szeptać.

- Sir Bayard jest jego bratem - dodała pani zamku.

W sali rozległa się kolejna fala szmerów, w których coraz więcej było podejrzliwości. Ludzie Boisbastona zaczęli się kręcić niespokojnie na swoich miejscach, świadomi, że atmosfera wokół nich nagle zgęstniała. Jedyne on sam uśmiechał się jak gdyby nigdy nic.

- Z pewnością niektórzy z was obawiają się, że będziemy mieli nowego pana w Averette - ciągnęła lady Gillian, mnąc serwetkę w dłoni. - Ale tak się nie stanie. Adelaide dała mi swoje słowo, że posiadłość pozostanie pod moją władzą i jej małżeństwo tego nie zmieni.

Jakkolwiek dziwne mogłoby się to wydawać - pomyślał Bayard ponuro.

Wszyscy obecni wyraźnie odetchnęli. Najwidoczniej mężczyźni z Averette nie mieli nic przeciwko temu, by rządziła nimi kobieta. Może powodem było to, co Armand mówił o nieżyjącym już panu zamku. Był złym, okrutnym i niesprawiedliwym człowiekiem. Możliwe, że z tego względu każdy nowy władca zostałby tu przyjęty z lękiem i podejrzliwością.

Bayard widział swego brata i Adelaide razem i nie miał żadnych wątpliwości, że są w sobie zakochani, a mimo to trudno mu było pogodzić się z myślą, że Armand chciał zostawić posiadłość w rękach kobiety. Lady Gillian nie przypominała może innych niewiast, jakie znał, ale nie była przecież mężczyzną.

Zwróciła się do niego i utkwiała w nim spojrzenie zielonych oczu.

- A teraz, panie, opowiedz nam o tym sędzie.

Nie miał wyboru, ograniczył się jednak do suchych faktów.

- Mój przyrodni brat został fałszywie oskarżony o zdradę. Dowiódł swojej niewinności, walcząc z jednym spośród ludzi, którzy donieśli o tej rzekomej zdradzie królowi.

- I to jak dowiódł! - przerwał mu Frederic, huśtając się na krześle. - Przeciął mieczem twarz sir Francisa na pół.

Gospodyni wstrzymała oddech, ksiądz pobladł, a ochmistrz wyglądał tak, jakby zbierało mu się na mdłości.

- Zdrajca sam wybrał ten sposób walki - wyjaśnił gość, nie chcąc, by uznano jego brata za barbarzyńcę. - Wolał miecz Armanda niż męki powolnej egzekucji.

- Szkoda, że tego nie widziałem! - wykrzyknął giermek.

- Prawdziwy rycerz nie czerpie przyjemności z widoku śmierci, bez względu na to, jak została ona zadana - odrzekł Boisbaston z głębokim przekonaniem. - Robi to, czego wymaga od niego obowiązek, ale odbieranie komuś życia nigdy nie sprawia mu radości.

Nie potrafił rozszyfrować wyrazu twarzy lady Gillian, ale nic go nie obchodziło, co ona sobie myśli. Miał już dość jej władczego zachowania, zazdrosnego Dunstana, rozkazów i uporu.

- Zechciej mi wybaczyć, pani - rzekł, podnosząc się z miejsca. - Dzień był męczący, toteż pożegnaj się już. Życzę ci dobrej nocy.

Skłoniła głowę po królewsku, chyba również czując ulgę, że widzi go po raz ostatni tego dnia.

- Dobranoc, sir Bayardzie.

- A czy ja mogę tu jeszcze zostać? - zapytał Frederic.

Rycerz nie potrzebował pomocy giermka w przygotowaniu się do snu, toteż skinął przyzwalająco głową. Życzył dobrej nocy swoim żołnierzom i wyszedł ze świetlicy.

* * *

Gillian udawała, że słucha Dunstana, który opowiadał jej o sprawach czekających na rozpatrzenie podczas zgromadzenia sądu, ale cała jej uwaga skupiona była na gościu, który długimi krokami przemierzał salę. Zatrzymał się na chwilę przy swoich żołnierzach i zamienił z nimi kilka słów. Odpowiadali mu pogodnie, z wesołością w głosie, jakby był bardziej ich przyjacielem niż dowódcą. Te relacje były zupełnie różne od metod Iaina, który nigdy nie żartował ze swymi ludźmi.

- Pani - rzekł ochmistrz, kładąc rękę na jej ramieniu. - Czy słyszałaś, co mówiłem?

Odwróciła się zażenowana, czując, że na jej twarz wypełza rumieniec.

- Tak. Skoro córka handlarza świec pragnie poślubić syna bednarza, nie mam nic przeciwko temu - powiedziała i sięgnęła po wino.

De Corley powoli złożył dłonie na kolanach.

Rozdział czwarty

Następnego dnia Gillian była zajęta przeglądaniem list dziesięcin i ostatnio zakupionych zapasów żywności. Kontrola nad dochodami i wydatkami w posiadłości należała do jej obowiązków, ale nie przepadała za wpatrywaniem się w rzędy cyferek.

Podniosła się od stołu i podeszła do okna, za którym rozpościerały się pola, łąki i lasy. Za murami wznosiły się zabudowania wioski. Zamieszkujący ją ludzie byli jej bliscy jak rodzina. Koło młyńskie obracało się powoli i spokojnie, choć w domostwie młynarza brakowało spokoju. Po rzece płynęły łódki, a na jej brzegu kilka kobiet rozkładało na gałęziach krzewów świeżo uprane płótna, żeby wyschły i wybieliły się w słońcu. Wesole okrzyki chlapiących się w wodzie dzieci mieszały się z gwarem rozmów i pokrzykiwaniami służby i kupców, którzy rozładowywali swe towary na dziedzińcu zamkowym.

Z kuźni unosiły się szare pasma dymu. Pod ścianą zapewne siedział stary Davy i roztrząsał ze swymi kompanami wszystkie najświeższe wiadomości. Może zastanawiali się, jaki plan obmyśli król, by odzyskać ziemie w Francji, i co jeszcze opodatkuje, by zgromadzić pieniądze na kampanię.

Plac pośrodku wioski zastawiony był wozami obwoźnych handlarzy. Z pewnością irytowało to kupców, którzy mieli tu stałe stragany. Na podwórzu wdowy po piwowarze kołodziej rozładowywał beczki, a kobieta zapewne pogodnie narzekała na ich cenę. Gillian wiedziała, że gdy skończą rozładunek, wejdą do browaru i skosztują ostatnich wyrobów, a potem pójdą razem spać; dla nikogo nie było tajemnicą, że ich kontakty nie ograniczały się tylko do interesów.

Pomyślała, że gdyby wyszła za mąż, musiałaby opuścić swój dom, przyjaciół oraz wszystkich bliskich i przenieść się do majątku męża. Byłaby tam obca wśród obcych i z pewnością czułaby się bardzo samotnie. Nawet za życia Jamesa, gdy rozmawiali o wspólnej przyszłości, ta perspektywa bardzo ją niepokoiła.

Nie mogła uwierzyć, że nie minął jeszcze rok od śmierci ojca i od dnia, gdy z błogosławieństwem Adelaide stała się właścicielką Averette. Jedna z sióstr wyjechała na dwór królewski, a druga, Lizette, wybrała się w odwiedziny do przyjaciół na północy. Tak jak Gillian nigdy nie chciała opuszczać rodzinnego domu, ale nie mogła też znieść myśli o uwiązaniu do jednego miejsca.

Czy mężczyzna taki jak sir Bayard mógł zrozumieć uczucia, jakie żywiła do swego domostwa, i jej pragnienie, by zapewnić bezpieczeństwo swoim poddanym? Czy potrafiłby pojąć, że gotowa jest wyrzec się tego, o czym podobno marzyły wszystkie kobiety - męża i radości płynącej z posiadania dzieci - i że nigdy nie zgodzi się oddać władzy nad sobą żadnemu mężczyźnie? Zapewne nie. Mogła sobie wyobrazić, jak by zareagował, gdyby się dowiedział, że po śmierci Jamesa przysięgła nigdy nie wychodzić za mąż i że złożyła tę przysięgę z własnej woli i z całym przekonaniem.

- Pani?

Odwróciła się i zobaczyła Dunstana. Ubrany jak zwykle w długą, ciemną szatę stał na progu z pergaminem w ręku. Nie był sam: towarzyszył mu mężczyzna, którego Gillian nigdy wcześniej nie widziała. Był w podobnym wieku co ochmistrz, dobrze ubrany i schludny, jedynie jego broda wyglądała dość nieporządnie.

- Pani, to jest Charles de Fenelon, kupiec winny z Londynu - powiedział de Corley, wchodząc do komnaty. - Ma doskonały towar.

Sądząc po stroju kupca, nieźle radził sobie w interesach. Od Dunstana dało się wyczuć zapach wina; widocznie zdążył już skosztować owego polecanego towaru.

- Czuję się zaszczycony, mogąc cię poznać, pani - skłonił się de Fenelon. - Słyszałem o tobie same pochlebne rzeczy.

Ochmistrz, który dobrze wiedział, co jego pani myśli o pochlebstwach, wyciągnął ku niej zwój pergaminu.

- Tu jest cennik.

Wzięła od niego spis cen i ich dłonie przelotnie się zetknęły. Próbując zignorować nieprzyjemne wrażenie, podeszła do okna.

- Mamy dość niewielkie zapasy - stwierdził Dunstan. - Rzecz jasna, nie potrzebowalibyśmy tak wiele wina, gdyby nasi goście zechcieli wyjechać.

Pani zamku nie była zadowolona, że słowa te zostały wypowiedziane w obecności kupca. Nie zamierzała jednak upominać de Corleya, zdając sobie sprawę, że kieruje nim nie tylko troska o zapasy wina. Był zazdrosny o sir Bayarda, choć nie miał po temu żadnych powodów. Rycerz nie wzbudzał w niej bowiem żywszych uczuć; Dunstan zresztą również był jej zupełnie obojętny, traktowała go zawsze jak brata.

Stanowisko ochmistrza odziedziczył po ojcu, który był człowiekiem łagodnym i dobrego serca. Od jakiegoś czasu jednak Gillian, ku swemu zdumieniu, zdała sobie sprawę, że uczucia de Corleya wobec niej przekroczyły granicę braterskiego przywiązania. Niestety, choć w wielu sprawach potrafiła być bezpośrednia i śmiała, nie była w stanie przełamać się i porozmawiać z nim o tym ani też powiedzieć mu, że jego uczucia nie są i nigdy nie będą odwzajemnione.

Miała nadzieję, że różnica pozycji nie pozwoli mu na ich wyjawienie. W końcu była córką lorda, a on tylko synem nieślubnego potomka normńskiego rycerza, nieposiadającym żadnego tytułu. Choć nie miało to wpływu na jej zaufanie do Dunstana, w powszechnej opinii było wystarczające, by ochmistrz poszukał sobie żony gdzie indziej. W okolicach Averette było mnóstwo kobiet o niższej pozycji społecznej, które z radością przystąpiłyby na małżeństwo z nim.

Szybko przebiegła wzrokiem pergamin i zwróciła się do de Fenelona:

- Twoje ceny wydają się dość wysokie. Kupiec wyraźnie się stropił.

- Gdybym je obniżył, pozbawiłbym się wszelkiego zysku.

Zapewne myślał, że skoro ma do czynienia z kobietą, uda mu się zagrać na jej uczuciach i dzięki temu uzyskać dodatkowy dochód. Lady Gillian jednak powiedziała stanowczo:

- Weźmiemy to wino po nieco niższych cenach albo nie kupimy go w ogóle.

- Dobrze, pani - zgodził się z zadowoleniem, nie próbując się więcej targować.

- Jeśli twoje wino rzeczywiście jest tak dobre, jak twierdzi mój ochmistrz, to w przyszłości chętnie znów je od ciebie kupimy.

- Dziękuję pani - rozpromienił się.

- Charles zna sir Bayarda - odezwał się Dunstan znaczącym tonem.

- Nie znam go osobiście - zastrzegł tamten szybko. - Sprzedaję tylko wino wielu szlachcicom, którzy pozostają w dobrych stosunkach z królem i jego dworzanami.

- To znaczy, że spotkałeś go już wcześniej? - zapytała Gillian, starając się ukryć zainteresowanie. Nie chciała, by ten kupiec, którego widziała pierwszy raz w życiu, zauważył, że przybyły do zamku gość wzbudza w niej pewne podejrzenia.

- Widziałem go wiele razy, a ostatnio przed chwilą, gdy przechodziłem przez świetlicę. Gra w szachy z jakimś młodym człowiekiem. Twój ochmistrz, pani, twierdzi, że to jego giermek.

A więc Boisbaston rzeczywiście był tym, za kogo się podawał. Zwiększało to zatem prawdopodobieństwo, że przywieziony przez niego list rzeczywiście pochodził od Adelaide i że wszystko, co w nim napisano, było prawdą. A to z kolei oznaczało, że siostra złamała przysięgę i wyszła za mąż, przez co lord Armand stał się prawowitym właścicielem Averette i gdyby tylko zechciał, mógłby w każdej chwili przejąć zarząd nad posiadłością. Bez względu na obietnicę Adelaide, posiadłość nie należała już do Gillian. Jej szwagier mógł zrobić wszystko, co tylko zechciał, nawet kazać jej stąd wyjechać.

Uświadomiła sobie, że kupiec wciąż znajduje się w komnacie i patrzy na nią uważnie. Miała ochotę odesłać obydwu mężczyzn. Z trudem powstrzymywała łzy.

Dunstan podszedł bliżej, splatając palce jak zawsze, gdy miał coś ważnego do powiedzenia.

- Niestety, pani, to jeszcze nie wszystko. Charles mówi, że sir Bayard jest znany ze swych podbojów wśród dam dworu i że jest tchórzem. Podobno uwiódł ponad pięćdziesiąt kobiet na dworze. Podał też zamek w Normandii, którego miał bronić, po niecałym tygodniu, a następnie uwiódł młodą żonę najeźdźcy.

Gillian przymrużyła oczy. Boisbaston nie wyglądał na tchórza, ale o tym można było się przekonać tylko w bitwie. A co do uwodzenia, mogła w to uwierzyć. Był przystojny, na jego widok pokojówki zupełnie traciły rozum. Z drugiej strony nie zachowywał się tak jak ci lubieżni szlachcice, którzy niegdyś przybywali do Averette, twierdząc, że interesują ich tylko córki pana zamku, a jednocześnie próbując uwodzić każdą napotkaną służącą.

Może kupiec powtarzał tylko plotki, w które nie należało wierzyć. Adelaide

opowiadała jej też kiedyś historie o damach z Averette krążące wśród ludzi.

- Czy to prawda? - zapytała de Fenelona.

- Przykro mi, pani, ale tak - odrzekł niechętnie. - Na dworze nazywają go cygańskim kochankiem, bo nieustannie wędruje z łóżka do łóżka, kradnąc kobiece serca.

Nie powinno jej to zdziwić ani rozczarować, bo cóż w końcu wiedziała o tym rycerzu? Mimo wszystko jednak poczuła ukłucie zawodu, może dlatego, że był z nią spowinowacony przez małżeństwo jej siostry.

- Jego giermek opowiadał, jak sir Bayard spotkał kiedyś trubadura, który zabawiał damy przed turniejem. Wiedząc, że rycerz znany jest ze zręczności w turniejach, śpiewak poprosił go, by zapłacił mu za pieśń rumakiem. Boisbaston zgodził się i gdy tylko w pobliżu pojawił się jakiś jeździec, zrzucił go z konia i przyprowadził zwierzę trubadurowi jeszcze przed końcem jego występu.

Gillian słyszała już wcześniej tę historię, choć kto inny był jej bohaterem.

- Słyszałam, że zrobił to earl Pembroke - zdziwiła się.

- Czyli ten człowiek zbiera chwałę za czyny, których nie popełnił - obruszył się Dunstan.

Jeśli rzeczywiście tak było, to pani na Averette nie chciałaby być spokrewniona z tym człowiekiem. Zastanawiała się, czy Adelaide zdążyła go dobrze poznać, podobnie jak mężczyznę, którego poślubiła w takim pośpiechu.

- Czy znasz również jego brata, lorda Armanda de Boisbastona? - zapytała Charlesa.

- Tak, pani - odrzekł kupiec już pewniejszym głosem. - To, co przydarzyło mu się w Marchant, było bardzo przykre. Król powinien był wysłać mu posiłki.

Zmarszczyła brwi.

- Nie jest naszą sprawą krytykować działania króla.

- Nie, oczywiście, że nie - odrzekł tamten szybko. - Miałem na myśli tylko niewolę, w którą popadł lord Armand. Ale jego szczęście odwróciło się, gdy z niej powrócił. Ledwie pojawił się na dworze, jeszcze tego samego dnia zdobył serce twojej siostry.

Czy naprawdę odbyło się to tak szybko? A może to kolejna plotka zniekształcona przez częste powtarzanie?

- Widzę, pani, że cała twoja rodzina odznacza się wyjątkową urodą - brnął de Fenelon. Gillian z trudem się powstrzymała, by nie przewrócić oczami. Dobrze wiedziała, że nie jest piękną. Adelaide i Lizette odziedziczyły urodę po matce, ona sama zaś była podobna do nieżyjącej siostry ojca. „Wyglądasz jak skóra zdjeta z tej paskudnej Ermentrude”, złościł się niejednokrotnie.

Dunstan przestąpił z nogi na nogę.

- Wydaje mi się, pani, że powinnaś...

Podniosła się, zanim zdążył dokończyć zdanie.

Wiedziała, co chciał powiedzieć. Zamierzał jej poradzić, by odesłała sir Bayarda. Jeśli

jednak list Adelaide mówił prawdę, to Averette było w niebezpieczeństwie i nie należało pochopnie pozbywać się człowieka, który mógł pomóc w obronie zamku.

- Życzę ci szczęśliwej podróży do Londynu, Charles - zwróciła się do kupca.

- Spotkanie z tobą było dla mnie zaszczytem, pani. Mam nadzieję jeszcze cię kiedyś zobaczyć - odrzekł i skłonił się uprzejmie.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Dunstanie, zapłać kupcowi i dopilnuj rozładunku wina. Ja idę do kuchni. Muszę porozmawiać z Umbertem o wieczery.

- Tak, pani.

Gdy lady Gillian zniknęła, de Fenelon popatrzył na ochmistrza i uniósł znacząco brwi.

- Jak sądzisz, jaka będzie jej decyzja? Mam na myśli sir Bayarda.

- Nie mam pojęcia - potrząsnął głową Dunstan, wyciągając zza pasa klucz do piwniczki z winami. W głębi serca żywił jednak nadzieję, że Boisbaston rychło znajdzie się na drugim końcu świata albo zginie, jak James d'Ardenay.

* * *

Pani zamku przeszła przez świetlicę i skręciła w stronę korytarza prowadzącego do kuchni. Tak jak mówił kupiec, sir Bayard i jego giermek siedzieli przy stole na podwyższeniu, a między nimi stała szachownica. Po sali snuło się kilku żołnierzy. Jeden z nich, z krótko przyciętymi wąsami, rozmawiał z Deną, wzbudzając jej śmiech. Inni czyścili broje piaskiem i octem albo ostrzyli miecze.

Gillian zauważyła, że niektórzy z jej ludzi nie spuszczają oka z żołnierzy Boisbastona. Dwaj służący, wymieniający łuczywa w uchwytach, również bacznie przyglądali się gościom.

Frederic wpatrywał się w szachownicę przymrużonymi oczami, okręcając na palcu pasmo włosów. Przy jego łokciu stało kilka pionów. Jego pan siedział na krześle w swobodnej pozie. Najwyraźniej wszędzie czuł się jak w domu. Kobieta dostrzegła jednak w jego postawie pewne napięcie; nie był tak rozluźniony, jak chciał się wydawać. Cała jego uwaga skupiona była na szachownicy, jakby kalkulował w głowie wszystkie możliwości ruchów i ich konsekwencje.

Bez wątpienia odznaczał się inteligencją i przenikliwością. Zastanawiała się, czy jego kochanki właśnie to w nim ceniły, czy też patrzyły tylko na przystojną twarz i wspaniale zbudowane ciało.

W końcu giermek przesunął pionek i Gillian nawet z daleka widziała, że popełnił błąd.

- Szach i mat - rzekł Bayard obojętnym tonem, jakby świadomie chciał umniejszyć swoje zwycięstwo, by nie wprawiać przeciwnika w zażenowanie.

Chłopak skrzywił się i zaklął.

- Jak mogłem tego nie zauważyć! Następnym razem pójdzie mi lepiej. Zagramy jeszcze raz?

- Raczej nie - mruknął rycerz. Oderwał wzrok od szachownicy i spojrzał na gospodynię. - Pani!

Postąpiłaby bardzo nieuprzejmie, ignorując go teraz, on bowiem podnosił się już od stołu.

- Czy czegoś sobie życzysz, panie?

- Zastanawiałem się, czy miałybyś ochotę na partyjkę szachów.

Wzywały ją obowiązki, a poza tym przypuszczała, że zaproponował jej grę jedynie z uprzejmości, korciło ją jednak, by się zgodzić. Często grywała w szachy z Adelaide; była to rozrywka, której mogły się oddawać, nie przeszkadzając ojcu. Lizette nie miała cierpliwości do szachów.

- Dziękuję, panie, ale nie - odrzekła. - Zbyt wiele mam teraz do zrobienia.

- Nie gram zbyt dobrze. Zapewne mogłabyś ze mną wygrać - zapewniał, kusząc ją uśmiechem. Przypominał jej w tej chwili człowieka, który kiedyś próbował sprzedać jej fałszywe klejnoty. Zastanawiała się, czy przemawia przez niego próżność, czy głupota.

- Zapewne tak - zgodziła się, próbując ukryć irytację. - Ale nie dzisiaj.

W jego oczach błysnęła złość, natychmiast jednak opanował emocje.

- W takim razie innym razem.

- Być może. - Skinęła mu głową na pożegnanie i skrzyła do kuchni. Za plecami usłyszała głos giermka:

- Nie trzeba było jej tego proponować. Rozzłości się, jeśli wygrasz.

Na te słowa obróciła się na pięcie i pomaszerowała w stronę podwyższenia.

Rozdział piąty

Widząc, że Gillian wraca, rycerz i jego giermek zerwali się na nogi. Frederic omal nie stracił przy tym szachownicy ze stołu.

- Czy zmieniłaś zdanie, pani? - zapytał Boisbaston. Rzuciła chłopcu spojrzenie, pod wpływem którego się zarumienił, po czym zwróciła się do jego pana:

- Sir Bayardzie, słyszałam o tobie bardzo interesującą historię.

Policzki Frederica stawały się coraz czerwiejsze. Niepostrzeżenie zsunął się z podwyższenia i przyłączył do żołnierzy. Gillian nie zwracała na niego uwagi.

- Podobno kiedyś pewien trubadur zażyczył sobie od ciebie konia w zamian za pieśń, ty zaś zaatakowałeś bez uprzedzenia rycerza, straciłeś go na ziemię, zabrałeś mu konia i przyprowadziłeś go śpiewakowi, nim ten skończył swoją balladę. Ja jednak słyszałam, że dokonał tego William Marshal, earl Pembroke, a nie sir Bayard de Boisbaston.

- William Marshal rzeczywiście tego dokonał - odrzekł mężczyzna spokojnie i lady d'Averette pomyślała, że ten człowiek jest pozbawiony wstydu. - Ale ja też - ciągnął, krzyżując ramiona na piersiach. - Widzisz, pani, słyszałem wcześniej tę historię. Matka

opowiadała mi ją, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Uważała earla Pembroke za najdzielniejszego mężczyznę na świecie, a z pewnością ceniła go wyżej niż własnego męża, któremu często to powtarzała. Pewnego dnia, zbliżając się do Salisbury, gdzie miałem wziąć udział w turnieju, zobaczyłem trubadura, który zabawiał damy czekające na zmianę koni w gospodzie. Pieśniarz opowiedział niewiastom tę historię, a ja, jako młody chwalipięta, dodałem, że również potrafiłbym tego dokonać, gdyby tylko nadarzyła się okazja. Niemal w tej samej chwili na drodze pojawił się inny rycerz, który najwidoczniej zmierzał na ten sam turniej, i trubadur zapytał, czy gotów jestem poprzeć swe przechwałki czynem. Przyjąłem wyzwanie. On zaczął śpiewać, ja zaś ruszyłem, by wypełnić zadanie. Straciłem jeźdźca na ziemię już przy pierwszej próbie, zabrałem jego konia i przyprowadziłem go pieśniarzowi, nim ballada dobiegła końca.

Może to była prawda, a może tylko piękne kłamstwo, pomyślała Gillian.

- Mam nadzieję, że rycerz, którego straciłeś z konia, był godnym ciebie przeciwnikiem, a nie staruszkiem albo niedorośłym chłopcem, który zmierzał na turniej, by zyskać odrobinę sławy.

- Przykro mi o tym mówić, ale to był mój brat przyrodni Armand - przyznał Bayard z czarującym uśmiechem. - Nie jest to najlepszy sposób na zapewnienie harmonii w rodzinie, szczególnie że od pierwszej chwili wiedziałem, kogo mam przed sobą. Na szczęście następnego dnia udało mi się wygrać kilka walk i kupiłem bratu innego konia, a wówczas on powalił mnie na ziemię, zrobił mi kilka potężnych siniaków i wymusił na mnie obietnicę, że już nigdy więcej nie będę z nim walczył, na co z wielką radością przystałem.

Cóż to za dziwna rodzina? - zastanawiała się Gillian.

- Walczyłeś z nim, a mimo to czułeś się zobowiązany, by spełnić jego prośbę?

Boisbaston tylko wzruszył ramionami.

- Jesteśmy braćmi. Wiele razem przeszliśmy. Czy ty, pani, nigdy nie kłóciłaś się z siostrami?

- Nie z Adelaide - odrzekła i zaczęła ustawiać na szachownicy białe pionki.

- Czy dlatego, że była najstarsza? - zapytał, ustawiając po swojej stronie czarne figury.

- Dlatego że była dla nas jak matka. Nasza matka przed śmiercią długo chorowała.

- A Lizette?

Nie była pewna, czy Bayard będzie w stanie zrozumieć, dlaczego nigdy nie potrafiła się dogadać z młodszą siostrą. Nawet ona sama przestawała czasami to rozumieć.

- Ja lubię porządek, a ona dobrze się czuje w chaosie.

- Z mojego doświadczenia wynika, że nieporządek tworzą ci, którzy nie są obarczeni odpowiedzialnością za zachowanie ładu - odrzekł. - Nie przeszkadza im chaos, jaki wprowadzają, bo myślą tylko o własnych zachciankach i pragnieniach.

A jednak rozumiał.

- Ale młodzi ludzie czasem się zmieniają, jeśli traktuje się ich cierpliwie i z dobrocią -

ciągnął. - W młodości nie byłem wzorem do naśladowania, ale dzięki przewodnictwu Armanda z biegiem lat stałem się lepszym człowiekiem.

Gillian zastanawiała się, czy to prawda, i co Bayard rozumie przez pojęcie „lepszy człowiek”.

- Naprawdę staram się traktować ją wyrozumiale - powiedziała - ale gdy Lizette jest w pobliżu, moja cierpliwość szybko się wyczerpuje.

- Dlatego, że ona nie traktuje poważnie niczego, co mówisz, i śmieje ci się w twarz.

Odwrociła wzrok od jego długich, smukłych palców, które precyzyjnie ustawiały piony na szachownicy, i spojrzała na przeciętą blizną twarz.

- Skąd o tym wiesz, panie?

Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Zapytaj o to Armanda.

Wszystkie piony stały już na swoich miejscach. Gillian obrzuciła przeciwnika zagadkowym spojrzeniem.

- Czy naprawdę byłeś takim strasznym dzieckiem?

- Naprawdę - przyznał, stawiając na miejscu ostatnią figurę, króla. - Byłem rozpieszczony, samolubny i popędliwy. Przypuszczam, że twoja siostra przy mnie sprawiałaoby wrażenie wzoru cnót.

Znów uśmiechnął się do niej lekko i porozumiewawczo, jakby byli dobrymi przyjaciółmi. Ona jednak nie chciała się z nim zaprzyjaźniać. Miała wystarczająco wielu przyjaciół, przy których wcale nie czuła się tak, jakby znów miała piętnaście lat i po raz pierwszy zobaczyła uśmiech Jamesa. Była już starsza i mądrzejsza, a jej czas miłości przeminął. Poza tym Umberto czekał w kuchni na dyspozycje dotyczące wieczornego posiłku.

- Wybacz, panie, ale kucharz na mnie czeka.

- Oczywiście - przytaknął i skłonił się jej. - W żadnym razie nie wolno wyprowadzać kucharza z równowagi.

Odeszła, prostując sztywno plecy i kołysząc biodrami jak trzcina na wietrze.

* * *

Dunstan znalazł ją w kuchni. Gdy stanął na progu ze zwojem w ręku, uniosła pytająco brwi.

- List z dworu, pani - oznajmił.

Wzięła od niego pergamin i idąc przez świetlicę, złamała woskową pieczęć, ale nim zaczęła czytać, zatrzymała się w miejscu. Coś było inaczej niż zwykle i nie chodziło tylko o obecność sir Bayarda, który stał wyczekująco na podwyższeniu.

- Skąd tu się wzięło tylu naszych żołnierzy? Przecież nie nadeszła jeszcze pora posiłku.

- To na wypadek, gdyby się okazało, że poprzedni list Adelaide został sfalszowany - wyjaśnił cicho ochmistrz.

- Rozumiem - mruknęła. Rozwinęła pergamin i szybko przebiegła go wzrokiem.

List był napisany tą samą ręką co poprzednio. Siostra potwierdziła, że rzeczywiście wysłała poprzednią wiadomość przez Boisbastona. Tym razem nie mogło być mowy o fałszerstwie, bowiem list zawierał odpowiedzi na pytania, na które nikt oprócz niej nie potrafiłby odpowiedzieć.

Po raz pierwszy od czasu, gdy objęła władzę nad Averette, Gillian poczuła lęk. Jeśli wszystko, co pisała Adelaide, było prawdą, groziło im poważne niebezpieczeństwo. Nieświadomie zatrzymała wzrok na twarzy sir Bayarda. Mistrz turniejów rycerskich spokojnie stał przy stole.

Dunstan nie odrywał zmartwionego spojrzenia od twarzy swej pani.

- Wszystko, co napisano w tamtym liście, było prawdą - szepnęła. - Moja siostra wyszła za mąż, nasz gość jest jej szwagrem oraz wykryto spisek przeciwko królowi, który również i nas stawia w niebezpiecznym położeniu. Możesz odesłać żołnierzy.

De Corley zacisnął usta, ale bez protestu wydał odpowiednie rozkazy. Wojowie zaczęli się rozchodzić.

Gillian zwinęła pergamin i podeszła do Boisbastona.

- Wygląda na to, panie, że myliliśmy się, wątpiąc w twoją prawdomówność.

Rycerz wyraźnie się rozluźnił i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Czy teraz już wierzysz, pani, że jestem tym, za kogo się podaję?

Skinęła głową i usiadła, patrząc na niego poważnie.

- A to oznacza, że muszę również uwierzyć w niebezpieczeństwo, które nam zagraża.

- Tak - zgodził się, splatając dłonie za plecami. - Właśnie dlatego tu jestem.

Ta uwaga wydała się jej arogancka, Bayard jednak dodał zaraz z melancholijnym uśmiechem:

- Nie uważam się wprawdzie za niezrównanego w walce, ale mam pewne doświadczenie i dlatego jestem przekonany, że nie powinnaś, pani, organizować sądu w zamku.

Podniosła się gwałtownie.

- Mam na ten temat inne zdanie. A teraz zechciej mi, panie, wybaczyć, ale czekają na mnie obowiązki.

* * *

Gillian podniosła się z łóżka po źle przespanej nocy i w samej koszuli podeszła do wąskiego okienka. Niebo było niemal bezchmurne, snuło się po nim zaledwie kilka obłoczków. Zapowiadał się piękny dzień.

Pomimo dezaprobaty sir Bayarda sąd musiał się odbyć. Jego upór w tej sprawie był dla pani na Averette dowodem, że jej gość nie ma żadnego doświadczenia w zarządzaniu posiadłością. W przeciwnym razie wiedziałby doskonale, że spory między dzierżawcami należy rozstrzygać jak najszybciej, nim konflikt zdąży się rozwinąć.

Drzwi komnaty otworzyły się i do środka weszła Dena z dzbankiem ciepłej wody.

- Och, jak tu przyjemnie i chłodno - zawołała, napełniając miskę stojącą na umywalni.

- Obawiam się jednak, pani, że dzień będzie upalny. Czy jesteś pewna, że chcesz założyć złotą suknię?

- Tak - odrzekła Gillian. Złota suknia była najlepsza ze wszystkich, jakie miała, a wiedziała, że odprawiając sąd, powinna wyglądać godnie.

- Przynajmniej ten jedwabny welon jest lekki - zauważyła służąca i zabrała się do ścielenia łóżka.

Pani zamku usiadła na zydlu i rozczesła długie, proste włosy. Czasami zazdrościła Adelaide obfitości loków, ale takie myśli nigdy nie nachodziły jej w lecie, gdy każdego poranka widziała łzy w oczach siostry nie mogącej się uporać z niesfornymi, gęstymi kędziorami. Szybko i zręcznie splotła włosy w warkocz, który Dena upięła następnie w koronę.

- Słyszałam, że Geoffrey i Felton znów się o coś sprzeczą - powiedziała pokojówka, spoglądając na panią przez ramię.

- Podobno tak.

- Czy sądzisz, pani, że sir Bayard będzie obecny na sądzie?

- A po cóż miałby tam przychodzić? To nie jest jego sprawa - odrzekła, myśląc jednocześnie, że nie miał on zbyt wiele do roboty w Averette, a zatem mógł się pojawić choćby dla rozrywki.

- Czy dobrze się czujesz, pani? - zapytała Dena z troską.

- Ręce ci drżą.

- To nic takiego. - Gillian splotła dłonie. - Zawsze jestem nieco zdenerwowana przed sądem. Nigdy nie wiadomo, jak ktoś przyjmie wyrok.

Nie chciała przyznać nawet przed sobą, że denerwuje się na myśl o obecności sir Bayarda na zgromadzeniu. Nawet gdyby przyszedł, mogła przecież zignorować jego obecność.

Wkrótce była gotowa. W sukni z długimi, bufiastymi rękawami, lamowanej szkarłatnym jedwabiem, w welonie przytrzymanym na głowie złotym kółkiem i w wyszywanych złotą nicią cizemkach, które należały do Adelaide, wyglądała imponująco i była przekonana, że potrafi gładko poprowadzić sąd, nawet gdyby miał być przy tym obecny sam król Jan.

Na dziedzińcu wzniesiono podwyższenie, na którym stało pojedyncze krzesło. Siadając na nim, Gillian poczuła się władczynią Averette, jaką nigdy nie była jej matka - nieśmiała istota zastraszona przez męża ciągłymi atakami furii. Przez całe życie usiłowała dać mu upragnionego syna, aż w końcu wpędziło ją to w chorobę.

Dunstan stał obok krzesła, również przyodziany w swoją najlepszą szatę - czarną, długą tunikę. W rękę trzymał pergamin z listą nazwisk tych, którzy szukali sprawiedliwości,

a także tych, przeciwko którym wnoszono skargi. Lista była długa, głównie dlatego, że obecna pani zamku, w przeciwieństwie do swego ojca, znana była ze swych sprawiedliwych sądów.

Powiodła wzrokiem po zgromadzonym tłumie. Kilka osób kręciło się niespokojnie. Nawet stary Davy, który jak zwykle stał przy drzwiach stajni, wydawał się nieswój. Atmosfera przypominała tę, jaka panowała podczas sądów sprawowanych przez ojca Gillian.

Rozejrzała się dokoła i znalazła wyjaśnienie. Podwyższenie otaczało kilku żołnierzy, inni stali pod ścianami zamku. Straże przy bramach też były wzmocnione. Iain, w pełnym uzbrojeniu, stał o kilkanaście stóp od niej. Wyglądało to tak, jakby miał się tu odbyć jakiś niezwykle ważny proces, a nie zwykły sąd wiejski.

Bez wątpienia był to pomysł sir Bayarda. Zamiast zapewnienia bezpieczeństwa stworzył jednak poczucie zagrożenia i lady d'Averette miała ochotę odesłać żołnierzy. Powstrzymała się jednak; a jeśli zagrożenie było realne? Na takich zgromadzeniach zawsze pojawiała się kilku obcych: podróżni szukający rozrywki, krewni powodów pochodzący z sąsiednich wiosek, kupcy i wędrowni handlarze. Wśród nich mógł cziąć się wróg.

Usiadła na swoim miejscu i skinęła głową Dunstanowi, który rozwinął pergamin i wyczytał pierwsze nazwisko.

W tłumie rozległy się szmery. Wszyscy wpatrywali się w to, co działo się za jej plecami. Obejrzała się przez ramię. Boisbaston, ubrany w kolczugę, rękawice i płaszcz, bez słowa wszedł na podwyższenie i stanął za jej krzesłem z ręką opartą na rękojeści miecza. Wyglądało na to, że zamierza spędzić tu cały dzień, zupełnie jakby to on był tu panem.

Gillian mogła się zgodzić na obecność żołnierzy, ale tego już było zbyt wiele. Niektórzy spośród jej poddanych wydawali się wystraszeni; na wszystkich twarzach odbijało się zmieszanie i niepewność. Tylko mały Teddy, mocno trzymający za rękę swego ojca, miał na twarzy wyraz błęgiego, niczym niezmaconego szczęścia. Pomachał ręką Bayardowi, a ten, ku zdumieniu władczyni, podniósł dłoń w odpowiedzi. Ale nawet ten drobny gest nie złagodził wrażenia, jakie rycerz wywołał swoim przybyciem.

Dunstan i Iain również wydawali się niezadowoleni; obydwaj mierzyli gościa ponurym wzrokiem. Gillian miała ochotę powiedzieć mu wprost, co myśli o' jego postępowaniu, ale wiedziała, że musi z tym poczekać, aż będą sami. Tymczasem postanowiła zachować spokój.

- Zawołaj pierwszych z listy - zwróciła się do ochmistrza.

Pierwszy był Felton, który oskarżał młynarza o oszukiwanie na wadze. Młynarze często bywali podejrzewani o fałszowanie odważników, jednakże Geoffreyowi nigdy nie dowiedziono takich praktyk. Na swoje nieszczęście jednak nie pozwolił piekarzowi zapomnieć, że to on wyszedł zwycięsko z rywalizacji o narzeczoną, choć dla nikogo nie było tajemnicą, że jego życie małżeńskie nie było usłane różami. Może spory z Feltonem były dla niego choć częściową rekompensatą za niezbyt szczęśliwy związek.

Gillian próbowała zachować bezstronność i spokój w obliczu oskarżeń, które jak

zwykle były odpierane bez zająknięcia.

- Czy ktokolwiek inny skarżył się kiedykolwiek, że oszukuję na wadze? - pytał Geoffrey. - Nie! Bo wszyscy wiedzą, że ja nie oszukuję i nigdy nie oszukiwałem. Jestem uczciwym, bogobojnym człowiekiem.

- Uczciwym - prychnął piekarz i jego okrągły brzuch zatrzęsł się z oburzenia. - Czy to uczciwość każe ci używać wydrażonych ciężarków albo przytrzymywać wagę palcem?

- Dość tego! - zawołała prowadząca zgromadzenie, wiedząc, że jeśli im nie przerwie, będą się kłócić do wieczora. - Dunstan jeszcze raz sprawdzi odważniki Geoffreya. Jeśli okaże się, że są sfalszowane, młynarz zostanie ukarany zgodnie z królewskim prawem.

- Zawsze tak mówisz, pani - zaprotestował Felton.

Za plecami Gillian rozległ się cichy szcęk metalu. Sir Bayard poruszył się. Stał w tym samym miejscu co wcześniej, ale skrzyżował ramiona na piersiach i niecierpliwie zmarszczył brwi pod hełmem.

Oskarżyciel zaczął się jękać.

- Najmocniej proszę o wybaczenie, pani - mamrotał, cofając się. - Nie chciałem nikogo skrzywdzić, myślę tylko, że młynarz... Myślę, że może... Zresztą, mniejsza o to. - Umilkł i schował się w tłumie.

- Geoffrey, módl się, by twoje odważniki okazały się dokładne. Na twoim miejscu przestałabym zachowywać się tak, jakbyś zdobył koronę, a nie żonę. W przeciwnym razie bowiem będę musiała rozważyć, czy nie zabrać ci pozwolenia na prowadzenie młyna i nie przekazać go komuś skromniejszemu.

- Tak, pani - wymruczał pokornie poblady młynarz.

- Dunstanie, przywołaj następnego - nakazała Gillian, znów próbując zapomnieć o obecności Boisbastona za swoimi plecami.

Było to jednak zupełnie niemożliwe. Rycerz przez cały dzień nie ruszył się nawet na krok z za jej krzesła. Choć nie patrzyła na niego, doskonale wiedziała, kiedy marszczył brwi, krzyżował ramiona albo przestępował z nogi na nogę. Poznawała to po reakcjach ludzi, którzy podchodzili do niej z kolejnymi skargami. Choć to ona wydawała wyroki, czuła się jak marionetka wystawiona tylko na pokaz, a nie prawdziwa pani na Averette.

Gdy ochmistrz wreszcie ogłosił zakończenie sądu, podniosła się, stanęła twarzą do swego strażnika i powiedziała lodowatym tonem:

- Sir Bayardzie, zechciej pójść ze mną.

Rozdział szósty

Poprowadziwszy go do wieży, Gillian oparła ręce na biodrach, dygocąc z powstrzymywanego gniewu.

- Do wszystkich diabłów, za kogo ty siebie uważasz?

- Jestem Bayard de Boisbaston - odrzekł rycerz z niewzruszonym spokojem. Zdjął hełm, położył go na stole i odpiął kołnierz chroniący szyję, a potem zsunął z głowy czepiec, odsłaniając potargane włosy.

- Czy jesteś panem i władcą Averette?

- Nie - odrzekł z uśmiechem, który uznała za bezczelny. - Nie mam żadnego zamiaru rozporządzać tobą, pani.

- W takim razie dlaczego stałeś za mną, jakbyś nadzorował cały sąd?

- Nie pragnę zostać panem Averette - wyjaśnił, nie spuszczając z niej nieruchomego spojrzenia. - Wypełniałem tylko swoje zadanie. Chroniłem cię.

Miała nieprzepartą ochotę zrzucić jego hełm na posadzkę.

- Do tego wystarczy mi Iain i żołnierze z mojego garnizonu. Wydawało mi się, że wyraziłam to jasno, ale najwidoczniej myliłam się, skoro dzielny i potężny rycerz, sir Bayard de Boisbaston, musiał stać za mną jak pretorianin, by straszyć i onieśmielać dzierzawców i wyrażać królewską aprobatę dla moich werdyktów!

- Niczego takiego nie robiłem. Po prostu stałem na straży.

Wciąż nachmurzona, skrzyżowała ramiona na falującej piersi.

- Ależ tak! Stałeś na straży, jakbym była małą dziewczynką, która nie poradzi sobie bez pomocy silnego mężczyzny!

Zacisnął usta i w jego oczach błysnęła złość. No i dobrze, pomyślała Gillian. Ona też była bardzo rozzłoszczona. Traktował ją jak bezradne dziecko.

- Nie próbowałem w żaden sposób wpływać na twoje decyzje.

- Absolutnie nie - odrzekła drwiąco. - Tylko tak przestraszyłeś Feltona, że zaniemówił i doprowadziłeś żonę piwowara do łez. A córka handlarza świec omal nie umarła z przerażenia.

- Stałem na straży, pani, lecz nie jestem posągiem. Nie jestem też ślepy ani głuchy. Przykro mi, jeśli moje reakcje cię uraziły, ale nie próbowałem w żaden sposób wpływać na przebieg spraw.

- Wpłynąłeś na nie samą swoją obecnością, choćby przez to, że byłeś uzbrojony i miałeś u boku miecz.

- Nic na to nie poradzę.

Podeszła bliżej i stanęła tuż przed nim.

- Nigdy więcej nie próbuj tego robić.

Popatrzył na nią zagadkowo i ku swemu zdumieniu zobaczyła czające się w jego

oczach rozbawienie.

- Czego mam nie robić? Nie stawać za tobą?

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi! - wybuchnęła, wściekła na niego za to, że zupełnie nie rozumiał, jak ją upokorzył i jak bardzo czuła się teraz zażenowana. - Nie próbuj się zachowywać, jakbyś był tu panem.

- Jeszcze raz zapewniam cię, pani, że nie mam takich intencji.

- Nie kpij ze mnie! - wykrzyknęła, zwijając dłonie w pięści.

- Nie sądź, że jestem równie głupia jak te wszystkie kobiety, które nabrały się na twój urok tylko dlatego, że nosisz kolczugę i miecz, i masz przystojną twarz. Niech ci się nie wydaje, że z tego powodu będę ci się kłaniać i zgodzę się, byś robił, co zechcesz! Nigdy nie pozwolę, by jakikolwiek mężczyzna przejął władzę nade mną i nad Averette!

- Włącznie z królem? Celowo ją prowokował.

- Dobrze wiesz, że nie mam na myśli króla. Nie zgadzam się, byś mi mówił, co mam robić, ani byś wydawał rozkazy moim ludziom czy próbował przejąć kontrolę nad sprawami, które należą do mnie. Długie lata czekałam na swoją szansę, by nie pozostawać już dłużej w cieniu urody Adelaide i uroku Lizette. Teraz wreszcie mogę pokazać wszystkim, co ja sama potrafię, sprawić, by mnie zauważono. Ale nie, musiałeś tu przyjechać i odebrać mi to!

- Przez całe lata przyglądałem się, jak Armand próbuje zyskać sobie uznanie w oczach naszego ojca - odrzekł Bayard powoli. Jego twarz miała nieprzenikniony wyraz. - Względy, które powinny należeć się jemu, spływały na mnie. Nie zamierzam robić tego samego tobie.

- Tak mówisz, ale twoje słowa nic nie znaczą - odparowała.

- Jesteś taki sam jak wszyscy mężczyźni. Nienawidzę cię za to, co zrobiłeś dzisiaj.

Nienawidzę cię!

Podniosła rękę, jakby chciała go uderzyć, ale Boisbaston pochwycił ją za przegub i unieruchomił, wpatrując się w jej twarz. Stał tak blisko niej, że nie mogła odwrócić wzroku. Już od dawna nie była tak blisko żadnego mężczyzny. Poczowała, że jej oddech przyspiesza. Przełknął z trudem i rozluźnił uchwyt, ale nie puścił jej ręki, lecz powoli przyciągnął ją do siebie.

Wyrwała mu rękę i cofnęła się, rozpaczliwie chwyając oddech, jakby właśnie wynurzyła się z wody.

- Co robisz?

Jego twarz stwardniała.

- Powstrzymałem cię, zanim zdążyłaś mnie uderzyć. Mam już jedną bliznę na twarzy i nie potrzebuję następnej.

- Czy rozumiesz, jaka jest twoja rola tutaj?

- Sądzę, że rozumiem lepiej niż ty - odrzekł bezczelnie.

- Nie próbuj tego zmieniać - warknęła i uciekła z komnaty.

* * *

Gdy drzwi zatrzasnęły się za Gillian, Bayard skrzywił się. Dobry Boże, cóż za wiedźma. Jakby stanie na podeście przez cały dzień i wysłuchiwanie skarg kupców, rzemieślników i chłopów sprawiało mu wielką przyjemność. Poszedł tam tylko z poczucia obowiązku. Obiecał przecież Armandowi, że zadba o bezpieczeństwo jego szwagierki. Był mu to winien, był mu winien o wiele więcej. Gdyby brat nie ostrzegł go w porę, że opinia, na jaką sobie zasłużył, może mu bardzo zaszkodzić, gdyby nie pokazał mu słowem i czynem, jak stać się lepszym człowiekiem, kto wie, gdzie mógłby się teraz znajdować.

Zgarnął ze stołu skórzane rękawice, podszedł do okna i patrzył na Averette, zastanawiając się, czy Armand wiedział, co robi, zrzekając się praw do tej posiadłości. Rzadko widywało się dobra w tak kwitnym stanie, zasiedlone przez równie zadowolonych mieszkańców. Nawet ci, którzy przyszedli tu dzisiaj ze skargami, ufali, że sprawiedliwości stanie się zadość. Najwidoczniej wszyscy czuli się tu bezpiecznie.

Brat twierdził, że nieżyjący już pan tej ziemi był złym i podłym człowiekiem, który źle traktował swoją żonę, a córek w ogóle nie zauważał z wyjątkiem chwil, gdy wyrzucał im, że nie są synami, i groził, że wyda je za mąż, by przysporzyć sobie bogactwa i wpływów. Zaufanie poddanych, jakiego Bayard był świadkiem tego dnia, musiało powstać już za rządów lady Gillian. Po tym, co dzisiaj zaobserwował, był w stanie w to uwierzyć. Uważnie słuchała nawet najbardziej niedorzecznych skarg, a jej wyroki nie opierały się na emocjach, jak można by się spodziewać po kobiecie, lecz na faktach i przedstawionych dowodach, a także zapewne na dogłębnej znajomości ludzi, nad którymi sprawowała sąd.

Mimo wszystko była tylko białogłową, a zarządzanie majątkiem nie należało do niewiast, nawet gdy odznaczały się inteligencją, bystrością i poczuciem sprawiedliwości. Z pewnością byłaby na swoim miejscu, zarządzając szlacheckim domostwem. Sprawdzałaby się doskonale jako żona możnowładcy, a z całą pewnością byłaby lepszą matką niż jego własna rodzicielka. Ale on nie potrzebował żony. Nie spieszyło mu się do domowego życia i związanej z tym odpowiedzialności. Miał jeszcze mnóstwo czasu, by znaleźć sobie towarzyszkę życia i sądził, że jeśli już do tego dojdzie, poszuka jakiejś ładnej, miłej i pogodnej istoty, być może z odrobiną charakteru, by życie nie stało się nudne. Ale nie kobiety, która będzie stawać przed nim niczym rozwścieczona cesarzowa i trzęsąc się z powstrzymanego gniewu, przesywać go piorunującym spojrzeniem.

Skąd więc wzięło się w nim pragnienie, by pocałować lady Gillian d'Averette?

* * *

Znalazł Frederica w sypialni, zajętego polerowaniem jego zbroi. Przyszło mu do głowy, że chłopakowi przydałoby się trochę praktyki we władaniu lancą. Zauważył na dziedzińcu wyciętą z drewna sylwetkę człowieka z workiem piasku przywiązany do wyciągniętej ręki i z tarczą na drugim ramieniu. Uznał, że zabierze tam giermka, po części po to, by zająć czymś myśli.

Z pewnością nie potrzebowali prosić nikogo o pozwolenie - plac ćwiczeń znajdował się wewnątrz murów zamkowych. Zresztą Bayard nie miał ochoty nikogo o nic prosić. Był już zmęczony tym, że traktuje się go jak więźnia. Odczuwał to tutaj bardziej niż w zamku diuka d'Ormonde.

Gdy oznajmił Fredericowi swoją decyzję, chłopak uśmiechnął się od ucha do ucha.

- A czy nie jest jeszcze za późno? - zapytał.

- Sądzę, że nie - odrzekł rycerz.

Gdy pomagał giermkowi założyć kolczugę, zaczął niemal żałować, że zaproponował mu to zajęcie. Łatwiej byłoby nałożyć koszulę wijącemu się węgorzowi. W końcu młodzian stanął przed nim w zbroi, kaftanie, z mieczem u pasa i tarczą przerzuconą przez lewe ramię.

- Idź do zbrojowni i poszukaj ostro zakończonyj lancy - polecił mu Bayard. - Ja każę osiodłać twojego konia i zaczekam na ciebie przy wewnętrznych murach.

- Tak, panie. - Frederic z dumą poprawił miecz i wybiegł z komnaty. Rycerz poszedł za nim wolniej, śmiejąc się pod nosem z jego młodzieńczej bez troski.

Rudowłosa służąca, której imienia nigdy nie mógł zapamiętać, minęła go na schodach prowadzących na dziedziniec. Przyłgnęła do ściany, spuściła wzrok i zarumieniła się, jakby obawiała się nieprzystojnych zalotów z jego strony. Widocznie plotki o jego prowadzeniu się w przeszłości dotarły aż tutaj. Lady Gillian zapewne również je słyszała.

W stajni panował półmrok. Boisbaston przywołał starszego stajennego, Neda, wysokiego mężczyznę o szerokich ramionach:

- Chciałbym, żebyś osiodłał konia mojego giermka.

Sługa przestąpił z nogi na nogę i nie patrząc mu w oczy, zapytał:

- A dokąd, panie, zamierzasz się udać?

Rycerz zacisnął zęby i zaklął w duchu. Biedny stajenny najwyraźniej obawiał się powiedzieć mu jasno, że ma zakaz opuszczania murów zamku.

- Chcemy poćwiczyć walkę lancą na dziedzińcu - wyjaśnił, choć miał ochotę skłamać i powiedzieć, że zamierza objechać dookoła mury zamkowe, by znaleźć najsłabsze punkty obrony.

Mężczyzna uśmiechnął się z ulgą i poszedł siodłać konia. Bayard przysiadł przy drzwiach stajni na odwróconym do góry dnem cebrzyku. Patrząc na zwawe ruchy Neda, pomyślał, że chłopak mógłby być dobrym żołnierzem.

- Dziękuję ci - rzekł, ujmując wodze kasztanowego ogiera. Ciekaw był, czy strażnicy przy wewnętrznej bramie będą próbowali go zatrzymać. Nie zrobili tego, ale ledwie ich wyminął, jeden natychmiast ruszył do zamku, zapewne po to, by zameldować swej pani o poczynaniach jej gościa.

Ta myśl znów zirytowała Boisbastona, ale humor poprawił mu się na widok Frederica, który już na niego czekał, podniecony i rozpromieniony. Bayard przypomniał sobie, z jakim entuzjazmem on sam podchodził do ćwiczeń, dopóki ojciec nie zaczął recytować mu długiej

litani instrukcji i ostrzeżeń oraz stawiać Armanda za negatywny przykład, czego nie należy robić. Skończyło się to dopiero wtedy, gdy starszy brat wygrał dziesięć pierwszych potyczek w turniejach, zamykając tym samym ojcu usta.

Plac do ćwiczeń nie był zbyt duży, ale musiał im wystarczyć. Ziemia porośnięta wysoką trawą łagodziła upadki. Giermek wsiadł na konia i czekał na rozpoczęcie ćwiczeń z taką niecierpliwością, że ledwie mógł utrzymać lancę turniejową.

- Pamiętaj, co ci mówiłem - ostrzegł go Bayard, zdecydowany uczyć chłopca, nie posługując się krytyką i drwiną, jak czynił to jego ojciec, lecz metodami Armanda - cierpliwością i zachętą.

- Pamiętajam - zawołał Frederic, zsuwając przyłbicę.

- Ruszaj, gdy będziesz gotowy - przestrzegł go rycerz, po czym puścił wodze jego konia i odsunął się na bok.

Młodzieniec wziął głęboki oddech i wbił pięty w boki konia. Zwierzę ruszyło galopem. Lanca w ręku giermka drżała niespokojnie, ale po chwili opanował chwyt i zamierzył się na głowę manekina.

Tylko nie to, tylko nie w głowę, pomyślał Bayard niezdziwiony, że lanca znacznie minęła się z celem. Podbiegł do jeźdźca, gdy ten zatrzymał konia.

- Nieźle, ale nigdy więcej nie mierz w głowę. Celuj w tarczę, jest większa, a poza tym chodzi o to, by strącić przeciwnika z konia, a nie o to, by go zabić.

- A czy nie chodzi o to, by wygrać bitwę? - wymamrotał chłopak. Ściągnął hełm i wsunął go pod ramię, odsłaniając twarz pokrytą strużkami potu.

- Celem jest to, by pojmać przeciwnika w niewolę i wziąć za niego okup - odrzekł Boisbaston, ujmując wodze i kierując konia znów na drugi koniec placu. - Prowadzenie wojen wymaga pieniędzy. Trzeba opłacić ludzi, broń i okręty. Biorąc rycerza w niewolę i przyjmując za niego okup, osłabiasz swoich wrogów. Jeśli okażesz mi miłosierdzie, zastanowi się, nim znów cię zaatakuje. Ale zabijając go, nic nie zyskasz, a jego rodzina będzie cię nienawidzić po wsze czasy.

Frederic był innego zdania.

- Jeśli pozwolisz nieprzyjacielowi ujść z życiem, następnym razem to on może cię zabić.

- To prawda i jest to jeden z powodów, dla których należy unikać wojen.

Na twarzy giermka odbiło się lekceważenie. Widząc to, Bayard spróbował go podejść z innej strony.

- Jak sądzisz, czy mierzając w głowę przeciwnika, zyskasz popularność na turniejach?

- Dzięki temu wszyscy nauczą się trzymać z dala ode mnie - odparł chłopak z pewną siebie miną.

- To racja - zgodził się rycerz. - Ale pewnego dnia niestety przekonasz się, że nie masz żadnych przyjaciół ani sprzymierzeńców.

Ta uwaga dała młodzieńcowi do myślenia. Chyba w końcu zaczęło do niego docierać, że darowanie życia przeciwnikowi ma swoje dobre strony.

- Najważniejsze jest to - ciągnął Bayard - że głowa człowieka jest znacznie mniejszym celem i jeśli nie uda ci się zrzucić go z konia, może znów cię zaatakować. Spróbuj jeszcze raz, ale tym razem mierz w tarczę.

- Niech będzie - zgodził się Frederic, obracając konia.

Rzeczywiście tym razem mierzył w tarczę i trafił niemal w sam środek. Jego pan wykrzyknął z triumfem, gdy lanca przy uderzeniu pękła na pół. Rozległ się trzask łamanego drewna; manekin zachwiał się i giermek zrobił unik, by nie zostać uderzonym przez worek z piaskiem. Mocne wychylenie w prawo spowodowało jednak, że nie udało mu się odzyskać równowagi. Ciężki worek minął się z jego głową, ale on sam wypadł z siodła i mocno uderzył o ziemię.

Bayard zaklął i rzucił się w jego stronę. Chłopak leżał nieruchomo z bladą twarzą i zamkniętymi oczami.

- Frederic! - zawołał rycerz, opadając przy nim na kolana. Giermek powoli rozchylił powieki. Bogu dzięki żył, choć mógł być poważnie ranny.

- Czy ja umarłem? - zapytał niewyraźnie.

Z uczuciem ulgi Boisbaston usiadł na ziemi, wypatrując krwi i złamanych kości.

- Czy coś cię boli?

- Nie, chyba nie - odrzekł tamten, podnosząc się z wysiłkiem, mrugając powiekami i marszcząc czoło. - Dlaczego ten zamek się porusza?

- Kręci ci się w głowie.

- A tak, rzeczywiście - zgodził się młodzieniec. - Kręci mi się w głowie. Teraz już porusza się wolniej.

Zrzuciwszy z głowy hełm, Bayard pomógł Fredericowi wstać, a potem wziął go na rękę.

- Puść mnie, panie - zaprotestował giermek już bardziej energicznie. - Nie jestem dzieckiem!

- Nie ruszaj się - mruknął rycerz.

Musiał odnaleźć lady Gillian. Jako pani zamku powinna znać się trochę na medycynie. A jeśli nie, to będzie wiedziała, gdzie szukać medyka.

* * *

Lady d'Averette szła przez dziedziniec ze zmarszczonym czołem. Powinna pomyśleć o wieczery, ale głowę wciąż miała zaprzątniętą dzisiejszą sesją sądu i tym, co zdarzyło się później. Trudno jej było skupić myśli na grochu, soczewicy i szynce, gdy przez cały czas zastanawiała się, co by było, gdyby w porę nie odsunęła się od Bayarda.

Czy naprawdę by ją pocałował? A może chciał ją tylko onieśmielić?

Nie należała do kobiet, które wzbudzają w mężczyznach namiętność. Jeśli w ogóle

budziła w nim jakieś emocje, to zapewne tylko złość i frustrację. Te rozważania były zupełnie bezsensowne. Nawet jeżeli pojawiło się między nimi przelotne pragnienie, to tylko w wyniku napięcia, które gromadziło się przez cały dzień, i z pewnością nigdy więcej nie miało się to powtórzyć.

Naraz usłyszała kobiecy krzyk. Zatrzymała się i ujrzała Dene stojącą przy studni obok przewróconego wiadra. Dziewczyna rozdygotaną dłonią wskazywała na bramę. Gillian powiodła wzrokiem w tę stronę i zobaczyła sir Bayarda, który niósł w ramionach swego giermka.

- Boże drogi! - wykrzyknęła z przerażeniem, biegnąc w ich stronę. - Co się stało?

Chłopak podniósł głowę i nieco zawstydzony wymamrotał:

- Nic takiego, naprawdę.

A więc żył. Nie wyglądał też na poważnie rannego.

- Uderzył go manekin na placu ćwiczeń - wyjaśnił Boisbaston. - Ma zawroty głowy.

- Nic mi nie jest! - zawołał Frederic, usiłując wyrwać się z jego ramion i stanąć na nogi. - Naprawdę. Trochę kręciło mi się w głowie, ale teraz już czuję się dobrze.

Wyrywał się na próżno, było bowiem jasne, że jego pan nie zamierza postawić go na ziemi. I bardzo dobrze, pomyślała Gillian. Im mniej chłopak się poruszał, tym lepiej.

Najpierw musiała go zbadać.

- Położę go w moim łóżku - rzekł rycerz, nie zważając na protesty giermka.

- Zanieś go tam - powiedziała lady d'Averette - a ja zaraz do was przyjdę.

Zawołała Dene, która z pobladłą twarzą wciąż stała nieruchomo przy studni.

- Idź do kuchni, znajdź Selthę i powiedz jej, żeby przyniosła mi trochę gorącej wody i konew zimnej. A potem znajdź jakieś czyste płótno i przynieś je do komnaty sir Bayarda. Idź już, Deno.

Dziewczyna drgnęła jak wyrwana ze snu, a potem pobiegła do zamku wykonać polecenia.

Rozdział siódmy

Gdy Gillian zajmowała się gierkiem, Bayard stał za drzwiami komnaty. Nie zamierzał się stamtąd ruszyć, dopóki się nie dowie, jak poważne są urazy chłopaka.

W końcu z izby wyszła zalana łzami Dena. Serce rycerza ścisnęło się ze strachu.

- Jak się czuje Frederic? - zapytał.

- Będzie... wszystko będzie dobrze. Pani tak mówi... mam przynieść... coś do picia i... zawołać Robba, żeby przy nim siedział - odpowiedziała dziewczyna z trudem, między kolejnymi wybuchami szlochu.

Boisbaston poczuł ulgę. Lady d'Averette była inteligentną kobietą i miał zaufanie do jej oceny stanu zdrowia chłopca. Mądrze też uczyniła, wzywając do opieki nad nim żołnierza, do którego Bayard miał zaufanie i który z pewnością wypełni wszystkie jego polecenia, nie zważając na żądania i kaprysy podopiecznego.

W następnej chwili na schodach pojawił się Dunstan.

- Słyszałem, że twój giermek miał wypadek. Nie musisz się o nic obawiać, otrzyma tu należyłą opiekę. Umiejętności lady Gillian nie ustępują umiejętnościom żadnego medyka. Mój ojciec sam szkolił ją w sztuce leczenia, gdy był tu ochmistrem - powiedział protekcyjnym tonem, jakby sam wyuczył swoją panią.

- Dobrze to słyszeć - odrzekł rycerz, powstrzymując chęć zazgrzytania zębami. Naraz poczuł znużenie i zapragnął zostać sam. - Co cię tu sprowadza, Dunstanie? Przychodzisz z jakąś sprawą dotyczącą posiadłości, czy chciałeś tylko życzyć mojemu giermkowi szybkiego powrotu do zdrowia?

- Przyszedłem zapytać, czy moja pani życzy sobie, by czekać na nią z wieczerzą - odrzekł tamten i zastukał do drzwi. Gillian otworzyła. Ponad jej ramieniem Bayard dostrzegł Frederica, który siedział na łóżku. Był blady, ale przytomny.

- Pani - odezwał się ochmistrz.

Uciszyła go gestem i uśmiechnęła się do swego gościa.

- Wydaje mi się, że twój giermek nie doznał poważnych obrażeń. Jego duma ucierpiała bardziej niż ciało. Mimo wszystko powinien pozostać dziś w łóżku i przez kilka dni nie wsiadać na konia. Przy następnym upadku mógłby mieć mniej szczęścia.

- Nie będzie z tego zadowolony - zauważył jego pan i postąpił o krok do przodu. Dunstan niechętnie odsunął się na bok.

- Zapewne nie, ale lepiej zachować ostrożność. Dzisiaj w nocy trzeba go budzić przy każdej zmianie warty. Posłałam po jednego z twoich wojów, by przy nim siedział. - W jej oczach błysnęło coś na kształt rozbawienia. - Żołnierze nie są, co prawda, najczulszymi pielęgniarzami, ale można na nich polegać, że będą przestrzegać rozkazów i nie dadzą się zwieść uśmiechom ładnego chłopca.

Bayard skinął głową, choć wiedział, że dla niego oznacza to niespokojną noc spędzoną

przy posłaniu Frederica.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny za troskę i opiekę, pani.

- Na razie nic więcej nie możemy dla niego zrobić - odrzekła. - Nie musisz przy nim siedzieć.

- Zostanę tutaj, dopóki mój żołnierz nie przyjdzie.

- Dobrze. Powiedz mu, że ma budzić giermka przy każdej zmianie warty. A gdyby nie mógł go dobudzić, niech natychmiast po mnie pośle.

- Tak zrobię, pani. Dziękuję ci raz jeszcze.

* * *

Gdy Bayard wszedł do komnaty, Frederic próbował właśnie usiąść wygodniej.

- Nie ma potrzeby, bym zostawał w łóżku - powiedział urażonym tonem. - Naprawdę dobrze się czuję.

- Nie jesteś medykiem, więc lepiej rób to, co ci kazała lady Gillian - odrzekł rycerz, siadając obok niego na zydlu. - Czy bardzo boli cię głowa?

- Trochę.

Rozległo się pukanie i w drzwiach stanął Robb, wysoki i masywny żołnierz o krótko ostrzyżonych włosach. Pochodził z Yorkshire i mówiono o nim, że w młodości był kłusownikiem. Rzeczywiście najlepiej ze wszystkich żołnierzy potrafił tropić ślady. Bystry obserwator mógłby dostrzec, że on także znalazł się pod urokiem rudowłosej służącej.

- Poproszono mnie, bym pełnił rolę pielęgniarce - rzekł z szerokim uśmiechem.

Frederic zmarszczył czoło i szepnął:

- Jeśli już muszę mieć pielęgniarce, to poprosz, panie, żeby przysłano do mnie Dene.

Boisbaston nie dziwił się, że chłopak wolałby widzieć przy swoim łóżku ładną dziewczynę niż potężnego Robba, ale Gillian miała rację: żołnierz z pewnością będzie wypełniał polecenia, nie zważając na pogrożki czy pochlebstwa chorego.

- Możesz się czegoś nauczyć od tego woja. Poprosz go, by ci opowiedział, jak walczył z trzema rabusiami na londyńskim trakcie. Był nieuzbrojony, a oni mieli miecze. Jednak wszyscy trzej stracili życie, on zaś wyszedł z opresji zaledwie z kilkoma zadrapaniami.

Na twarzy Robba pojawił się szeroki uśmiech.

- Och, co to był za dzień - rzekł z rozmarzeniem.

- Odpocznij, tak jak kazała lady d'Averette - rzekł Bayard i pogładził giermka po brązowych włosach.

* * *

Noc spędził na stryszku z sianem. Było mu zimno i niewygodnie, ale przynajmniej nie musiał wysłuchiwać chrapania innych żołnierzy i służących, na co byłby skazany, śpiąc w świetlicy. Obudziło go własne kichanie. Źdźbła siana kłuły go przez koszulę. Odsunął drapiący pled, który dostał od Selthy, i wspierając się na kolanach i łokciach, zajrzał przez

szparę w podłodze do stajni. Ledwie świtało. Strażnicy przytupywali nogami, by odgonić poranny chłód. Sądząc po dymie, który wydobywał się z otworów dachu, służba kuchenna była już przy pracy.

Zawinał się w pled, myśląc, że po długich miesiącach spędzonych w zatęchłej, zimnej wieży jego brat uznałby zapewne tę stertę siana za luksus. Podczas gdy Armand cierpiał niewygodę, on sam spał w czystej pościeli, w ogrzewanej komnacie, choć, pomimo krążących plotek, nigdy w towarzystwie żony diuka d'Ormonde. Nie przeczył, że ta piękna kobieta była dla niego pewną pokusą; byłaby pokusą dla każdego mężczyzny, którego kokietowałyby nieustannie, powtarzając przy tym, że czuje się samotna. Bayard jednak był nie tylko jeńcem diuka, ale również jego gościem i postanowił przestrzegać zasad, jakie nakazywał honor.

Wcześniej były w jego życiu inne kobiety, ale ich mężowie nie udzielali mu gościny. Ładne dziewczyny i piękne damy. Uwiódł ich co najmniej tuzin, choć nie aż tyle, ile mu przypisywano. Ilu kobietom jednak udało się dotrzeć do jego serca? Przeważnie widziały w nim tylko przelotną uciechę, kochanka na kilka namiętnych nocy, urozmaicenie nudnego życia. Zapewne żadna z nich nie odważyłaby się przeciwstawić dla niego woli króla, tak jak Adelaide uczyniła to dla Armanda.

Ta myśl przygnębiła Bayarda. Gdyby jego los miał zależeć od wstawiennictwa kobiety, którą z nich by wybrał: jasnowłosą Marion z dołeczkami w policzkach, Amelie, która chichotała przy każdej pieszczocie, a może Jocelyn, najładniejszą z nich, ale myślącą tylko o sukniach, klejnotach i plotkach? Nie. Gdyby znalazł się w poważnych kłopotach i gdyby potrzebował pomocy rozsądnej i odważnej kobiety, jedna tylko przychodziła mu na myśl: lady Gillian.

A gdyby chciał mieć kochankę, która nie wybuchałaby chichotem przy każdym dotknięciu ani nie patrzyła na niego jak na część swojego inwentarza, i z którą mógłby porozmawiać o czymś innym niż intrygi dworskie Tf5.52 0 TD 0.Tj-0.24 Tc y) Tj0.24 Tc b)0.05952

dyna kobieta w tym zamku, której nie powinien pożądać.

Postanowił najpierw zajrzeć do Frederica. Był za niego odpowiedzialny i powinien sprawdzić stan jego zdrowia, nim pójdzie na śniadanie. Przeskakując po dwa stopnie, wbiegł do sypialni, otworzył drzwi i zatrzymał się w progu jak wryty.

Z ust giermka wyrwało się soczyste przekleństwo. Wyskoczył z łóżka i pochwycił pled, by zakryć swoją nagość. Tymczasem Dena z twarzą czerwoną jak mak próbowała osłonić nagie piersi prześcieradłem.

Rozwścieczony Bayard zatrzasnął za sobą drzwi.

- Gdzie, do diabła, podziewa się Robb?! - To było głupie pytanie.

- Dena go zmieniła - odpowiedział chłopak, owijając się pledem w pasie, by zachować resztki godności.

Służąca wybuchnęła płaczem.

- Wybacz mi, panie! Wypełniałam twoje polecenia, budziłam Freddy'ego przy każdej zmianie warty...

- Freddy'ego?

- Kocham go, panie - wyjąkała. - Chciałam mieć pewność, że dobrze się czuje i że ma odpowiednią opiekę...

Nie mogła dostrzec twarzy giermka, ale Bayard tak. Malowała się na niej irytacja spowodowana tym, że zostali przyłapani, nie było jednak po nim widać wyrzutów sumienia. Nie próbował też stanąć w obronie Deny, co dla jego pana było jasnym świadectwem, że jej los tak naprawdę nic go nie obchodził. Wykorzystał ją, by rozładować pożądanie, ale nic więcej dla niego nie znaczyła.

Ona jednak była przekonana, że łączy ich uczucie. Biedne, naiwne dziewczę. Boisbaston nawet w najgorszym, najbardziej samolubnym okresie swej młodości nie traktował kobiet tak lekceważąco, nawet gdy były tylko zwykłymi służącymi.

- Ubierz się, Deno, i wyjdź stąd.

Jej wzrok przebiegł z twarzy rycerza na Frederica i z powrotem.

- Freddy? - zapytała niepewnie.

- Lepiej idź stąd, Deno - odrzekł z zimną arogancją, od której Bayardowi zrobiło się niedobrze. Przeklinał w duchu giermka za to, że wykorzystał tę dziewczynę, a także siebie samego, gdyż nie ostrzegł chłopaka, by trzymał się z dala od kobiet w tym zamku, gdzie byli gośćmi. Nie dopełnił obowiązku, a teraz musiał jakoś ratować sytuację.

Wciąż pochlipując, służąca wygrzebała się z łóżka, ale zatrzymała się w pół ruchu i z mocnym rumieńcem na twarzy zerknęła niepewnie na rycerza. Odwrócił się plecami, pozwalając jej ocalić resztkę godności.

- Wybacz mi, panie, wybacz - szlochała, tym razem zwracając się do Frederica. - Kocham cię.

Gdy nic na to nie odpowiedział, zapytała głosem, w którym brzmiało cierpienie:

- A ty mnie nie kochasz?

- Być może coś takiego powiedziałem w chwili namiętności - rzekł niechętnie.

Boisbaston przypomniał sobie inną kobietę, która wypowiadała niemal te same słowa i którą jego ojciec kazał przepędzić od bram zamku biczem. „Mówiłeś, że mnie kochasz” - lamentowała, obejmując szczupłymi ramionami małego chłopca, którego próbowała uchronić od ciosów. - „Mówiłeś, że mnie kochasz”. To było dawno, ale właśnie ze względu na to wspomnienie Bayard nigdy nie powiedział żadnej kobiecie, że ją kocha, choćby najbardziej jej pożądał.

Roztrzęsiona Dena wybiegła z komnaty w luźno narzuconej na ramiona sukni.

Rozpuszczone rude włosy powiewały za nią jak flaga.

Rycerz stanął twarzą do swego giermka, ubranego już w nogawice, buty i wypuszczoną na wierzch koszulę.

- Coś ty narobił?!

Chłopak tylko wzruszył ramionami.

- Jesteśmy tu gośćmi! Nadal milczał.

- Czy była dziewczicą, gdy po raz pierwszy wzięłeś ją do łóża? Tym razem Frederic wymamrotał coś pod nosem. Sir Bayard zacisnął zęby i zwinął dłonie w pięści.

- Była dziewczicą czy nie? Nie wiesz, czy jesteś zupełnie głupi?

- A jakie to ma za znaczenie? - zapytał tamten, unikając wzroku swego pana. - Nie jest przecież dzieckiem.

- Bogu dzięki. A co zrobisz, jeśli będzie miała dziecko?

- Nie musi być moje.

- Mam uwierzyć, że po tym, jak oddała ci dziewictwo, od razu zaczęła sypiać ze wszystkimi mężczyznami dookoła? Na rany Boga, odebrałeś jej wianek, czy chcesz ją jeszcze pozbawić honoru?

Giermek bezradnie wzruszył ramionami.

- To tylko chłopka.

Boisbaston powstrzymał się resztką cierpliwości, by nie uderzyć go w twarz.

- A jeśli za dziewięć miesięcy urodzi, nie będziesz się czuł odpowiedzialny za to dziecko ani za nią?

Frederic podniósł na niego oskarżycielskie spojrzenie.

- A dlaczego miałbym się czuć odpowiedzialny? Jestem synem szlachcica. Chyba nie oczekujesz, panie, bym się ożenił z tą dziewczyną?

- Nie - odrzekł Bayard, bowiem w tej sprawie chłopak miał rację. - Ale oczekuję, że zachowasz się honorowo.

- Ty przez cały czas sypiasz z kobietami - odparował młodzieniec, prostując ramiona. - Jakie masz prawo mnie pouczać?

Rycerz nie mógł dłużej opanować gniewu. Pochwycił go za koszulę pod szyją i pchnął

na kolumnkę podtrzymującą baldachim łoża.

- Wchodząc z tobą do łóżka, Dena złożyła swój los w twoje ręce, i na Boga, masz ją traktować dobrze, bo jak nie, to odwiozę cię do ojca i powiem mu, że nie chcę mieć za giermka takiego łajdaka bez honoru.

- Puść mnie! - zawołał Frederic bezradnie.

- Czy wydaje ci się, że teraz cierpisz, chłopcze? Czy widziałeś kiedyś rodzącą kobietę, słyszałeś jej krzyk? Czy słyszałeś kiedyś płacz kobiety, która została nazwana tanią dziewczką i wypędzona biczem z zamku tylko dlatego, że jakiemuś mężczyźnie udało się dzięki słodkim słówkom dostać między jej uda?

Naraz ogorzała od słońca dłoń pochwyciła go za ramię.

- Przestań!

Spojrzał na bladą twarz Gillian z mocno zaciśniętymi ustami. Na progu komnaty stała Dena, cała drżąca, chowając twarz w dłoniach. Giermek roztarł obolałe gardło i wyciągnął oskarżycielsko palec wskazujący w stronę swego pana.

- On... on próbował mnie zabić. Bayard zmierzył go zimnym spojrzeniem.

- Gdybym chciał cię zabić, to już byś nie żył.

- Panie - odezwała się Gillian władcym tonem. - Frederic jest również moim gościem i więcej go nie dotkniesz.

- Żałuję, pani, że mój sługa w tak podły i okrutny sposób uwiódł twoją pokojówkę.

- Ja jej nie uwiódłem - zaprotestował chłopak ochryplym głosem. - Sama tego chciała. Powiedz im, Deno! Przecież do niczego cię nie zmuszałem, prawda? Oddałaś mi się z własnej woli.

Dziewczyna opuściła ręce.

- Tak - szepnęła. Twarz miała opuchniętą i zalaną łzami. - Chciałam tego.

- Widzicie - wychrypiał. - Nie zrobiłem nic złego.

- Myślałam, że on mnie kocha, pani - wyjaśniła Dena, ocierając twarz. - Tak mówił, a ja mu uwierzyłam.

- Czy to prawda? - zapytała Gillian.

- Mogłem coś takiego powiedzieć - przyznał Frederic niechętnie, wydymając pierś jak oburzony kogut. - Sir Bayard miał mnóstwo kobiet, inni rycerze też. Nie ma w tym nic złego, w końcu to tylko służąca.

- Nigdy nie uwiódłem żadnej kobiety, ani damy, ani służącej, dzięki słodkim słówkom i obietnicom miłości - odparował Boisbaston. - A gdyby kobieta urodziła moje dziecko, zadbałbym o nią i dopilnowałbym, by nie cierpiała z powodu mojej rozrywki.

Lady d'Averette obrzuciła giermka spojrzeniem, które mogło zmrozić staw w środku lata, a potem podeszła do Deny i objęła ją ramieniem.

- Idź do mojej komnaty i poczekaj tam na mnie - powiedziała łagodnym tonem, jakiego Bayard jeszcze nigdy u niej nie słyszał. Jej głos brzmiał zupełnie inaczej niż w rozmowach z

nim czy podczas sesji sądu. Miał wrażenie, że istnieją dwie kobiety o imieniu Gillian: władczyni oraz czuła opiekunka, która dbała o swoich poddanych, jakby byli jej rodziną.

Dziewczyna wybiegła z komnaty, pociągając nosem.

- Pani - powiedział Boisbaston już spokojniej. - Masz moje słowo, że jeśli Dena będzie miała dziecko, nie zostanie sama w potrzebie. Jeżeli Frederic nie zechce o nią zadbać, ja to zrobię.

- Czy wyrzucasz mnie ze służby, panie? - zapytał chłopak, wierząc czubkiem buta w podłogę. Mimo wysiłków nie udało mu się opanować drżenia głosu. Bayard wiedział, że ojciec giermka jest surowy i dumny, podobnie jak jego własny rodzic. Między innymi dlatego przyjął go na służbę. Chciał mu pokazać, że dobrym sercem również można zasłużyć na szacunek innych. Taki był Armand i on sam też próbował być taki. Gdyby Frederic wrócił do domu w niesławie, zapewne dostałby solidne lanie od ojca, i jak wówczas traktowałyby w przyszłości kobiety? Pewnie uznałyby, że wszystkie są odpowiedzialne za jego hańbę.

Wielu młodzieńców na jego miejscu uczyniłoby to samo. Bayard był przekonany, że jeśli nikt mu nie pokaże bardziej honorowego sposobu postępowania z kobietami, to prawdopodobnie będzie je nadal traktował wyłącznie jako obiekt swoich uciech.

Ale jeśli chłopak wolał wrócić do domu, nie należało go zatrzymywać.

- A czy ty chcesz tu pozostać? - zapytał.

- Tak - zająknął się Frederic, wyraźnie zdziwiony.

- Panie - wtrąciła Gillian stanowczo. - To jest mój zamek.

- Racja - przyznał rycerz, zanim znów zdążyła wpaść w złość. - I z tego powodu decyzja, czy mój giermek ma zostać, czy wyjechać, należy do ciebie.

Zauważył, że rozluźniła się nieco.

- Ponieważ to Dena najwięcej ucierpi z powodu jego głupoty, ona powinna zdecydować. Jeśli zechce, by wyjechał, to wyjedzie.

Bayard skinął głową i zatrzymał wzrok na twarzy chłopaka.

- Lady Gillian pójdzie porozmawiać z dziewczyną, a ja zaczekam w świetlicy. Zdaje się, że nic ci już nie dolega po wczorajszym upadku, więc zostaniesz tu sam, byś mógł się zastanowić nad odpowiedzialnością, jaka wiąże się z życiem rycerza. Jeśli ruszysz się choć na krok z tej izby, dopóki nie wydam na to pozwolenia, to bez względu na decyzję lady d'Averette ja sam odeślę cię do domu. Rozumiesz?

- Tak, panie - odpowiedział Frederic tak cicho, że prawie w ogóle nie było go słychać.

- Pani - rzekł Bayard uprzejmie, podając ramię Gillian. Przyjęła je i razem wyszli z izby. Winowajca ciężko usiadł na łóżku i patrzył za nimi.

Rozdział ósmy

- Szczerze żałuję tego, co się stało, pani - powiedział Bayard, idąc z lady d'Averette w stronę jej komnaty, która znajdowała się na drugim końcu korytarza. - Zawiodłem w swoich obowiązkach wobec ciebie i twojego domostwa. Jeśli chodzi o to, by to Dena zdecydowała, czy Frederic ma zostać, czy wyjechać, zgadzam się. Wszak to ona okryje się największym wstydem, gdy rozniosą się plotki o jej pohańbieniu, bez względu na to, czy będzie miała dziecko, czy też nie. Doceniam twoją dobroć i wielkoduszność, sądzę jednak, że chłopak nie jest zupełnie zły i mam nadzieję, że z czasem, pod przewodnictwem silnej ręki, stanie się lepszy.

Zerknęła na niego z ukosa, zdziwiona, że słyszy takie słowa od mężczyzny, a w dodatku od szlachcica. Obietnica, że przejmie odpowiedzialność za uczynki swego giermka, nawet jeśli on sam będzie się od niej uchylał, była równie niezwykła. Wielu szlachetnie urodzonych traktowało żeńską część służby jako obiekt wyładowania swego pożądania; sądzili nawet, że kobiety powinny czuć się zaszczycone ich względami. Gillian wierzyła również, że Bayard mówił szczerze, gdy zapewniał, że nigdy nie uwiódł kobiety, fałszywie zapewniając ją o miłości.

Zatrzymali się przy drzwiach do jej komnaty, zza których dochodziło łkanie Deny.

- Mój ojciec często wykorzystywał kobiety dla rozrywki - wyjaśnił Boisbaston, wpatrując się w zamknięte drzwi jak w obraz. - Zapewniał je o miłości i obiecywał, że będą bezpieczne, a potem, gdy się nimi znudził, porzucał je i szukał następnej ofiary. Prawdopodobnie mam braci z nieprawego łoża rozsianych po całej Anglii. Wiem przynajmniej o jednym, bo jego matka przyprowadziła go do naszego zamku, gdy byłem chłopcem. Mój ojciec nazwał ją tanią, śmierdzącą ladacznicą i kazał wypędzić biczem za bramy. Nigdy tego nie zapomnę. Do końca życia będzie mnie prześladował wstyd, jaki wówczas czułem.

Gillian zrozumiała teraz jego postawę oraz propozycję, jaką uczynił wcześniej.

- Dopóki ja jestem panią tego zamku, Dena będzie tu dobrze traktowana - zapewniła poważnie.

Skinął głową i gdy na nią spojrział, ujrzała w jego oczach ulgę i wdzięczność. Po chwili kąciki jego ust drgnęły w uśmiechu.

- Czy ktoś powiedział ci już kiedyś, pani, że gdy tak wpatrujesz się w czyjaś twarz, to ma się wrażenie, jakbyś próbowała wydobyć z niej wszystkie sekrety?

Spojrzała w bok i zarumieniła się. Jednak on wyciągnął rękę i obrócił jej twarz w swoją stronę.

- Każdy ma swoje sekrety, pani. Sądzę, że ty również.

Nie wytrzymała jego nieruchomego wzroku z obawy, że jeśli będzie zbyt długo wpatrywać się w te ciemne oczy, to rzeczywiście ujawni mu wszystkie swoje tajemnice, co do jednej. Szybko odwróciła głowę, przypomniawszy sobie wszystko, co wcześniej o nim

słyszała.

- Jeśli to, co mówią o tobie, panie, jest prawdą, to zapewne masz już kilkoro dzieci.

Światło w jego oczach przygasło, a usta zacisnęły się w wąską kreskę.

- Nie, nie mam, a jeśli nawet mam, to nic o tym nie wiem. Z pewnością słyszałaś różne plotki, zapewniam cię jednak, że liczba moich podbojów jest w tych plotkach znacznie przesadzona. Nie jestem lubieżnym uwodzicielem, za jakiego ludzie mnie uważają. Owszem, miałem kochanki, ale troszczyłem się o nie wszystkie.

- Ale nie na tyle, by się z nimi ożenić - odparowała Gillian.

- Ich uczucia też nie były głębokie. Łączyło nas kilka przyjemnych nocy i nic więcej. Zarówno one doskonale zdawały sobie sprawę z moich uczuć, a raczej ich braku, jak i ja wiedziałem, że jestem im zupełnie obojętny.

Nie wydawał się zadowolony czy dumny z siebie, ale też nie wyglądał na człowieka dręczonego wyrzutami sumienia. Ton głosu miał rzeczowy, jakby rozmawiali o uzbrojeniu czy o pogodzie. Ona zapewne użyłaby takiego samego tonu, gdyby miała mu opowiedzieć o Jamesie. Z pewnością nie ujawniałaby głębi swych uczuć przed kimś, kogo dobrze nie znała.

- Porozmawiam z Deną - powiedziała. Nacisnęła klamkę i szybko weszła do środka, uciekając przed jego ciemnymi, zmartwionymi oczami i przed współczuciem, które w niej wzbudził.

* * *

Dziewczyna siedziała na zydłu przy oknie. Ramiona miała przygarbione, a dłonie bezwładnie złożone na kolanach, jakby zabrakło jej już siły na płacz. Serce Gillian wezbrało współczuciem. Zbyt dobrze rozumiała jej cierpienie i pragnienie, by oddać się komuś w pełni, pragnienie, przy którym moralność, zasady i prawo wydawały się stworzone tylko po to, by zamknąć ludziom drogę do szczęścia.

Rozumiała przekonanie, że wszystko, o co ukochany prosi albo czego sobie życzy, jest dobre, słuszne i warte wszelkiego poświęcenia. Ona również doznała kiedyś mrozącego krew w żyłach strachu, że to pragnienie oraz uczynki, które z niego wynikły, zostaną publicznie ujawnione i doprowadzą ją do wstydu i hańby. Znała lęk, że za dziewięć miesięcy urodzi nieślubne dziecko.

Jej jednak udało się uniknąć tego losu; jej wstyd wciąż pozostawał sekretem, który James zabrał ze sobą do grobu. Na nieszczęście dla Deny jej uwiedzenie nie mogło pozostać w ukryciu. Kilkoro służących widziało już i słyszało, jak dziewczyna szłocha w korytarzu, przycupnięta w kącie niczym pogrążone w bólu zwierzę, i pytało ją, co się stało.

Gillian musiała użyć całego swojego autorytetu, aby zmusić ją do mówienia, a i tak trudno było zrozumieć jej splątane wyjaśnienia. Seltha i Joanna również je słyszały i było zupełnie pewne, że ta historia lotem błyskawicy obleci cały zamek, kuchnię, stajnię i kwatery dla strażników, a potem rozniesie się po wiosce. Temu nie mogła zapobiec nawet pani na Averette. Mogła jednak dopilnować, by Dena nie cierpiała bardziej, niż było to konieczne.

Słyszając szcęk zamykanych drzwi, służąca podniosła głowę, ale nie zaczęła znów płakać. W jej oczach rozbłysnął ogień. Podniosła się z miejsca z nieoczekiwaną energią.

- Och, pani, jakąż byłam głupia.

Zdumiona tą nagłą zmianą Gillian nie wiedziała, jak ma zareagować. Wszelkie słowa pociechy umknęły jej z głowy. Bezradnie wskazała gestem zydel.

- Usiądź.

Dziewczyna usiadła, ale zaraz znów się poderwała, zbyt ożywiona, by usiedzieć na miejscu.

- Byłam głupią gęsią, głupio zakochaną, naiwną gęsią - mówiła z gniewem. - Ale gdy on powiedział, że mnie kocha...

Lady d'Averette otoczyła ją ramieniem, obwiniając się, że nie zwracała większej uwagi na to, co się działo w jej zamku. Tamta jednak strząsnęła jej ramię, jakby nie mogła znieść dotyku.

- Nie, pani, proszę, nie użalaj się nade mną. Wiedziałam, w głębi serca wiedziałam, że coś jest nie tak i że on nie dba o mnie tak jak ja o niego. Ale naiwnie zlekceważyłam ostrzeżenia własnego serca i sumienia. Sądziłam, że uda mi się sprawić, by mnie pokochał, szczególnie jeśli... jeśli... - Zakryła twarz dłońmi. - Och, pani, tak mi wstyd.

Gillian przyklękła przed nią i delikatnie odsunęła dłonie z jej twarzy.

- Popełniłaś błąd, ale największym wstydem okrywa on mężczyznę, który cię wykorzystał i okłamał, by dostać to, czego pragnął.

Pokojówka pociągnęła nosem i wzięła urwany oddech.

- Mówił, że jestem piękna, że nawet moje włosy są piękne. Wszyscy uważają moje włosy za brzydkie. Sądzą, że jestem przeklęta przez ten kolor.

- Rozumiem, Deno. Naprawdę cię rozumiem - odrzekła jej pani, przypominając sobie rycerza, który mówił jej kiedyś, że ma włosy miękkie jak jedwab.

W oczach dziewczyny błysnęła nadzieja.

- Czy to znaczy, pani, że nie odeślesz mnie stąd?

- Nie, jeśli sama tego nie zechcesz, choć nie będzie ci tu łatwo. Ludzie dowiedzą się o wszystkim i będą cię osądzać. Możliwe, że będą cię unikać i obrzucać wyzwiskami, a inni mężczyźni mogą uważać cię za łatwą zdobycz.

- To niech uważają - zawołała, znów zrywając się na nogi. Całe jej ciało drżało z determinacji. - Szybko się przekonają, że tak nie jest. Nie zrobię tego nigdy więcej!

- A jeśli będziesz miała dziecko? - spytała Gillian, podnosząc się powoli.

Służąca wyraźnie spłoszyła się i przesunęła ręką po brzuchu. Podniosła wzrok i zapytała drżącymi ustami:

- A jeśli tak będzie, czy wówczas, pani, każesz mi odejść z Averette?

- Nie, to będzie zależało tylko od ciebie. A czy będziesz miała dziecko?

Dena przygryzła usta.

- Nie wiem jeszcze na pewno, pani, ale to możliwe.

- W takim razie moja ochrona będzie ci potrzebna jeszcze bardziej. Otrzymasz ją - odrzekła lady d'Averette, ujmując jej dłoń w swoje.

Naraz dziewczyna zachwiała się na nogach i omal nie upadła.

- Jesteś dla mnie taka dobra, pani - szepnęła. - Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś...

- Cicho już, cicho - powtarzała kojąco Gillian, prowadząc ją w stronę łóżka. Obawiała się, by Dena nie rozchorowała się z nerwów. - Połóż się teraz i odpocznij.

- Och nie, nie na twoim łóżku, pani.

- Rozkazuję ci to.

Pokojówka usłuchała, poruszała się jednak tak delikatnie, jakby łóżko mogło się pod nią załamać.

- Wiedziałam, że on się ze mną nie ożeni - wyznała, gdy jej pani przykrywała ją pledem. - On jest prawie rycerzem, a ja tylko córką tkacza. Ale wielu szlachciców ma kochanki, które darzy uczuciem i traktuje równie dobrze jak swoje żony, a czasem nawet lepiej. Myślałam, że może... może to nie jest najbardziej godny sposób życia, ale mogłabym być z nim i to by mi wystarczyło, bo bardzo go kochałam. - Stłumiła szloch i otarła łzy z zarumienionego policzka. - Chyba nie mogłam być już bardziej głupia.

- Zaufałaś mu, a on cię oszukał - powiedziała Gillian, siadając na skraju łóżka. - Nie jesteś pierwszą kobietą, którą zdradził kochanek i, niestety, na pewno nie ostatnią.

- Czy sądzisz, pani, że sir Bayard mówił szczerze, gdy obiecywał, że zadba o moje dziecko i o mnie, jeśli Frederic tego nie zrobi?

- Tak, wierzę mu. - Lady d'Averette ujęła dłoń dziewczyny i popatrzyła na nią poważnie. - Czy chcesz, bym odesłała giermka z zamku?

Dena szeroko otworzyła oczy. Wydawała się teraz jeszcze młodsza, wyglądała jak niewinne dziecko.

- A czy odesłałabyś go ze względu na mnie?

- Oczywiście, że tak - zapewniła jej pani z uśmiechem. - I sir Bayard zgodziłby się na to?

- Nie miałby wyboru. To ja zarządzam Averette, nie on.

Służąca zmarszczyła czoło w głębokim namyśle, a potem potrząsnęła głową.

- Niech zostanie. Jego pan jest dobrym człowiekiem i myślę, że dla Frederica jest jeszcze nadzieja. Może teraz nauczy się, jak być rycerzem takim jak sir Bayard.

Gillian uświadomiła sobie, że ona również tak myśli.

- Ale będziesz musiała widywać chłopaka w zamku i na dziedzińcu - przypomniała.

- A czy będę musiała go obsługiwać?

- Nie, masz moje pozwolenie, by zupełnie go ignorować. Na ustach Deny pojawił się drwiący uśmiech satysfakcji.

- To dobrze. Niech zostanie.

- Odpocznij teraz - rzekła Gillian, podnosząc się. Powiem Boisbastonowi, że jego giermek nie musi opuszczać zamku. Powiem mu też, że Frederic ma zakaz rozmowy z tobą, a jeśli spróbuje się do ciebie zbliżyć, to jeszcze tego samego dnia będzie musiał wyjechać.

Twarz dziewczyny, na której jeszcze przed chwilą malowało się zdecydowanie, znów rozplynęła się w cierpieniu. Ukryła głowę w poduszce.

- Już nigdy więcej się nie zakocham.

Lady d'Averette odsunęła pasmo rudych włosów z jej zarumienionego policzka.

- Mówisz tak, bo jesteś zła i zdenerwowana. Ale jesteś jeszcze młoda, miłość może do ciebie przyjść.

Wyszła z sypialni. W świetlicy spotkała Bayarda, który niespokojnie przechadzał się po podwyższeniu. Na jej widok zatrzymał się i zwrócił na nią przenikliwe spojrzenie ciemnych oczu.

- Frederic może zostać. Dena ma nadzieję, że nauczysz go, jak być lepszym człowiekiem. Ja również - dodała miękko.

Rycerz zarumienił się i odetchnął z ulgą.

- Zrobię, co w mojej mocy, pani.

Gillian rozejrzała się dokoła, sprawdzając, czy w pobliżu nie kręci się żaden sługa, który mógłby usłyszeć ich rozmowę. Jeśli to było możliwe, chciała oszczędzić pokojówce nieprzyjemności.

- Być może Dena będzie miała dziecko.

- Jeśli tak się stanie, to będzie, jak powiedziałem - odrzekł Bayard równie cicho. - Mój giermek albo ja zadbamy o to, by obydwójcie, ona i dziecko, mieli co jeść, gdzie się podziać i w co się przyodzierać.

- Dziękuję ci, panie. A teraz zechciej mi wybaczyć, ale mam jeszcze wiele do zrobienia. Ta smutna sprawa odciągnęła mnie od obowiązków.

Skinął głową, patrząc za nią, zdziwiony odkryciem nowej strony jej charakteru. Miała prawo wyrzucić dziewczynę ze służby, a jednak potraktowała ją z dobrocią i współczuciem, jakby dobrze rozumiała jej cierpienie. A może rzeczywiście je rozumiała? Dlaczego właściwie tak chłodno traktowała wszystkich mężczyzn? Czyżby sama została kiedyś zdradzona przez kochanka?

Pierwszego dnia po przybyciu do Averette Boisbaston zaśmiałyby się ironicznie na samą myśl o tym, że lady Gillian mogła mieć kiedyś kochanka, ale teraz był w stanie w to uwierzyć.

Idąc do swej komnaty, by powiedzieć Fredericowi, że może zostać, zastanawiał się, kto miał tyle szczęścia, by zdobyć serce takiej kobiety, po czym okrutnie i podle ją porzucił.

* * *

W trzy wieczory później Dunstan, Frederic oraz Charles de Fenelon siedzieli w izbie ochmistrza nad kielichami z winem przyniesionym przez kupca. Ogień płonący w kominku

oświetlał ich twarze.

De Corley zajmował komnatę znajdującą się pod sypialniami rodziny. Choć on sam nosił surowe stroje, jego mieszkanie urządzone było z istic orientalnym przepychem. Łóżko osłaniały jedwabne kotary, meble były z misternie rzeźbionego i polerowanego dębu, a podłogę wyścielał gruby dywan w jaskrawe wzory.

- Czy naprawdę masz zakaz wychodzenia z zamku? - zapytał Charles, usłyszawszy skargę giermka na los, jaki go spotkał.

Dunstan od samego początku spotkania milczał ponuro, wpatrując się w swój kielich.

- Wolno mi wychodzić tylko w jego towarzystwie - mruknął Frederic. Nie musiał wyjaśniać, o kim mówi. - Przez cały czas obserwuje mnie jak jastrząb. Nie mogę nawet pójść do ogrodu, muszę się opowiadać przy każdym ruchu. I muszę spać w świetlicy, a tam wszyscy chrapią i zupełnie nie da się zasnąć. Moim zdaniem to niska i niegodna kara. Wolałbym chłostę. - Sięgnął po puchar i napił się wina. - A dzisiaj kazał mi pracować w zbrojowni. Mnie! W zbrojowni! W końcu mam być wkrótce pasowany na rycerza. A po śmierci ojca zostanę panem rozległych dóbr. - Wyciągnął puchar w stronę kupca. - Wiesz, co o tym myślę?

Charles był pewien, że bez względu na to, czy zechce, czy nie, i tak to usłyszy.

- Myślę, że on chciałby, bym sam stąd wyjechał, dlatego że lady Gillian jest na mnie zła, a on się jej boi. Ha, wielki wojownik! - prychnął. - Gdyby mój ojciec wiedział, jak on mnie traktuje, to odciąłby mu uszy.

- To dlaczego nie wrócisz do domu, do ojca? - zapytał de Fenelon, dolewając chłopakowi wina.

- Żeby sir Bayard powiedział, że uciekłem? Nigdy w życiu.

- Ach, więc o to chodzi. Ale przecież nie zrobiłeś nic karygodnego. Jestem pewien, że ta dziewczyna sama cię sprowokowała. One wszystkie są jednakowe. Najpierw same się o to proszą, a potem krzyczą o gwałcie.

- Nigdy nie twierdziła, że ją zgwałciłem - przyznał Frederic.

- Bo nie zrobiłeś tego. A gdyby nawet tak powiedziała, to mógłbyś przecież udowodnić, że sama wróciła po więcej. Widocznie jesteś niezły w tych sprawach - dodał kupiec ze znaczącym mrugnięciem.

Chłopak rozpromienił się z dumy. Dunstan raptownie podniósł głowę i wyciągnął swój kielich.

- Masz rację - wymamrotał nieco niewyraźnym głosem. - One takie są. Same prowokują, a gdy próbujesz ich dotknąć, stają się zimne jak lód. - Poruszył gwałtownie pucharem, wychlapując wino na kosztowny dywan. - Ale mylisz się co do Boisbastona. Ten łądak wcale nie obawia się lady Gillian. Próbuje się wkraść do jej łóżka. Wszyscy to widzą oprócz niej. - Popatrzył na swych towarzyszy przekrwionymi oczami, w których błyszczała złość. - Uważałem ją za bystrą kobietę, ale jest równie zaślepiona jak wszystkie inne. A on

zachowuje się, jakby był drugim earlem Pembroke.

- Którym z pewnością nie jest - zgodził się Charles. - Opowieści, które słyszałem...

Potrząsnął głową, jakby były to historie niegodne powtarzania, ale w gruncie rzeczy czekał na zachętę, by mówić dalej. Nie musiał czekać długo; Frederic natychmiast zaczął domagać się dalszego ciągu opowieści.

- No cóż, przede wszystkim oczywiście młoda żona diuka d'Ormonde - wyjaśnił de Fenelon. - Uwiódł ją, choć jej mąż potraktował go niezwykle uprzejmie. To u nich rodzinne. Mówią, że jego ojciec próbował się dostać pod spódnicę każdej kobiety, która pojawiła się w pobliżu.

- Podobno lord Armand też jest przystojny? - zapytał Dunstan, znów wyciągając kielich po dolewkę. Kupiec pomyślał, że jeśli ochmistrz nie zwolni tempa, to będzie musiał zacząć wydzielać mu wino, bo inaczej skończy się ono przed upływem tygodnia.

- Jest przystojny, chociaż często ubiera się jak chłop.

Zbyt późno Charles przypomniał sobie, że lady Gillian również lubi nosić proste szaty. Na szczęście jego towarzysze nie zauważyli tej gafy.

- Wszystkie kobiety głupieją, gdy zobaczą przystojnego mężczyznę - mruknął Dunstan. - W ogóle nie zwracają uwagi na tych, którzy przez cały czas pracują i dbają o nie, a wystarczy, że pojawi się jakiś łajdak o przystojnej twarzy i już są gotowe rozsunać dla niego nogi.

- Z pewnością wiele kobiet rozsuwało nogi dla Bayarda de Boisbastona - zgodził się kupiec. Odczekał chwilę, po czym zaryzykował kolejny strzał: - Mam tylko nadzieję, że lady d'Averette oprze się jego urokowi i sztucznym uśmiechom.

Westchnął ze znużeniem i potrząsnął głową, dając do zrozumienia, że sam w to nie wierzy. Frederic z błyskiem w oku pochylił się nad stołem.

- Sądysz, że ona i on...?

- Nie byłbym zdziwiony, gdyby już do tego doszło. Ochmistrz rzucił puchar na podłogę i podniósł się chwiejnie.

- Nie pozwoliłaby mu na to. Nie ona. A w dodatku są spowinowaceni przez małżeństwo jej siostry.

De Fenelon wznosił puchar i napełnił go raz jeszcze.

- Rzecz jasna, mam nadzieję, że sir Bayardowi jeszcze się nie powiodło - odrzekł gładko. - Ale z pewnością będzie próbował. Dla kogoś takiego jak on, wychowanego przez człowieka, jakim był jego ojciec, uwodzenie jest drugą naturą.

- Nie ona - upierał się Dunstan, chwiejąc się na nogach. - Jest zbyt bystra. Nie pozwoliłaby mu na to. Nie ona.

Charles podniósł się i posadził ochmistrza na krześle.

- Oczywiście, jest mało prawdopodobne, by akurat ona poszła na lep jego słodkich słówek i czułych spojrzeń. Ale mimo wszystko to tylko kobieta.

Zerknął na giermka, który siedział podejrzenie cicho.

- Może ze względu na dobro pani ktoś powinien obserwować sir Bayarda - powiedział po chwili. - Po tym, jak ukarał i upokorzył mnie za znacznie mniejsze wykroczenie, dobrze by mu zrobiło, gdyby ktoś wyciągnął na jaw jego własne nieczne sprawki.

Odczekał chwilę, by jego słowa zdążyły zapaść w umysły słuchaczy, a potem ciągnął:

- Co by się wówczas stało z tą biedną, pohańbioną damą? Czekaloby ją upokorzenie i niesława. Gdyby jakikolwiek mężczyzna zechciał jej jeszcze zaproponować małżeństwo, musiałaby go przyjąć z wdzięcznością.

Frederic wpatrywał się z namysłem w migoczące płomienie. W przekrwionych oczach ochmistrza błysnęła nadzieja. Charles de Fenelon, znany również jako lord Richard d'Artage, do niedawna dworzanin królewski, ukrył zadowolony uśmiech i dołał im obydwu wina.

Rozdział dziewiąty

Gillian szła szybkim krokiem wzdłuż brzegu stawu, a za nią podążała eskorta - dwóch ludzi Boisbastona, Tom i Robb. Tom nie miał nic przeciwko takiemu zajęciu, ale Robb wyraźnie wolałby dostać jakiegokolwiek inne zadanie. Lady d'Averette też nie była zachwycona towarzystwem opiekunów, wiedziała jednak, że dopóki niebezpieczeństwo nie minie, nie ma wyboru.

Starła się nie zwracać uwagi na żołnierzy stanowiących jej ochronę. Wprawnym okiem obejrzała łądygi lnu zanurzone w wodzie, by rozpuściła się zawarta w nich kleista substancja. Później miały zostać wysuszone, a następnie wymiędlone. Pozostałe po wykruszeniu zdrewniałych części włókna kobiety rozczesywały w długie jedwabiste pasma, a potem przędły i tkwały z nich płótno. Tego roku len udał się nad podziw i zanosilo się na to, że będą mogli sprzedać nadwyżki na jarmarku w Chatham.

Albo i nie, pomyślała pani na Averette. Jeśli wybuchnie wojna, będą potrzebować mnóstwo płótna do bandażowania ran.

Kilka wieśniaczek polewało rozłożony na trawie len wodą ze stawu. Był to bardziej pracochłonny sposób, ale dzięki niemu otrzymane włókno było jaśniejsze i powstawało z niego bielsze płótno.

- Za tę pracę każda z was dostanie połać najlepszego płótna albo równowartość w srebrze lub w zbożu - obiecała Gillian, bowiem było to zajęcie równie ciężkie jak koszenie trawy.

Niewiasty uśmiechnęły się z wdzięcznością.

- Niech cię Bóg błogosławi, pani - rzekła najstarsza. - A także twoje siostry.

Podziękowała im, a potem, zostawiając Toma i Robba na zewnątrz, weszła do długiej, niskiej szopy, w której suszyły się wymoczone łądygi. Na końcu pomieszczenia kilku mężczyzn międlilo wysuszony len, pośrodku zaś, na ławach ustawionych w krąg, kobiety

wyczesywały długie, miękkie pasma. Na jej widok rozmowa się urwała.

Widząc, że Gillian bierze do ręki drewniane zgrzebło, Hilda, jedna ze starszych i śmielszych kobiet, zrobiła jej miejsce na skraju ławy.

- Witaj, pani - powiedziała dobrodusznie.

- Witajcie - usłyszeli życzliwe pozdrowienie. - Czy zdarzyło się ostatnio coś ciekawego w wiosce?

- Oprócz tego, że Felton śmiertelnie się wystraszył sir Bayarda? - zapytała Hilda poważnym tonem, choć w jej oczach tańczyły wesołe błyski. - Na Boga, był już najwyższy czas, by ktoś wreszcie zakończył spór tych dużych dzieci. I to o kogo, o Berthę!

Lady d'Averette nie podniosła wzroku znad lnu.

- Tak mi się wydawało, że obecność tego rycerza może niektórych onieśmielać.

- I to jeszcze jak! - wykrzyknęła inna kobieta z szerokim uśmiechem. - Ja sama o mało nie umarłam ze strachu. Ale bez urazy, pani, on jest znacznie mniej groźny niż ty, kiedy wpadasz w złość. Pod koniec dnia zaczęliśmy się obawiać, że każesz wychłostać tego biedaka!

A zatem cała wieś zauważyła jej gniew.

- Chcę, by każdy z moich poddanych miał pewność, że zostanie przeze mnie wysłuchany i sprawiedliwie osądzony.

- Och, wszyscy o tym wiedzą - zapewniła ją Yllma, kobieta w średnim wieku. - Ale nic nie zaszkodziło, pani, że stał za tobą mężczyzna z mieczem, szczególnie gdy tych dwóch znów zaczęło się kłócić. - Potrząsnęła głową i z westchnieniem odłożyła wyczesane pasma lnu do koszyka. - Wiedziałam, że przez Berthę będą same kłopoty. Zawsze była niestała i lubiła, gdy mężczyźni się za nią uganiali.

- I niejednemu też pozwoliła się dogonić - dodała Hilda niechętnie.

- No, a czego się spodziewałaś. Za wszelką cenę chciała złapać męża - wzruszyła ramionami Yllma.

- Za wszelką cenę - przyznała tamta. - A skoro już mówimy o małżeństwach - ciągnęła - to chciałobyśmy życzyć szczęścia lady Adelaide.

- Dziękuję wam - odrzekła Gillian, widząc, że wszystkie kobiety zwróciły na nią wzrok. - Chyba jest bardzo szczęśliwa.

- Kiedy wróci do domu? - zapytała Yllma.

- Nie wiem. Nic o tym nie wspominała w liście.

Kilka wieśniaczek przerwało pracę i spojrzało na Hildę z wyczekiwaniem. Ta zaś wyprostowała wąskie ramiona i zagadnęła:

- Jaki jest nasz nowy pan?

- Nie ma żadnego nowego pana - wyjaśniła pani na Averette, odkładając pasmo lnu na kolana. Musiała im to jasno wytłumaczyć. - Pomimo że lady Adelaide wyszła za męża, ja nadal pozostaje tu panią. Moja siostra będzie gospodynią na zamku swojego męża.

Kobiety wyraźnie odetchnęły z ulgą. Najbardziej śmiała z nich uśmiechnęła się, ukazując luki w uzębieniu.

- Byłyśmy pewne, że lady Adelaide nie wyszłaby za okrutnika ani człowieka bez serca, ale po rządach twojego ojca, pani... - zawiesiła głos.

- A czy wspominała coś o królowej? - zapytała jedna z młodszych kobiet, Kat. Nie zwróciła uwagi na napięcie, jakie to pytanie wywołało wśród pozostałych, a może królowa Isabel intrygowała ją tak bardzo, że nie zważała na reakcję towarzyszek.

Gillian ucieszyła się ze zmiany tematu rozmowy.

- Nie, nie w tym liście.

- Król przynajmniej może się ożenić z miłości - westchnęła Kat, wracając do czesania lnu.

- Król może robić wszystko, co zechce - powiedziała Hilda tonem, który wyraźnie wskazywał na to, że życzyłyby sobie, by było inaczej.

Dla lady d'Averette nie było żadną tajemnicą, że król Jan budził powszechną niechęć. Ona sama również nie potrafiła myśleć życzliwie ani o nim, ani o jego kapryśnych, samolubnych decyzjach. Niestety, był prawowitym władcą i pozbawienie go tronu mogło tylko przysporzyć kłopotów całemu krajowi. Jej posiadłość znalazłaby się wówczas pomiędzy walczącymi frakcjami, niczym kość rzucona między stado głodnych wilków.

- Nie może być tak zły, jak mówią - rzekła Kat z nadzieją. - Skoro udało mu się zdobyć miłość damy, to musi mieć jakieś dobre cechy.

- Ma koronę - rzuciła ze śmiechem inna kobieta. Młódka wydeła usta.

- Moim zdaniem to była miłość.

- A co ty o tym myślisz, pani? - zapytała któraś z wieśniaczek.

- Chciałabym wierzyć, że to małżeństwo podyktowane było miłością - odpowiedziała Gillian ostrożnie. - Być może uczucia również grały tu jakąś rolę, ale nie da się zaprzeczyć, że ten mariaż przyniósł Janowi wiele korzyści. Isabel była wcześniej obiecana za żonę Hugonowi de Lusignan. Zapobiegając temu małżeństwu, Jan nie dopuścił do sojuszu, który mógłby się stać dla niego niezmiernie kłopotliwy. Jeśli zaś chodzi o uczucia królowej... Ona jest jeszcze młodsza od ciebie, Kat, być może zatem nie miała wielkiego wyboru. Adelaide mówiła mi jednak, że Isabel dobrze się czuje w roli władczyni, może więc wynagrodzi jej to inne, mniej przyjemne strony tego małżeństwa.

Nie chcąc wdawać się w dalsze dyskusje na ten temat, Gillian odłożyła wyczesane pasmo lnu do koszyka stojącego obok Hildy i podniosła się.

- Muszę już wracać do zamku.

- Pani - usłyszała naraz męski głos. Odwróciła się i ujrzała przy drzwiach jednego ze strażników. Miał spoconą twarz, jakby całą drogę z zamku przebył biegiem. Serce kobiety ścisnęło się z obawy.

- Co się stało? - zapytała, starając się zachować spokój.
- Przybył posłaniec od twojej siostry.
- Od której?
- Od lady Lizette, pani.

Próbowała stłumić niepokój. Skoro Lizette przysłała posłańca, to nie mogło jej się stać nic złego, zapewne miał on tylko przekazać całą listę powodów, dla których nie wróciła jeszcze do domu. Mimo wszystko Gillian pospieszyła do zamku. Tom i Robb towarzyszyli jej jak dwa cienie.

Przy stajniach zauważyła czterech żołnierzy z garnizonu, którzy wyjechali razem z jej siostrą jako osobista straż. Ned i dwóch chłopców stajennych już oporządzali ich konie. Na widok pani z twarzy jednego z żołnierzy, Daniela, zniknął uśmiech.

- Gdzie ona jest? - zapytała bez żadnych wstępów.
- W Stanfordzie, a przynajmniej była tam przed trzema dniami, pani - odrzekł Daniel.

Sięgnął do sakwy przy boku i wyciągnął opatrzony pieczęcią pergamin. - Przysyła ci to.

Od strony mleczarni zbliżał się już Dunstan. Szata plątała mu się wokół kostek. Kątem oka Gillian dostrzegła sir Bayarda, który obok kaplicy szkolił swego giermka w walce na miecze. Miała ochotę zawołać również jego, ale uznała, że na razie lepiej będzie go nie angażować.

Przełamała pieczęć i zaczęła czytać. Lizette pisała z oburzeniem, że nie jest zbłąkanym dzieckiem, które można siłą ściągnąć do domu, zwłaszcza że siostry obiecały jej, iż będzie mogła podróżować, ile tylko zechce. Wspomniała o liście od Adelaide, w którym bardzo niejasno zostały wyłożone powody, dla których panna powinna wrócić do Averette. Mimo to zdecydowała się przyjechać, ale dopiero wtedy, gdy sama uzna to za konieczne.

Gillian zauważyła, że Boisbaston zbliża się w jej stronę, i zakłęła pod nosem, aż ochmistrz spojrzął na nią ze zdumieniem.

- Czy dostałaś jakieś złe wiadomości? - zapytał rycerz, zatrzymując się obok niej.

Miał na sobie tylko nogawice, trzewiki i lnianą koszulę utkaną z najcieńszego płótna i rozpiętą pod szyją, odsłaniającą muskularną pierś. Jego włosy były ściągnięte do tyłu i związane rzemieniem. Choć jeszcze przed chwilą zmagał się z giermkiem, a dzień był ciepły, prawie się nie spocił.

- Niezupełnie - odrzekła ostrożnie. - Jest jednak coś, o czym powinniśmy porozmawiać, i byłabym wdzięczna, gdybyś zechciał dołączyć do nas w świetlicy.

Pochwyciła zirytowane spojrzenie Dunstana, ale nic nie mogła na to poradzić. Sir Bayard musiał usłyszeć te wiadomości.

Słudzy, którzy rozkładali świeże sitowie i omiatali pajęczyny z belek w wielkiej sali, na jej widok natychmiast zniknęli. Gillian podeszła do podwyższenia, usiadła na najwyższym, zdobionym snycerką krześle i podała pergamin ochmistrzowi.

- Moja siostra Lizette pisze, że nie jest sługą i nie musi przybywać na każde wezwanie,

niemniej łaskawie zgadza się usłuchać naszej prośby i wróci do Averette w dogodnym dla niej czasie.

Dunstan wziął pergamin do ręki, ale najpierw rzucił Boisbastonowi spojrzenie, które wręcz krzyczało: czy on również musi tu być? Rycerz jednak nie zwrócił na niego uwagi.

- Przykro mi słyszeć, pani, że twoja siostra lekceważy niebezpieczeństwo, ale oznacza to również, że na razie nic jej nie grozi, bo gdyby było inaczej, pospieszyłaby tu z własnej woli. Może dobrze by było, gdybyś sama do niej napisała i spróbowała ją przekonać, że powinna to uczynić najszybciej jak to możliwe.

- Zrobiłabym to, gdybym sądziła, że mam na nią jakikolwiek wpływ. - Gillian westchnęła. - Ale ona, jak zawsze zignoruje moje słowa.

- A może napisałabyś do Adelaide z prośbą, by to ona wysłała jeszcze jeden list do waszej siostry - zaproponował Dunstan, wysuwając się naprzód.

- Znasz przecież Lizette. Drugi list nie przekona jej bardziej niż pierwszy.

Ochmistrz zamilkł i postukał pergaminem o podbródek.

- Skoro nie chce wrócić z własnej woli, to ktoś musi po nią pojechać - rzekł sir Bayard. Lady d'Averette spojrzała na niego z niezadowoleniem.

- Czy sądzisz, panie, że łatwo będzie ją znaleźć? Lizette w żadne miejsce nie udaje się najprostszą drogą. Lubi podróżować bocznymi ścieżkami. Twierdzi, że w ten sposób można więcej zobaczyć.

- Jednak na pewno nie jest sama. Wyśledzenie sporej grupy podróżnych, w której znajduje się młoda szlachcianka, nie powinno być zbyt trudne. W każdym razie natychmiast należy kogoś po nią wysłać - stwierdził tonem, który niebezpiecznie zbliżył się do rozkazującego.

- A kogo twoim zdaniem powinniśmy wysłać? - zapytała Gillian słodko, co świadczyło o tym, że była bardzo rozzłoszczona.

- Myślę, że sir Bayard byłby najodpowiedniejszą osobą do tego zadania - podchwycił natychmiast Dunstan.

- Niezmiernie pragnąłbym zaspokoić twoje życzenie - odrzekł rycerz spokojnym tonem - ale zauważ jedno: obydwójcie nie chcieliście wierzyć, że przybyłem tu, by wam pomóc, ani że jestem tym, za kogo się podaję. Czy sądzicie zatem, że lady Lizette mi uwierzy?

Niestety, miał rację. Młodsza z sióstr z pewnością okazałaby jeszcze więcej sceptycyzmu niż starsza. Poza tym Boisbaston nie znał jej i nie wiedział, do jakich wybiegów jest zdolna, gdy chciała uniknąć czegoś, co nie było po jej myśli.

- Sir Bayard ma rację - przyznała Gillian niechętnie. - Myślę, Dunstanie, że ty musisz pojechać. Ona cię zna, a ty dobrze wiesz, do jakich sztuczek może się uciec. Zacznie się skarżyć na ból głowy, pleców albo na cokolwiek innego, byle tylko opóźnić powrót. Będzie się upierać, że musicie po drodze złożyć wizytę temu czy tamtemu. Ale najważniejsze jest to, że Lizette ci ufa. Zawsze cię lubiła i sądzę, że zrobi to, o co ją poprosisz.

Ochmistrz nie wydawał się zadowolony.

- Chciałbym ci przypomnieć, pani, że nie jestem wprawny w walce. Sir Bayard jest rycerzem, a w razie potrzeby może nawet wesprzeć się autorytetem króla. Jestem pewien, że potrafiłby przekonać twoją siostrę do powrotu. A gdyby zaatakowali ją wrogowie...

- Ma ze sobą uzbrojonego strażnika. Ty wzięłabyś jeszcze jednego. Z pewnością dwóch zbrojnych mężczyzn zniechęciłoby wrogów. Chyba że byłaby ich cała armia... A do porwania Lizette potrzebna byłaby cała armia - dodała pod nosem.

De Corley zmarszczył brwi.

- Pani, czy mógłbym porozmawiać z tobą na osobności? - zapytał z wyraźnie wyczuwalnym napięciem w głosie.

- Sir Bayard przybył tu, by nam pomóc, a ponieważ jest ze mną spokrewniony przez małżeństwo, to sądzę, że może usłyszeć wszystko, co chcesz mi powiedzieć. Wiem, Dunstanie, że wolałbyś zająć się swoimi obowiązkami tu na miejscu, ale zupełnie szczerze uważam, że ty prędzej skłonisz moją siostrę do powrotu niż ktokolwiek inny, włącznie ze mną.

- Wolałbym nie opuszczać Averette, dopóki sir Bayard tu przebywa - wypalił ochmistrz prosto z mostu i jego twarz przybrała dziwny wyraz, którego Gillian nie potrafiła rozszyfrować.

- Co właściwie chcesz przez to powiedzieć? - zapytał rozsierdzony Boisbaston, oparłszy dłonie na biodrach.

- O nic cię nie oskarżam, panie - odparł Dunstan, cofając się o krok.

- To dobrze, bo popełniłbyś poważny błąd.

- Słyszałem różne historie na twój temat i obawiam się o dobre imię mojej pani.

- Jakie historie? - zapytała lady d'Averette.

- Nie potrafisz się, pani, domyślić? - odparował, przenosząc na nią wzrok. - Jesteś młodą, niezamężną kobietą, a sir Bayard jest przystojnym rycerzem, znanym ze swych miłosnych podbojów.

Gillian mocno zacisnęła dłoń na oparciu krzesła.

- Jest moim krewnym.

- Tym gorzej.

Jeśli nawet zgrzeszyła, to tylko w głębi serca. A jednak, jeśli miała nadal pełnić tu władzę, musiała pozostawać poza wszelkimi podejrzeniami, ponieważ była kobietą. To oznaczało, że Dunstan musi pozostać w zamku.

- Wyślę Iaina - postanowiła. - Nie będzie zadowolony, ale w każdym razie nie da się nabrać na żadną z jej sztuczek.

Ochmistrz uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Doskonały wybór, pani. Iain ciągle się na nią złości, ale kocha ją jak córkę.

- Podczas nieobecności Iaina sir Bayard przejmie komendę nad garnizonem.

- To dla mnie zaszczyt, pani - skłonił się rycerz.

- Lady Gillian - zaprotestował De Corley. - Nie sądzę...

- Dość już - przerwała mu z irytacją. - Dunstanie, doceniam twoją troskę i dobre rady, ale przypominam ci, że nie jesteś moim ojcem, wujem, bratem ani mężem i nie masz prawa mówić mi, co mam zrobić. Jesteś moim ochmistrem i nikim więcej.

Mężczyzna zaczerwienił się i jakby skurczył. Gillian natychmiast pożałowała, że potraktowała go tak szorstko.

- Czy sama przekazesz Iainowi swoją decyzję, pani, czy też ja mam to zrobić? - zapytał Boisbaston.

- Sama to zrobię - powiedziała, pragnąc jak najszybciej oddalić się od nich obydwu: nadmiernie pewnego siebie sir Bayarda oraz Dunstana, który patrzył na nią wzrokiem kogoś mocno zranionego.

Rozdział dziesiąty

Gdyby Gillian nie wiedziała, gdzie ma znaleźć komendanta, wystarczyłoby dobrze nadstawić uszu.

- Obracaj się szybciej, człowieku, bo oderwę ci ramię i przyłożę nim po plecach! - strofował donośnym głosem jednego ze swych żołnierzy. - Moja stara matka zrobiłaby to lepiej! - krzyczał do innego. - Chłopcze, czy chcesz, żeby cię od razu zabili?!

Słyszała podobne upomnienia już setki razy, podobnie jak wojowie z garnizonu w Averette. Iain zawsze mówił to, co myślał, i z tego powodu Lizette go nie cierpiała. Gdy nie podobało mu się jej zachowanie, oznajmiał jej to, nie przebierając w słowach. Gillian jednak traktowała go jak drugiego, lepszego ojca.

Gdy dorastały, starsza siostra często powściągała wybuchy złości w imię spokoju, czasami jednak nie wytrzymała i wdawała się w okropne kłótnie z młodszą. Na szczęście ta nie była pamiętliwa, a Gillian również szybko przeproszała, widząc, że ich niesnaski martwią matkę i Adelaide. W chwilach, gdy dawała się ponieść impulsywności, czuła, że jest nieodrodną córką swego ojca. Myśl, że odziedziczyła jego porywczy charakter, bardzo jej ciążyła.

W obecności Mac Kendrena i wobec jego ostrych słów łatwiej jej było powściągnąć temperament, bowiem mówił on niesfornej Lizette wszystko to, co ona sama chciałaby jej powiedzieć.

Iain nie przebierał w słowach również wtedy, gdy chodziło o nią, ale w odróżnieniu od młodszej siostry Gillian wołała nagą prawdę niż gładkie, kojące kłamstwa. Komendant traktował ją jak dorosłą, a nie jak niespełna rozumu dziecko, które trzeba było ciągle uspokajać. Uświadomiła sobie, że podobnie odnosił się do niej Bayard.

Żołnierze, rozebrani do pasa i złani potem, ćwiczyli walkę drewnianymi mieczami. Ich

dowódca nie założył dzisiaj kolczugi, co nie było dziwne, zważywszy na upał. Miał na sobie tylko lekką skórzaną tunikę bez rękawów, płócienne nogawice i wysokie trzewiki. Choć przekroczył już czterdziestkę, był dobrze umięśniony i widać było, że na polu bitwy potrafi sobie radzić lepiej niż niejeden z młodszych wojów.

- Przerwa! - zawołał, gdy zauważył, że lady d'Averette go przywołuje.

Żołnierze odłożyli miecze i usiedli na ziemi, oglądając zadrapania i nadbiegające krwią siniaki.

- Słucham cię, pani - Po pobrużdżonej twarzy Iaina spływały kropelki potu.

- Posłaniec przyniósł wiadomości od Lizette. Mac Kendren zmarszczył czoło.

- Nie wraca do domu?

- Owszem, jakimś cudem zgodziła się wrócić, ale w wybranym przez siebie czasie i własną trasą. Nie zdaje sobie chyba sprawy z zagrożenia.

Komendant westchnął i skrzyżował potężne ramiona na piersiach.

- Pewnie wydaje jej się, że w pojedynkę potrafi zatrzymać całą armię.

- Chyba tak - zgodziła się Gillian ponuro. - Musimy kogoś po nią wysłać. Chciałabym, żebyś to był ty. - Widząc, że Iain unosi brwi, dodała szybko: - Jesteś najlepszym wojownikiem w Averette. Mogłabym wysłać Dunstana, ale gdyby miało dojść do jakiejś walki...

- No tak, nie poradziłby sobie zbyt dobrze.

- Chcę, by moja siostra bezpiecznie dotarła do domu, i wiem, że ty potrafisz tego dokonać. Sir Bayard ma doświadczenie w dowodzeniu, toteż pod twoją nieobecność on przejmie komendę nad garnizonem. Lindall również jest dobrym żołnierzem - dodała, mając na myśli zastępcę dowódcy, który powinien przejąć jego rolę, gdyby Iain został ranny albo z jakiegoś innego powodu nie mógłby pełnić funkcji komendanta - ale nigdy jeszcze nie przeżył oblężenia. Boisbaston natomiast jest wyszkolonym rycerzem i Adelaide najwyraźniej ma do niego zaufanie, bowiem w innym wypadku nie przysyłałaby go tutaj. Ma on również pewne doświadczenie w obronie zamku.

- Ograniczone - prychnął Mac Kendren.

- Bez względu na to, co zdarzyło się w Normandii, jasne jest, że Adelaide mu ufa. We dwóch z Lindallem dadzą sobie radę pod twoją nieobecność. Podjęłam już decyzję - zakończyła stanowczo.

W odróżnieniu od Dunstana i Bayarda ten weteran dobrze wiedział, że gdy jego pani używa tego tonu, nie należy się jej sprzeciwiać.

- Dobrze, pani. Przywiozę twoją siostrę do domu - rzekł z błyskiem w oku. - Bez względu na to, czy zechce przyjechać po dobroci, czy nie.

W kilka dni później Gillian potknęła się o wystający z bruku dziedzińca kamień i omal nie wypuściła z rąk kosza wyładowanego chlebem.

- Ostrożnie, pani! - przestrzegła ją Dena, a tamta odpowiedziała jej pogodnym uśmiechem. Ostatnio często bywała roztargniona. Zastanawiała się, czy rzeczywiście istnieje

jakiś spisek i w jaki sposób może on zagrażać Averette.

Martwiła się też o Lizette; nie była pewna, gdzie dziewczyna przebywa i czy Iainowi uda się ją odnaleźć. Przejmowała się zniwami, milionem obowiązków do wypełnienia oraz ludźmi. Musiała trzymać rękę na pulsie domowych potrzeb i wydatków, a do tego wszystkiego bardzo rozpraszała ją obecność Bayarda.

Nie widywała go ani nie rozmawiała z nim częściej niż przedtem. Pojawiał się na posiłkach, które pochłaniał z wyraźnym apetytem. Grzecznie odpowiadał na jej pytania, nie skarżył się na nic ani nie prawił jej przesadnych komplementów. Gdy pytała go o zdanie na temat umocnień zamku, odpowiadał fachowo i kompetentnie. Chwilami przypominał jej Iaina.

Tego dnia postanowiła zobaczyć, jak sir Bayard radzi sobie z dowodzeniem żołnierzami jej garnizonu. Na ile zdołała zauważyć, relacje między żołnierzami Boisbastona a należącymi do jej oddziału były dobre; jej ludzie zachowywali się życzliwie wobec gości i okazywali dowódcy szacunek. Widywała ich jednak w zamku dopiero pod koniec dnia, toteż postanowiła zanieść im południowy posiłek i przekonać się, jak sytuacja wygląda podczas ćwiczeń.

- Są! - zawołała Dena, wskazując na żołnierzy ćwiczących na dziedzińcu, jakby dziwiło ją to, że rzeczywiście ich tu znalazła.

Gillian natychmiast rozpoznała Bayarda, choć był zwrócony do niej plecami. Pólnagi, przechadzał się między również rozebranymi do pasa żołnierzami, którzy walczyli w parach.

W odróżnieniu od Iaina nie krzyczał. W rękę trzymał drewniany kij, ale używał go tylko do demonstrowania prawidłowych ciosów lub poprawiania czyichś ruchów, a nie do wymierzania kar.

Wśród żołnierzy był też Frederic. Zerknąwszy na Dene, jej pani pani stwierdziła, że dziewczyna albo nie zauważyła giermka, albo celowo omijała go wzrokiem.

Po chwili Boisbaston je zauważył.

- Spocznij! Zasłużyliście na przerwę! - zawołał. Potem podbiegł do sterty porzuconych ubrań i narzucił na ramiona koszulę. Tymczasem kobiety, które przyniosły kosze z jedzeniem i dzbany z piwem, zaczęły rozdzielać je pomiędzy wdzięcznych wojowników.

- Czy miałaś, pani, wiadomości od Iaina albo od swojej siostry? - zapytał Bayard, podchodząc do Gillian.

- Nie, jeszcze nie.

- No cóż, minęło zaledwie kilka dni. - Wzruszył ramionami. - Z tego przez dwa dni padał deszcz. Zapewne opóźniło to podróż.

Nie potrzebowała jego pociechy, ale te słowa sprawiły jej ulgę.

- Chciałam sprawdzić, czy nie masz jakichś kłopotów z żołnierzami.

Wydawał się szczerze zaskoczony.

- Nie - rzekł. Wziął od niej kosz, zatrzymał dla siebie niewielki rumiany bochenek

chleba i podał resztę stojącemu w pobliżu wojowi. - Rozdaj to, Ralf. Tylko nie pijcie za dużo piwa, łajdaki, bo będziecie trzymać wiadra. Mamy jeszcze dziś sporo do zrobienia.

- O co chodzi z tymi wiadrami? - zdziwiła się Gillian. Ruchem głowy wskazał jej drugi koniec placu, gdzie mocno umięśniony, jasnowłosy mężczyzna stał na rozstawionych szeroko nogach z ramionami wyciągniętymi na boki. W każdej ręce trzymał wiadro. Nawet z tej odległości widać było, że ramiona drżą mu od wysiłku, a twarz jest czerwona jak po długim marszu w skwarze południa.

- Możesz już odstawić te wiadra, Elmer - zawołał do niego dowódca. - Mam nadzieję, że nie będziesz więcej nadużywał piwa.

- Nie, panie - zapewnił go żołnierz i odstawił wiadra na ziemię tak gwałtownie, że chlusnęła z nich woda. Z ulgą roztarł ramiona i podszedł do towarzyszy.

- Upił się wczoraj wieczorem i dziś rano czuł się tak źle, że nie mógł ćwiczyć - wyjaśnił Bayard, dojadając swój chleb.

- Więcej tego nie robi. Przy tym ćwiczeniu z wiadrami nawet krótka chwila wydaje się wiecznością.

- Mówisz, jakbyś wiedział o tym z doświadczenia.

- Wiele razy musiałem znosić takie lub jeszcze gorsze kary - odrzekł bez urazy, strzepując okruchy z koszuli. - Raymond de Boisbaston chciał wychować swych synów na najtwardszych i najlepszych rycerzy w całej Anglii. Szczerze wierzył, że ciężka ręka jest niezbędna, by to osiągnąć.

- W każdym razie zauważał cię - rzekła Gillian z goryczą.

- Lord Raymond zauważał swego najstarszego syna Simona i mnie. Ale jeśli zwracał uwagę na Armanda, to tylko po to, by go skrytykować lub ukarać.

Zrozumiała, że jest to jeden z powodów, dla których rycerz chciał pomagać swojemu przyrodniemu bratu.

- Przepraszam - mruknęła.

- Ojcu udało się nas wychować na twardych i silnych mężczyzn. Przekonałem się więc, że trzymanie wiader jest bolesne, ale nie może wyrządzić mężczyźnie poważnej krzywdy.

- Iain kazałby zakuć tego człowieka w dyby.

- To zbyt upokarzające - odpowiedział Bayard bez wahania. - Dyby zostawiam na poważniejsze przestępstwa, takie jak kradzież. Jeżeli odbiera się człowiekowi godność przy drobnym wykroczeniu, to traci się jego szacunek, a najczęściej również szacunek pozostałych.

- Iain nie uznałby takiego wykroczenia za drobne. A mimo wszystko z całą pewnością żołnierze go szanują i słuchają bez dyskusji.

- Tak samo jak mnie. - Boisbaston obrócił się na pięcie i zawołał: - Do szeregu!

Wojowie natychmiast porzucili dzbany i chleb, chwycili za drewniane miecze, zerwali się na nogi i uformowali cztery równe szeregi. Dyscyplina nie była ani trochę mniejsza niż

wówczas, gdy Mac Kendren zarządzał garnizonem.

- Rzeczywiście - przyznała Gillian.

Wzruszył ramionami i pozwolił żołnierzom dokończyć posiłek.

- Widzę, że naprawdę się o nich troszczysz - stwierdziła.

- Tak samo jak ty troszczysz się o swoich ludzi. Nie wydajesz rozkazów, siedząc na tronie, ani nie przekazujesz ich służbie przez Dunstana. Rozmawiasz z nimi i czasami sama wykonujesz jakieś zadanie. Na przykład dzisiaj przyniosłaś nam chleb. A tego dnia, gdy pszczoły się wyroiły, byłem pewien, że zbierzesz kilka użądleń.

Zarumieniała się jak młoda dziewczyna.

- Gdy pszczoły się roją, są tak pełne miodu, że nie żądają. Myślałam, że o tym wiesz?

- Wiem, ale i tak się o ciebie martwiłem.

Usłyszała w jego głosie szczerą i poczuła się jeszcze bardziej głupio.

Właściwie nie miała już żadnego powodu, by dłużej tu pozostawać. Czekają ją obowiązki w zamku. O tej porze roku było wiele do zrobienia. Nakazała Denie zebrać puste kosze, pożegnała Bayarda i ruszyła w stronę zamku.

- Do zobaczenia później, pani - mruknął, patrząc na jej oddalającą się sylwetkę.

* * *

Richard d'Artage, niegdyś faworyt królowej i lord na dworze króla Jana, ostatnio znany jako kupiec winny Charles de Fenelon, zatrzymał konia przed drewnianym zwodzonym mostem zamku lorda Wimarca i wykrzyknął hasło. Krata zaczęła się podnosić i skrzydła bramy otworzyły się szeroko. Mężczyzna popędził konia i klusem wjechał na dziedziniec fortecy, która choć nie była szczególnie wielka, to jednak trudna do zdobycia, bowiem bronili jej najwaleczniejsi i najlepiej wyszkoleni najemni żołnierze w całej Europie.

Chudy stajenny w średnim wieku natychmiast wybiegł na dziedziniec i pochwycił wodze konia przybysza.

- Czy lord Wimarc jest w zamku? - zapytał Richard.

Niemowa potrząsnął głową i spojrzął w okno, które, jak d'Artage wiedział ze swoich poprzednich wizyt, należało do sypialni lorda.

Gość skrzywił się i przeszedł przez dziedziniec. Wszyscy go znali i wiedzieli, że jest bliskim przyjacielem pana zamku, toteż nikt nie próbował go zatrzymać, nawet wówczas, gdy wszedł na schody prowadzące do prywatnych apartamentów lorda.

Francis de Farnby zginął za ich sprawę, jego zaś oskarżono o zdradę stanu i ledwie udało mu się ująć z życiem, a teraz musiał udawać prostego kupca. Tymczasem Wimarc przez cały czas przebywał w swoim zamku w towarzystwie kobiet i snuł intrygi niczym pająk siedzący w samym środku gęstej pajęczyny - tylko dlatego, że był bogaty jak Krezus i bardziej przebiegły niż całe stado lisów.

Nie zwracając sobie głowy pukaniem, d'Artage otworzył drzwi luksusowej sypialni i wkroczył do środka. W komnacie rozległ się krzyk kobiety. Leżący na niej nagi mężczyzna

zsunął się z łoża z baldachimem, jednocześnie wyciągając spod poduszki sztylet.

- To ja, Richard! - zawołał fałszywy kupiec. Twarz lorda rozluźniła się.

- Dobry obyczaj wymaga, by zapukać, nim wejdzie się do sypialni dżentelmena, Richardzie - zauważył. Odłożył sztylet na stół i sięgnął po szkarłatny jedwabny szlafrok rzucony niedbale na krzesło.

- Przywiodły mnie tu ważne sprawy.

- Mam nadzieję. - Wimarc rzucił krótkie spojrzenie dziewczynie, która wciąż leżała w łóżku. Zapewne była to śpiewaczka lub tancerka. - Zostaw nas samych - warknął.

Szybko zsunęła się z łóżka, chwytając w locie prosty srebrny pierścień, który rzucił jej kochanek. Zgarnęła swoje suknie i wymknęła się za drzwi, zręczna w ruchach jak łania. Richard poczuł ukłucie zawiści, miał jednak w tej chwili ważniejsze sprawy na głowie.

- Chodzi o lady Gillian - rzekł.

Lord Wimarc wygładził szlafrok, przysiadł na krześle misternie zdobionym inkrustacją z kości słoniowej i gestem wskazał gościowi drugie, znacznie mniej ozdobne siedzisko.

- Czy jest już martwa?

- Jeszcze nie. Myślałem, że nadarzy się okazja podczas sądu, ale pojawiły się komplikacje.

- Cóż to za komplikacje?

- Armand przysłał do Averette swojego brata przyrodniego z ostrzeżeniem. Tamtego dnia w wiosce było niemal tyłu żołnierzy co wieśniaków.

Twarz Wimarca pozostawała bez wyrazu. W zamyśleniu obracał na smukłym palcu pierścień z rubinem.

- A więc nie pójdzie tak łatwo. A może przybyłeś tu, by mi powiedzieć, że nie poradzisz sobie z tym zadaniem?

Miałby przyznać się do porażki? Dopuścić do tego, by Boisbastonowie i ta dziewczka Adelaide uszli cało? Nigdy w życiu!

- Przybyłem, by prosić cię o więcej ludzi. Lady Gillian nie opuszcza zamku bez eskorty. A do tego, by pokonać w walce sir Bayarda, trzeba więcej niż jednego człowieka.

Lord poprawił się na krześle.

- Rozumiem. A kto ma zapłacić za tych ludzi?

D'Artage z trudem hamował złość. Wimarc miał więcej pieniędzy niż on sam, Francis i wszyscy pozostali razem wzięci. To on wymyślił plan usunięcia z otoczenia króla Jana wszystkich ludzi, którzy potrafili hamować jego zapędy. Gdyby Jan miał wolną rękę w rządzeniu, wkrótce doprowadziłby do tego, że cały kraj zwróciłby się przeciwko niemu.

- Sądziłem, panie, że znajdziesz odpowiednich ludzi w swoim zamku - odrzekł. - Jest coś jeszcze - dodał. - Zdobycie Averette nie będzie takie łatwe, jak się wydawało. Żołnierze z garnizonu są doskonale wyszkoleni i lojalni.

- Może powinienem się zastanowić, czy nie wysłać tam kogoś innego, bardziej

doświadczonego?

- Zrobię to, co mam do zrobienia, jeśli dostanę więcej ludzi.

- I niech Bóg ma mnie w swojej opiece, gdybym próbował pozbawić cię okazji do zemsty - prychnął Wimarc szyderczo.

Podniósł się i podszedł do stolika przy łóżku, na którym obok pozostałości kolacji stała srebrna karafka wysadzana klejnotami i dwa srebrne puchary. Nalał czerwonego wina do jednego z nich i podał Richardowi. Promień słońca, który wpadł do komnaty przez szparę między drewnianymi żaluzjami, rozświetlił kosztowny jaskrawy dywan i odbił się od srebrnego naczynia.

- Naturalnie, mam do ciebie pełne zaufanie - rzekł lord, wracając na miejsce. - Dlatego właśnie wybrałem cię do tak ważnego zadania. Ilu ludzi potrzebujesz?

- Dwudziestu.

- Nie sądzisz, że tak duża liczba będzie trochę podejrzana?

- Byłaby, gdyby pokazali się w wiosce. Ale mogą zatrzymać się w lesie i tam czekać na odpowiednią okazję.

- Jeśli zabijesz Boisbastonów i przejmiesz władzę nad Averette, uroczą lady Adelaide i jej siostry pozostaną w twoich rękach, dopóki król się nie ocknie - zauważył Wimarc. - Cóż za wspaniała perspektywa!

- Nie dbam o nie - odrzekł Richard.

- Kłamiesz, przynajmniej jeśli chodzi o piękną Adelaide. Nie obchodzi mnie jednak, co z nią zrobisz. Możesz ją zgwałcić, zabić, zrobić jedno i drugie albo cokolwiek innego. Interesuje mnie tylko to, byś pozbył się Boisbastonów. A gdy już będziemy mieli nowego króla, ich dobra, a także Averette, przejdą na twoją własność.

Rozdział jedenasty

- Nie, trochę bardziej na lewo - powiedziała Gillian do służących, którzy wieszali gobelin przywieziony rankiem z zakonu Najświętszego Serca. Został ukończony zaledwie poprzedniego dnia, choć Adelaide i Lizette zaczęły pracę nad nim przed ośmiu laty, po śmierci matki i w tajemnicy przed ojcem. Pieniądze na materiały zdobyły od ojca Dunstana, który miał dobre serce. Lizette spędziła nad nim tydzień, Adelaide pracowała pilnie każdego dnia aż do wyjazdu na dwór królewski, a Gillian wcale, ponieważ nie znosiła tkania. Pracę dokończyły trzy zakonnice z pobliskiego klasztoru, który miał za to otrzymać od lady d'Averette dziesięć owiec, trzy krowy i pięć kur.

Gobelin przedstawiał cztery damy w sadzie - trzy siostry oraz ich matkę - i był bardzo piękny. Szczególnie udał się portret matki. Gillian żałowała, że nie może podziwiać ukończonego dzieła razem z Adelaide.

- Jeszcze trochę w prawo. O, teraz dobrze. Doskonale. Możecie już wrócić do swoich

obowiązków.

Mężczyźni zgarnęli narzędzia i wyszli. W świetlicy pozostała tylko pani zamku i kilka kobiet, które czyściły meble piaskiem, wodą i woskiem.

Naraz w progu stanął Dunstan, mocno czymś poruszony.

- Czy słyszałaś, pani, jakie zadanie sir Bayard wyznaczył dzisiaj twoim żołnierzom?! - wybuchnął.

Modląc się w duchu o cierpliwość, Gillian zwróciła twarz w stronę wściekłego ochmistrza.

- Nie - odrzekła krótko. Boisbaston nie mówił jej o swoich planach, ona zaś nigdy go o to nie pytała. Starła się jak najmniej z nim rozmawiać; już sama jego obecność za bardzo wytrącała ją z równowagi.

- Wygląda na to, że urządził rywalizację w koszeniu zboża między chłopami a twoimi wojami. I ktoś taki dowodzi garnizonem!

Musiał to być jakiś żart i było jej przykro, że jej poddany dał się tak łatwo nabrać.

- To jakiś dowcip, Dunstanie. Żaden prawdziwy rycerz nie podjąłby się pracy należącej do chłopów.

- Nie, żaden prawdziwy rycerz by tego nie zrobił - zgodził się ochmistrz z ponurą satysfakcją. - Ale przecież mówiłem ci, co ludzie opowiadają o sir Bayardzie. Podobno on w ogóle nie jest synem Raymonda de Boisbastona.

- A czym niby synem miałby być? - zdziwiła się.

- Mówią, że jego matka straciła dziecko przy porodzie i kupiła inne od wędrownych Cyganów. Między innymi dlatego nazywają go cygańskim kochankiem.

Gillian zmarszczyła brwi, niezadowolona, że de Corley wciąż traktuje gościa tak wrogo, choć ten okazał się pomocnym i honorowym człowiekiem, zupełnie innym od lubieżnego łajdaka z opowieści kupca winnego.

- Bez względu na krążące o nim plotki, uważam go za człowieka godnego zaufania. A skoro ma ochotę kosić zboże... - Urwała i potrząsnęła głową. - Nie, to nie może być prawda. Ktoś z ciebie zażartował.

W oczach Dunstana błyszczał upór. Dobrze znała ten wyraz jego twarzy.

- Minałem go, idąc z wioski. Niósł na ramieniu kosę, tak samo jak kilkoro jego ludzi, włącznie z tym wielkim osłem, Robbem.

- To prawda, pani - wtrąciła Seltha, przerywając woskowanie krzesła, które na czas wieszania gobelinu odsunięto na bok. - Żołnierze rozmawiali o tym dziś rano przy śniadaniu. Sir Bayard obiecał beczkę piwa w nagrodę dla tej grupy, która będzie pracować najlepiej.

- A kto ma być sędzią? - zapytał ochmistrz.

- Oczywiście Hale.

- Hale zgodził się na coś takiego? - zdumiała się Gillian.

- Niemożliwe - zaprotestował Dunstan. - Przecież żołnierze nie potrafią kosić. Nie

mają o tym pojęcia.

- Nie wszyscy będą kosić. Tylko ci, którzy umieją - wyjaśniła Seltha.

Sir Bayard de Boisbaston też? - pomyślała lady d'Averette z niedowierzaniem. Gdzie i kiedy nauczył się tej pracy?

- Muszę to zobaczyć na własne oczy - powiedziała.

- Ja też pójdę - oznajmił de Corley z ponurym wyrazem twarzy. - Chcę zobaczyć rycerza, który kosi zboże.

* * *

Zbliżając się do pola, zauważyli, że rzeczywiście dzieje się tam coś niezwykłego. Żniwa zwykle nie przyciągały publiczności, teraz zaś wokół łąnu zboża zebrał się tłumek wieśniaków i kupców, którzy porzucili swoje kramy na całe popołudnie.

Gillian dostrzegła kobiety odziane w spódnice i szale, chłopów w fartuchach i ich synów w samodziałowych koszulach. Matki z niemowlętami przy piersi przysiadły w cieniu kasztanowca, a wszędzie dokoła kręciły się dzieci dogłądane przez starsze siostry. A co najdziwniejsze, było tam również kilka grupek podekscytowanych żołnierzy, którzy najwyraźniej zakładali się, patrząc na to, co się działo na polu.

Na drugim końcu kilku mężczyzn ostrzyło oseekami kosy. Obok nich stał Hale z małym Teddym. Chłopiec podskakiwał i z podnieceniem klaskał w dłonie, patrząc na dziesięciu mężczyzn, którzy powoli, rytmicznie parli z kosami do przodu. Za nimi szły kobiety, wiążąc pokos w snopy.

Pięciu ze żniwiarzy było wieśniakami, między innymi wnuk starego Davy'ego. Łatwo było go poznać, był bowiem niezwykle chudy, choć bardzo silny i uparty. Nie ustawał w pracy nawet wówczas, gdy wielu innych, starszych i potężniejszej postury, z trudem łapało oddech i wołało o wodę do picia. Po jego obu stronach szło jeszcze po dwóch chłopów. Gillian znała ich wszystkich i wiedziała, że byli to najlepsi kosiarze w wiosce.

W drugiej grupie szedł sir Bayard, mając po bokach czterech innych żołnierzy, wśród których znajdował się Robb. Pólnagi, z rozpuszczonymi na ramiona ciemnymi włosami Boisbaston machał kosą ze swobodą wskazującą na dużą wprawę.

- Nie uwierzyłabym w coś takiego - wymamrotała.

- Może on jednak nie jest prawdziwym synem szlachcica - podsunął natychmiast Dunstan, zachwycony tą możliwością.

Miała ochotę powiedzieć mu, że zawiść i zazdrość nie przysporzą mu jej sympatii, ale powstrzymała język. W końcu rycerz pewnego dnia wyjedzie z Averette, a ochmistrz pozostanie; choć nie potrafiła go pokochać, miała nadzieję, że nadal będzie lojalnym i wiernym przyjacielem.

Grupa Bayarda miała przewagę, ale młody Davy zdobył się na wielki wysiłek i zniwelował różnicę. Przez chwilę obydwie drużyny szły ramię w ramię. Potem żołnierze przyspieszyli tempa, a później znów chłopci. Gillian splotła dłonie i zbliżyła się do skraju

poła, żeby lepiej widzieć.

Davy, z pochyloną głową, szybko posuwał się do przodu. Boisbaston zrównał się z nim, a nawet zaczął zyskiwać przewagę, jednak nieopatrznie podniósł głowę, by sprawdzić, gdzie jest rywal.

- Nie rób tego, głupcze - szepnęła.

W tej krótkiej chwili wieśniak wysunął się do przodu i dotarł do końca pola, a tuż za nim cała jego drużyna. Ich triumf wywołał ryk zadowolenia zgromadzonych mieszkańców wioski. Żołnierze jęknęli z rozczarowaniem, patrząc na swych spoconych, ciężko dyszących towarzyszy, którzy również dotarli do końca i zmordowani rzucili się na ziemię.

- Dobra robota! - zawołał rozpromieniony Hale na widok lady d'Averette i ochmistrza.

- Piwo dla wszystkich!

- Bogu dzięki. Język mi wysechł na wiór - jęknął Bayard, podnosząc się z ziemi z kosą w dłoni. - To piekielnie ciężka praca.

- Młócka jest gorsza! - zawołał ze śmiechem jeden z chłopów.

- Nie, układanie stogów - wykrzyknął inny.

- Mężczyźni - parsknęła jakaś kobieta spod kasztanowca. - Spróbujcie urodzić dziecko!

To dopiero wysiłek!

Wszyscy zgromadzeni, nie wyłączając Boisbastona, wybuchnęli śmiechem.

- Nasza pani tu jest! - zawołał Hale i wszystkie twarze zwróciły się w jej stronę.

Zarumieniła się i wyprostowała ramiona. - Jak widzisz, pani - ciągnął pasterz - to ostatnie pole skończyliśmy szybciej, niż się spodziewaliśmy.

- To wielki wyczyn - odrzekła. - Choć rozumiem, że okoliczności również były niezwykle, i nie będę wymagać, byście każde pole kosili w tym tempie.

- Całe szczęście - mruknął młody Davy i wszyscy znów wybuchnęli śmiechem.

- Teraz odpocznijcie, a potem zapraszam was na ucztę. Wszyscy ciężko pracowaliście i jestem wam bardzo wdzięczna.

Tłum zaczął wiwatować. Gillian z uśmiechem stała na ściernisku, starając się omijać wzrokiem Bayarda.

* * *

Patrząc na nią, uświadomił sobie, że mieszkańcy Averette naprawdę kochają swoją panią. Rozumiał, czym sobie na to zasłużyła: choć wobec niego zachowywała się arogancko, swoich poddanych traktowała z dobrocią. Widział też, że często sama wykonywała obowiązki, które wiele innych dam zleciłoby służącym. Często też się uśmiechała. Jedyne w jego obecności stawała się pochmurna.

Między nimi panowało coś w rodzaju zawieszenia broni. Bayard, zdecydowany wypełnić obietnicę daną Armandowi, bardzo uważał, by nie naruszyć delikatnej równowagi, Gillian zaś wciąż była zajęta sprawami zamku i nie miała czasu na spory.

Poczuł, że ktoś go ciągnie za spodnie. Obok jego nogi stał Teddy.

- Mój tata mówi, że dobrze kosisz, panie - stwierdził malec z zadowoleniem. - Mówi, że ja też dobrze koszę.

- Z pewnością tak - potwierdził rycerz z uśmiechem. - Zaprowadzę cię do taty, dobrze? Chłopiec pokiwał głową. Boisbaston narzucił na ramiona koszulę, pochylił się i wziął go na barana. Dzieciak roześmiał się radośnie.

- Patrz na mnie, tato! - wołał z zachwytem, gdy szli przez ściernisko. - Patrz na mnie, zobacz, gdzie jestem!

Wieśniacy uśmiechali się do nich. Bayard zobaczył również uśmiech na twarzy Gillian, gdy ich zauważyła. Niestety, obok niej stał nachmurzony ochmistrz. Jeszcze niedawno rycerz nie uznałby takiego człowieka jak Dunstan za godnego siebie rywala. Nie był szczególnie atrakcyjny ani nie odznaczał się urokiem osobistym, a jednak cieszył się zaufaniem i przyjaźnią pani. To mógłby być problem, gdyby byli rywalami. Ale przecież nimi nie byli.

Hale na widok rozbawienia swego syna również się uśmiechnął.

- Uważaj, Teddy, żeby nie zranić pana, bo to królewski rycerz.

- Dzisiaj jestem tylko zwykłym żniwiarzem, a w tej chwili potężnym ogierem - odrzekł Bayard dobrodusznie. Zarżał i pogrzebał stopą w ziemi, a potem pochylił głowę i zaszarżował w stronę najbliższej stojącego snopka. Chwiejący się na jego ramionach chłopiec zanosił się od śmiechu. Boisbaston przebiegł jeszcze kilka metrów i postawił go na ziemi.

- Nawet potężny ogier musi czasem coś zjeść, wypić i odpocząć - wyjaśnił, głaszcząc malca po głowie.

Teddy z żalem skinął głową i pobiegł do ojca, on zaś podszedł do ustawionych na kozłach stołów, na których czekała już wieczerza i piwo.

Nigdy nie zastanawiał się nad tym, czy chciałby mieć własne dzieci. Odkładał tę kwestię na bliżej nieokreśloną przyszłość, wraz z myślami o małżeństwie i innych obowiązkach. Ale tego dnia, otoczony przez szczęśliwych mieszkańców Averette, słuchając radosnego śmiechu chłopca, pomyślał, że wspaniale byłoby mieć syna. Oczywiście pod warunkiem, że najpierw udałoby mu się znaleźć odpowiednią żonę.

Uświadomił sobie również, że jego ideał kobiety uległ ostatnio pewnym zmianom. Mimo wszystko małżeństwo wciąż było kwestią dalekiej przyszłości, toteż odsunął od siebie te rozważania i zbliżył się do stołu. Poczul woń świeżego chleba i ślina napłynęła mu do ust. Obok kołaczy na stole rozłożono grube, okrągłe sery, rozstawiono dzbany z piwem i gliniane kufle.

Armand mówił, że w niewoli tęsknił za chlebem bardziej niż za jakimkolwiek innym pożywieniem. Wgryzając się w pajdę świeżego bochna, Bayard pomyślał, że dobrze rozumie tę tęsknotę. Gdy człowiek był naprawdę głodny, na całym świecie nie było nic lepszego, może oprócz chłodnego piwa dla zaspokojenia pragnienia. Nalał sobie kufel i wychylił jednym haustem.

Ocierał usta dłonią, gdy stanęła przed nim Gillian. Ku swej irytacji mężczyzna poczuł,

że rumieni się jak młody chłopiec. Uświadomił sobie również, że jest spocony, ubrany jak chłop i prawdopodobnie śmierdzi.

- Zdziwiona byłam, widząc, że kosisz zboże, panie.

Nie miał pewności, czy te słowa miały wyrażać aprobatę, czy nie, ale niczego nie żałował.

- Jak widzisz, pani, potrafię nie tylko walczyć.

- Widzę. Gdzie się nauczyłeś tak dobrze posługiwać kosą? Zwykle trzeba wielu lat, by dojść do wprawy.

Czyżby i do niej już dotarły plotki o jego pochodzeniu?

- Mój nieżyjący ojciec, lord Raymond de Boisbaston, miał dość niecodzienne poglądy na edukację swych synów - odrzekł zgodnie z prawdą. - Był przekonany, że praca w polu wzmocni nasze ciała i wykształci w nas charakter. Dzięki temu miał dodatkowe, darmowe ręce do pracy.

Gillian lekko uniosła brwi.

- Twój ojciec uważał koszenie zboża za ćwiczenie przydatne w walce?

- Między innymi. Zbierałem i zginałem jabłka przeznaczone na cydr, pracowałem przy warzeniu piwa, pomagałem kołodziejowi wyrabiać koła i bednarzowi robić beczki. Oporządzałem konie, orałem i siałem. Robiliśmy wszystko, co było do zrobienia. A dzisiaj uznałem, że odrobina rywalizacji pozwoli moim ludziom pozbyć się napięcia.

- Czy byli niespokojni?

- Byliby głupi, gdyby nie odczuwali niepokoju. Któż może przewidzieć, kiedy król rozpocznie kolejną wojnę albo kiedy zaatakuje nas jakiś wróg? Jeśli zdarzy się jedno lub drugie, to przede wszystkim oni będą narażać życie. Ćwiczenia mogą ich przygotować do walki. Najgorsze jest czekanie; czasami odrobina rozrywki potrafi zdziałać więcej niż kolejna musztra.

- Rozumiem - rzekła i chyba naprawdę rozumiała.

- Swoją drogą, już dość dawno nie pracowałem kosą - przyznał Bayard z uśmiechem. - Jutro pewnie będą mnie bolały wszystkie kości.

Kątem oka zauważył ochmistrza, który snuł się w pobliżu.

- Dunstan też mógłby trochę popracować w polu. Wzmocniłby sobie mięśnie ramion - rzucił, ale natychmiast uświadomił sobie, że to był błąd. Rysy twarzy Gillian zaostrzyły się, jakby obraził ją osobiście.

- Masz pewne powody do dumy ze swego wyglądu, panie - rzekła sztywno. -

Przypominam ci jednak, że próżność jest jednym z siedmiu grzechów głównych. Może ty nie widzisz nic złego w tym, że zachowujesz się jak jeden z moich poddanych, ale jednak jesteś gościem w moim zamku. Co powiedzą moi sąsiedzi, jeśli o tym usłyszą? Gotowi będą uwierzyć, że to ja kazałam ci pracować w polu.

Nie podobało mu się, że łąja go publicznie jak dzieciaka.

- Mogę wyjaśnić twoim sąsiadom, pani, że nie jesteś w stanie zmusić mnie do niczego, czego sam nie chcę zrobić. A co się tyczy mojej próżności, to zdaję sobie sprawę, że mam wiele powodów, by być bardzo pokornym człowiekiem. A teraz wybacz mi - zakończył ostro i podszedł do swego giermka.

Frederic, z ponurą miną upartego piętnastolatka, stał oparty o drzewo. Bayard wiedział, skąd się wziął jego podły nastrój. Chłopak uznał pomysł zawodów za niedorzeczny. Twierdził, że koszenie zboża czy wykonywanie jakiegokolwiek innej chłopskiej pracy jest poniżej godności rycerza. Wiele jeszcze musiał się nauczyć.

- No i cóż, Fredericu, nie sądzisz, że ich szacunek do mnie wzrósł? - zapytał go, wskazując na wieśniaków, którzy śmiali się, rozmawiali, jedli i pili.

Giermek kopnął grudkę trawy czubkiem skózanego buta.

- Nadal uważam, że to nie było właściwe.

Boisbaston z trudem zdobywał się na cierpliwość, zastanawiając się przy tym, jak Armandowi udało się wytrzymać z nim przez tyle lat. W młodości był wszak jeszcze gorszy niż Frederic.

- Rycerz robi to, co jest konieczne w danej sytuacji - wyjaśnił raz jeszcze. - I nigdy się nie poniżysz, spędzając czas z ludźmi, którzy dostarczają ci jedzenia, ubrania i broni. Lady Gillian ubiera się prosto, niemal jak chłopka, i wykonuje zajęcia, które ma pełne prawo zlecić innym, a mimo to wszyscy słuchają jej bez dyskusji i mówią o niej z uczuciem.

- Sądzisz więc, że ja też powinienem kosić zboże?

- Sądzę, że powinieneś robić to, co ci każe. Teraz zboże jest już skoszone, ale jeśli następnym razem poproszę cię, żebyś pomógł rozładować wóz albo zebrać snopki, to oczekuję, że zrobisz to bez narzekań i zbędnych dyskusji.

- Tak, panie - wymamrotał chłopak.

- A teraz idź coś zjeść.

Frederic skinął głową i oddalił się. Bayard westchnął. Wciąż miał nadzieję, że jego giermek wyjdzie na ludzi, ale zadanie było trudniejsze, niż przypuszczał.

Usłyszał śmiech lady Gillian. Siedziała między kobietami, trzymając w ramionach dziecko. Była na swoim miejscu, między swoimi ludźmi. A gdzie było jego miejsce? Przy boku króla, którego nie znosił z całego serca? W posiadłościach, które były posagiem jego matki i które przekazała mu w chwili śmierci, za wszelką cenę nie chcąc dopuścić, by przeszły na własność Armanda czy ich ojca? Czy naprawdę był synem swego ojca? A może w plotkach o podrzutku kryło się ziarno prawdy? Zdawał sobie sprawę, że nigdy się tego nie dowie.

Rozdział dwunasty

Wieczorem na placu we wsi rozpoczęły się tańce przy świetle rozpalonego pośrodku ogniska. Stoły na kozłach, wyładowane chlebem, pieczoną wołowiną, baranim gulaszem i miodowymi ciastkami z zamkowej kuchni, a także baryłkami piwa, przesunięto w stronę kuźni.

Między tancerzami biegały rozbrykane dzieci. Mały Teddy i kilkoro jego przyjaciół, zmęczeni po całym dniu, spali na rozłożonych na ziemi pledach, obok kobiet, które trzymały w ramionach niemowlęta. Stary Davy wybijał na kolanie rytm muzyki granej na harfie i bębenku i rozmawiał ze swymi kompanami o zakończonych zniwach. Pary wymykały się z oświetlonego kręgu, by szeptać i całować się pod osłoną mroku, w cieniu chat.

Na placu kował tańczył z Peg, obracając ją z rozmachem. Młynarz i jego żona przyglądali im się bacznie, świeżo pogodzeni po kolejnej kłótni. Darmowa wieczerza i piwo nastrojały wszystkich życzliwie.

Gillian zwykle tańczyła wraz ze wszystkimi, bowiem lubiła taniec, ale dzisiaj wolała tylko patrzeć. Przez cały wieczór starała się unikać Dunstana, który wypił za wiele wina.

Wędrując wzrokiem po zgromadzonych, zauważyła kupca winnego, który wrócił już z Londynu, i pomyślała, że być może popełniła błąd, zachęcając go do ponownego przyjazdu do Averette. Jeśli ochmistrz chciał się upić, nie potrzebował do tego wina Charlesa de Fenelona; piwniczka zamkowa, do której miał klucze, mieściła wystarczające zapasy.

Sir Bayard siedział pośród żołnierzy garnizonu i rozprawiał o bitwach, turniejach, strategiach i broni. Słuchali go uważnie, popijając piwo i przerywając tylko po to, by zadać jakieś pytanie. W pobliżu stał jego giermek, któremu rozmowa najwyraźniej nie sprawiała przyjemności. Skrzyżował ramiona na piersiach i na jego twarzy pojawił się znudzony wyraz, jakby słyszał to wszystko już niejednokrotnie. Gillian nie była pewna, czy dobrze zrobiła, pozwalając Fredericowi zostać. Może lepiej było odesłać chłopaka do domu?

Zastanawiała się, gdzie się podziała Dena. W końcu zauważyła ją przy stole. Rozmawiała z Robbem, uśmiechając się nieśmiało. Wyglądało na to, że dziewczyna czuje się już lepiej, nie tylko fizycznie.

Już od wielu dni pani na Averette nie miała tylu powodów do zadowolenia. Wszystko w posiadłości szło właściwym trybem, przynajmniej na razie, i może w tak burzliwych czasach nie należało oczekiwać niczego więcej.

- Ach, tu jesteś, pani! - zawołał ochmistrz, potykając się na równej ziemi. Sądząc po bijącym od niego zapachu, wypił znacznie za dużo i jego widok nie radował jej oczu. Pomyślała jednak, że nawet on od czasu do czasu może sobie pozwolić na niewielki wybryk.

- Dobry wieczór, Dunstanie. Piękną mamy pogodę, prawda? - powiedziała łagodnie.

- A tak - zgodził się. - Bardzo piękną. Bardzo, bardzo piękną. - Pochwycił ją za rękę i próbował wyciągnąć z kąta. - Chodź, Gillian, dołączmy do tancerzy.

Nie podobał jej się jego ton i zbyt poufaly sposób, w jaki zwracał się do niej publicznie, toteż wyrwała rękę.

- Czuję się trochę zmęczona.

Nachmurzył się jak skarcone dziecko.

- Nie zatańczysz ze starym przyjacielem?

Był jej przyjacielem i wcześniej przy podobnych okazjach kilkakrotnie z nim tańczyła. Co pomyśleliby wieśniacy, gdyby odmówiła mu teraz? Od kilku dni była w nie najlepszym nastroju; czekała na odpowiedź od Adelaide i obawiała się niespodziewanego ataku. Wiedziała, że jeśli będzie obnosić się ze swym przygnębieniem, ludzie zauważą to i zaczną się niepokoić.

- Dobrze, zatańczę - zgodziła się niechętnie.

Na widok jego uśmiechu przypomniała sobie, dlaczego są przyjaciółmi. Dunstan był dobrym człowiekiem i choć nie potrafiła go pokochać, bardzo go lubiła. Jej życie w Averette byłoby znacznie trudniejsze bez jego pomocy i zdolności do rachunków.

Wyszła na środek placu z mocnym postanowieniem, że będzie traktować go jak zawsze i dobrze się bawić. Zbiory były dobre, na jej ziemiach panował spokój, ona sama zaś cieszyła się zdrowiem i młodością.

Tancerze przyjęli jej pojawienie się w kręgu z aplauzem, klaszcząc w dłonie. Gillian poddała się rytmowi i jej stopy same odnalazły właściwe ruchy. Zapomniała o troskach i odpowiedzialności, o zmartwieniach i wątpliwościach. Znow była sobą - nie panią zamku ani potencjalną ofiarą nieznanego, niewidzialnego wroga, lecz po prostu kobietą, która tańczyła ze swym przyjacielem podczas wieczornej zabawy.

Gdy muzyka umilkła, poczuła się beztroska i szczęśliwa. Ochmistrz, dysząc ciężko, pochylił się i oparł dłonie na kolanach.

- Matko Przenajświętsza, wykończył mnie ten taniec! Obawiając się, by nie upadł od nadmiaru wina i z wyczerpania, objęła go ramionami i poprowadziła w stronę najbliższej ławki. Opadł na nią i na oczach wszystkich pociągnął ją na kolana.

- Dunstanie! - wykrzyknęła, zrywając się natychmiast. Jej dobry nastrój prysnął jak bańka mydlana. - Zapominasz się!

- Wybacz mi, Gillian - rzekł ze zdumionym wyrazem twarzy, podnosząc się chwiejnie.
- Ja nie... nie powinienem był... to przez to wino.

Zmienił się na twarzy, zakrył usta dłonią i czmychnął w stronę rzeki. Zażenowana kobieta nie wiedziała, gdzie podziać oczy. Naraz usłyszała za plecami głos Bayarda:

- Ten biedny człowiek ma słabą głowę.

Obróciła się na pięcie. W oczach rycerza błyszczało rozbawienie.

- Dunstanowi rzadko zdarza się przekroczyć miarę - powiedziała usprawiedliwiająco.

- Ja też tego nie lubię - odrzekł. - To przytępia zmysły. Zatańczysz ze mną, pani?

Wyglądał, jakby był przygotowany na odmowę. Czyżby sądził, że Gillian się go

obawia? Jeśli tak, to zupełnie jej nie znał. Odpowiedziała mu śmiałym uśmiechem i wyciągnęła rękę.

- Z przyjemnością, panie.

Na jego ustach zadrgał cień uśmiechu. Skłonił się przed nią dwornie, jakby znajdowali się w królewskim pałacu w Westminster, i poprowadził ją na środek placu. Już po kilku krokach uświadomiła sobie, że Boisbaston jest doskonałym tancerzem. Jego ruchy były pewne i pełne wdzięku. Patrząc na niego, zaczęła wierzyć, że opowieści o cygańskim kochanku mogą być prawdziwe.

Pragnąc mu dorównać, tańczyła jak nigdy dotąd. Obracała się, wirowała, klaskała w dłonie, skakała i robiła wszystko, co na jej miejscu zrobiłaby Lizette. Gdy dźwięki harfy i bębna ucichły, brakowało jej tchu. Bayard zaczął bić jej brawo i po chwili wszyscy zgromadzeni przyłączyli się do niego. Natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy nie pozwoliła sobie na zbyt wiele. Może trzeba było zachować więcej godności i pozorów?

- Czy masz ochotę napić się czegoś, pani? - zapytał.

Uniosła głowę dumnym, królewskim gestem i ruszyła do stołów. Rycerz szedł obok niej, ignorując spojrzenia, które wymieniali między sobą wieśniacy.

- Doskonale tańczysz, pani - powiedział, prowadząc ją do pustej ławki w cieniu kuźni. Było to ustronne miejsce, może zbyt ustronne, ale w każdym razie siedząc tutaj, nie czuła na sobie dziesiątków wścibskich oczu.

- Ty również - odrzekła. - Tak jakbyś...

Zawahała się, przyszło jej bowiem do głowy, że porównanie do Cygana może nie sprawić mu przyjemności. Mówiono, że Cyganie pochodzą od ludu, który odmówił Józefowi i Marii pomocy podczas ucieczki z Egiptu.

- Tak jakbym miał cygańską krew? - podsunął, krzywiąc się lekko. Widocznie już wcześniej słyszał podobne porównania.

- Nie chciałam cię urazić. Po prostu rzadko spotyka się tak doskonałego tancerza.

- Skoro tak, to przyjmuję twój komplement i proszę o wybaczenie, iż niewłaściwie zrozumiałem twoje słowa.

Miał niski, głęboki głos, a gdy patrzył na nią ciemnym, nieprzeniknionym wzrokiem, nietrudno było zrozumieć, dlaczego tak wiele kobiet pragnęło znaleźć się z nim sam na sam.

- Proszę, usiądź. Na pewno jesteś zmęczony.

- To prawda - przyznał, siadając obok niej. - Jestem zmęczony dociekaniem, czy jestem synem mojej matki, czy też cygańskim podrzutkiem, którego kupiła lub ukradła, by zastąpić własne dziecko zmarłe przy porodzie.

- Wiem, jak irytujące bywają plotki - rzekła Gillian szczerze. - Ludzie ciągle powtarzają, że ja i moje siostry planujemy ślub albo że powinniśmy wyjść za mąż. Mają również wyrobioną opinię co do tego, za kogo powinniśmy wyjść, a skoro tego nie robimy, to mówią, że coś z nami jest nie tak - mamy jakieś ukryte wady albo jesteśmy głupie.

- Tak, to denerwujące - pokiwał głową i pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. - Ale ty sama dobrze wiesz, pani, że nie jesteś wybrykiem natury ani nie masz żadnych ułomności, a ja nie mogę być pewny, że nie jestem cygańskim podrzutkiem. Jestem jedynym dzieckiem mojej matki. Poród miała ciężki i nigdy nie urodziła następnego. Dla nikogo nie było też tajemnicą, że nienawidziła mojego ojca. Po jej śmierci posag miał przejść tylko na jej własne dzieci, nie na męża ani na pasierbów. Lord Raymond miał przede mną dwóch innych synów - Simona, który zginął, przygotowując się do wyruszenia na krucjatę, i Armanda, którego moja matka nie znosiła. Nawet ja potrafię uwierzyć, że jeśli straciła własne dziecko przy porodzie i powiedziano jej, że nie może już urodzić następnego, to zdecydowała się kupić lub wykraść niemowlę tylko po to, by jej mąż i pasierbowie nie odziedziczyli dóbr, które wniosła w posagu.

Spojrzał na Gillian ostrożnie.

- To brzmi okropnie, prawda? Kto wie, jaka byłaby moja matka, gdyby rodzina nie zmusiła jej do małżeństwa, pozostawiając jako jedyną alternatywę zamknięcie w klasztorze? Niestety, stała się zgorzkniała. Mój ojciec próbował pozbawić ją wszystkiego, upokarzał przy każdej okazji, a ona nigdy nie chciała mu ustąpić. Armand i ja czuliśmy się tak, jakbyśmy wyrastali na polu bitwy. Ale nie staliśmy się przez to wrogami - przeciwnie, zawarliśmy sojusz, poszukując we własnym towarzystwie odrobiny spokoju.

Nic dziwnego, że tak mocno był związany z przyrodnim bratem i chciał spełnić wszelkie jego prośby, pomyślała.

- Mój dom też nie był szczęśliwy - przyznała, obejmując kufel obiema dłońmi. - Ale moja matka zawsze ulegała ojcu, który desperacko pragnął mieć synów. Była zbyt słaba i zahukana, podobnie jak ja.

- Trudno mi w to uwierzyć. Gillian uśmiechnęła się smutno.

- Tak było. Przeważnie uciekałam do wioski. Wolałam towarzystwo starego Davy'ego i jego żony niż wysłuchiwanie awantur ojca.

Rumieniec wstydu zabarwił jej policzki.

- Zostawiałam Adelaide, żeby sobie z nim radziła. To ona była tą odważną w naszej rodzinie. Nigdy nie zapomnę, jak przeciwstawiła się ojcu, gdy uderzył matkę. Nazwała go tchórzem. Powiedziała, że tylko tchórz może uderzyć kobietę. Trzeba było widzieć wyraz jego twarzy. Nie było na niej gniewu czy nienawiści - do tego już przywykłyśmy, nie była to też niechęć. Jego spojrzenie wyrażało rodzaj szacunku. Tamtego dnia przekonałam się, że siła nie zależy od mięśni ani od potężnej postury. Adelaide jest najsilniejszą osobą, jaką znam, i gdybym potrafiła być choć w połowie tak odważna, silna i dobra jak ona, czułabym się niezmiernie szczęśliwa.

- Jesteś taka - rzekł Bayard cicho. - I nie jestem pewien, czy twoja siostra potrafiłaby zarządzać Averette nawet w połowie tak dobrze jak ty.

Był to najpiękniejszy, najbardziej przejmujący komplement, jaki Gillian usłyszała w

całym swoim życiu. Przez chwilę była tak oszołomiona, że nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

Boisbaston podniósł się i stanął przed nią. W migoczącym blasku płomieni wyraźnie rysowała się blizna na jego twarzy.

- Przypuszczam, że słyszałaś, jak mnie nazywają?

- Tak - szepnęła.

- Nie jestem mnichem, ale chcę cię zapewnić, pani, że nigdy nie uwodziłem każdej kobiety, która znalazła się w pobliżu, tak jak to robił mój nieświętej pamięci ojciec. Armand i ja zbyt dobrze widzieliśmy, ile cierpienia i zniszczenia pozostawia za sobą taki człowiek i nigdy nie chcieliśmy podążać jego śladami.

Ona również podniosła się i patrzyła na niego uważnie, próbując przeniknąć wzrokiem jego twarz.

- Czy to znaczy, że nie uwiodłeś żony swojego zdobywcy, gdy czekałeś na okup we Francji, a twój brat pozostawał w niewoli?

- Nie. Żona diuka była młoda, piękna i uważała, że jestem atrakcyjny, ale nic między nami nie zaszło. - Nerwowo przesunął dłonią po włosach. - Przypuszczam, że gdybym zechciał, mógłbym zostać jej kochankiem, ale nie chciałem. Byłem gościem diuka, nie tylko jego jeńcem. A jeśli chodzi o poddanie zamku, którego miałem bronić, otrzymałem wiadomość, rzekomo od króla, która nakazywała mi się poddać. Było w niej napisane, że utrzymanie zamku nie jest warte życia jego obrońców. Nie zastanawiałem się wówczas, od kogo pochodzi ten rozkaz. Widziałem pieczęć, która wyglądała na królewską, podobnie jak podpis. Ale gdy wróciłem na dwór, król zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek wysyłał taki rozkaz. Nie znaczny to jednak, że tego nie zrobił. Być może próbował ukryć swój błąd, wyłgać się z kolejnej porażki. Tych spośród moich ludzi, którym udało się ująć z życiem, natychmiast wcielono do gwardii królewskiej.

- A jednak popierasz króla?

- Złożyłem przysięgę i honor wymaga, bym jej dotrzymał. Niestety, złożyłem ją, nim się przekonałem, jakim człowiekiem jest Jan i nim w pełni zrozumiałem, jak głęboko potrafi się pograżać. - Potrząsnął głową. - Byłem młody i chciałem jak najszybciej zostać pasowany na rycerza. Gotów byłem przysiąc wierność samu szatanowi, gdyby zechciał dać mi za to rycerski tytuł.

Ujął ją za ramiona, mówiąc z głębokim przekonaniem:

- Ale chciałbym, byś uwierzyła, że nie jestem łajdakiem. Wtedy, gdy się poddałem, wypełniałem tylko rozkaz. Naprawdę nie wiedziałem o cierpieniach Armanda, choć, niech Bóg mi wybaczy, powinienem był uświadomić sobie, że skoro Jan pozwolił, by mieszkańcy Corfe zginęli z głodu, to jego wrogowie również nie okażą więcej miłosierdzia. Powinienem był przewidzieć, że nie wszyscy zachowają się równie szlachetnie jak diuk.

Chcąc go uspokoić i pocieszyć, Gillian położyła rękę na jego ramieniu, on zaś

przyciągnął ją do siebie. Powinna go powstrzymać i uciec, ale nie mogła i nie chciała tego zrobić. W chwili, gdy ich usta się zetknęły, mur, którym otoczyła swoje serce, runął i rozpadł się na tysiąc kawałków. Długo powstrzymywane pożądanie i tęsknota za miłością wybuchły z całą siłą. Pragnęła znaleźć się w jego ramionach, raz jeszcze zaznać namiętności, czuć, że Bayard również jej pragnie.

Całowała go żarliwie, desperacko, nie zastanawiając się nad przyszłością. On zaś obejmował ją mocno, jakby miał jej nie wypuścić już do końca życia.

Kiedyś już kochała i była kochana - przez młodego mężczyznę, nieledwie chłopca. Nieszczęśliwe dzieciństwo pozostawiło w jej sercu głód miłości, toteż z radością oddała Jamesowi ciało i serce. Ale to, co czuła teraz, w ramionach dojrzałego mężczyzny, było jeszcze bardziej oszałamiające. Wiedziała, do czego może prowadzić pożądanie, ale nie dbała o to. Nic nie miało znaczenia oprócz płonącej w jej żyłach namiętności.

Naraz ktoś mocno pochwycił ją za ramię i wyrwał z objęć Bayarda.

Rozdział trzynasty

- Ty odrażająca, grzeszna ladacznico! - wykrzyknął gromko Dunstan.

Boisbaston wysunął się do przodu. Wydawał się w tej chwili jeszcze większy i potężniejszy.

- Jeśli jeszcze raz jej dotkniesz, to cię zabiję - ostrzegł surowym, władczym tonem.

Przerażona Gillian stanęła między nimi, zdecydowana powstrzymać ich, zanim któryś zostanie ranny.

- Dunstanie, proszę...

- Dobrze wiem, co widziałem - odparował z furją i całe jego ciało zatrzęsło się z wściekłości. - Wcale mu się nie opierałaś. Pozwalałaś, by cię całował! - Przez złość i nienawiść w jego głosie przebił się ton cierpienia. - Dobry Boże, ty chciałaś, żeby cię całował!

- To był błąd - powiedziała, podchodząc do niego. Boisbaston próbował ją zatrzymać, ale strząsnęła z siebie jego dłoń.

- Błąd - prychnął ochmistrz, wyciągając sztylet zza pasa. - Tyle dla ciebie zrobiłem, ty niewdzięczna dziewczko! Byłem cierpliwy, wierzyłem, że jeśli będę ci dobrze służył i traktował cię z szacunkiem, na którym tak ci zależy, to pewnego dnia dostrzeżesz moją wartość i moje zalety. Myślałem, że pomimo niskiego urodzenia uda mi się zdobyć twoją miłość. Byłem głupi, myśląc, że jesteś warta moich wysiłków!

- Odłóż sztylet - zakomenderował Bayard, nie spuszczać z niego oczu. Wzburzony mężczyzna nie był, co prawda, rycerzem, ale pod wpływem tak silnych emocji mógł się stać niebezpieczny.

- Tak, Dunstanie, odłóż sztylet - poprosiła Gillian, podchodząc o krok do przodu. - Nie

potrzebujemy tu rozlewu krwi.

Boisbaston przytrzymał ją poza zasięgiem rąk napastnika.

- Zabierz od niej te brudne ręce! - wrzasnął tamten i rzucił się do przodu. Wyszkolony rycerz jednak z łatwością zrobił unik, pochwycił napastnika za przegub i wykręcił mu rękę, po czym pochylił się i zgarnął z ziemi sztylet, który wysunął się de Corleyowi z dłoni.

- Odejdź, Dunstanie. Wróc do zamku - powiedział.

- Czy myślisz, że się ciebie boję, ty przepełniony żądzą grzesznika? - wykrzyknął ochmistrz histerycznie. - Wjechałeś tu jak król, wzięłeś, co chciałeś, a ja mam na to patrzeć spokojnie?

- Dunstanie - wtrąciła Gillian. - Tak mi przykro, że...

- Przykro - parsknął. - Wcale ci nie jest przykro. Znałem cię od dziecka. Znam cię za dobrze, by dać się nabrać na twoje słowa. Widziałem prawdę na własne oczy. Pragniesz go tak, jak nigdy nie pragnęłaś mnie.

- Nie potrafię ci odpowiedzieć miłością na miłość - odrzekła łagodnie. - Ale jesteś mi drogi jak brat.

- Brat? - warknął z pogardą i jego twarz poczerwieniała. - To ten człowiek jest twoim bratem, nie ja!

Nic na to nie mogła odpowiedzieć; miał rację, w każdym razie z punktu widzenia prawa kościelnego.

- Dunstanie, wracaj do zamku - nakazał Bayard jeszcze raz.

- Tak, proszę, wróć. Możemy porozmawiać o tym później - poparła go Gillian.

- Mam się uspokoić? - Ochmistrz potrząsnął głową. - Czy sądzisz, że jestem tak głupi, by uwierzyć w twoje kłamstwa, w twoje żalosne wymówki? Obydwoje budzicie we mnie odrazę. Gdy pomyślę o tych wszystkich latach, które straciłem, mając nadzieję... - Wycelował palcem w pierś kobiety. - Napiszę do Adelaide. Powinna się dowiedzieć, że jej szwagier to skończony łajdak, a jej siostra w niczym nie jest lepsza od zwykłej dziewczki.

Odwrócił się i powlókł w stronę zamku.

- Zaczekaj, Dunstanie - zawołała za nim, Bayard jednak znów ją zatrzymał.

- Zostaw go w spokoju. Na razie jest zbyt zdenerwowany. Wszystko mu jedno, komu przedstawi swoje oskarżenia i czy są one prawdziwe, czy nie.

Lady d'Averette strząsnęła z siebie dłoń, której dotyk jeszcze przed chwilą wywoływał u niej podniecenie. - I co my teraz zrobimy?

- Ty również napisz list i wyjaśnij siostrze, co zaszło.

- A co zaszło? - zapytała, wpatrując się w jego nieprzeniknioną twarz. - Co się między nami dzieje, panie?

Pochwycił jej wzrok, ale nie potrafiła przeniknąć wyrazu jego oczu.

- Jest tylko jedna prawda - powiedział. - Ponieważ obydwójce jesteśmy ułomnymi ludźmi, a ostatnio spędzaliśmy ze sobą dużo czasu, zanadto się do siebie zbliżyliśmy. Nasze

uczucia powędrowały w niewłaściwym kierunku, aż w końcu uczyniliśmy coś, czego żałujemy. Niestety, Dunstan nas widział. Napisz jej, że nie ma żadnych powodów do obaw, bowiem nie popełnimy więcej takiego błędu.

Wydawał się tak spokojny, jakby ten pocałunek nic dla niego nie znaczył. Ale właściwie co mógł znaczyć w świetle jej przysięgi i determinacji, by pozostać panią w Averette?

- A co powiemy Dunstanowi?

- Ty jesteś tu panią, a on tylko ochmistrem. Nie musisz mu się tłumaczyć ze swojego zachowania. Ja również nie.

- Jest również moim przyjacielem.

- Ten przyjaciel przed chwilą obrzucił cię obelgami, wyciągnął sztylet i groził ci. Nawet jeśli uważasz, że to, co zrobił, było usprawiedliwione, że zadziałały emocje, powinnaś przynajmniej zwolnić go z funkcji ochmistra. W tej sytuacji nie możesz mu już ufać.

Bayard zapewne miał rację, ale choć Gillian musiała się zgodzić, że nie potrafi już bezgranicznie ufać Dunstanowi, to nie życzyła sobie, by ktokolwiek dyktował jej, co ma robić.

- Zastanowię się nad tym.

- To był mocny cios dla jego dumy. Nie wybaczy szybko ani mnie, ani tobie. Jeśli pozostanie w zamku, będzie stwarzał konflikty i dążył do starcia.

- Był moim przyjacielem! - wykrzyknęła, nie panując nad nerwami. - Ufałam mu, polegałam na nim. Nie mogę tak po prostu kazać mu odejść, tym bardziej że to my postąpiliśmy niewłaściwie.

Boisbaston spojrzał na nią pochmurnie.

- W takim razie rób, co chcesz, tylko bądź przygotowana na konsekwencje. Bóg jeden wie, po co w ogóle wypowiadałem własne zdanie.

- Może ty również powinieneś stąd wyjechać. Dunstan rozpowie wszystkim, co się zdarzyło.

Wyraz twarzy Bayarda nie zmienił się.

- Powiedziałem ci już, pani, że pozostanę tutaj, dopóki Armand albo Adelaide nie zezwolą mi na wyjazd. Ale daję ci słowo honoru rycerza, że nigdy więcej cię nie pocałuję. Odwrócił się na pięcie i odszedł, pozostawiając ją samą.

* * *

Dunstan wtoczył się do swojej izby. Kręciło mu się w głowie i zbierało mu się na mdłości. Zamknął drzwi, oparł się o nie i z trudem chwycił oddech.

Wciąż widział przed sobą Gillian w objęciach Boisbastona, przytuloną do niego całym ciałem, jakby byli kochankami już od wielu dni, może nawet od pierwszego dnia, gdy rycerz pojawił się w zamku.

Wciąż jednak wierzył, że nie mogło się to zdarzyć. Zauważyłby coś wcześniej,

usłyszał, wyczuł.

Z drugiej strony nie mógł zapomnieć, że jego samego potraktowała jak trędowatego tylko dlatego, że posadził ją sobie na kolanach.

Nie potrafił myśleć o niczym innym. Wszystkie jego marzenia i nadzieje, wszystkie plany, które snuł od tygodni, od miesięcy, od lat, obracały się w perzynę. Chciał udowodnić, że jest wart jej uczucia. Marzył, że któregoś dnia Gillian spojrzy na niego i zauważy pragnienie w jego oczach, a on, w odpowiedzi, ujrzy na jej twarzy namiętność. Dzięki oszczędności i dobremu zarządzaniu przez te wszystkie lata udało mu się zaoszczędzić sporą sumę pieniędzy, którą zamierzał zaoferować królowi w zamian za zgodę na małżeństwo.

Tymczasem do czego doprowadziła go cierpliwość, ostrożne kalkulacje i długie czekanie? Zupełnie nie zauważając w nim mężczyzny, Gillian przedłożyła nad niego rycerza o przystojnej twarzy i muskularnym ciele, lecz o reputacji tchórza i łajdaka. Odrzuciła go dla Boisbastona.

Powinien ujawnić to publicznie, ogłosić w całym zamku a także w wiosce. Niech Dena, która tak bardzo podziwiała swoją panią, a także inni służący i wszyscy wieśniacy dowiedzą się, jaką grzeszną dziewczką jest ich pani i jakim łajdakiem okazał się sir Bayard de Boisbaston, jej cygański kochanek. Miał wszelkie prawo, by to zrobić. Powinien również o tym napisać do Adelaide.

Ale co stałoby się z Gillian, gdyby jej grzech i hańba wyszły na jaw? Jak zachowałyby się jej siostra i ludzie z Averette? Być może zmusiliby ją do opuszczenia zamku, do ukrycia się w jakimś klasztorze. A to byłby dla niej koniec. Kochała Averette równie mocno, jak Dunstan kochał ją.

Stłumił szloch i powoli osunął się na podłogę. Nie mógł jej tego zrobić. Nadal ją kochał. Kochał ją od czasu, gdy byli jeszcze dziećmi. Zawsze brała jego stronę, gdy Lizette próbowała się z nim drażnić. Kochał ją również wtedy, gdy w zamku pojawił się James d'Ardenay. Bardzo się wtedy obawiał, że ją utraci.

Nie potrafił przestać jej kochać, nawet jeśli Boisbaston już ją uwiódł, nawet jeśli nigdy nie miała należeć do niego.

* * *

Nie mogąc zasnąć, Bayard przechadzał się po swojej komnacie jak bestia na łańcuchu. Nie powinien był dotykać Gillian. Mało że wystawił jej reputację na szwank, to jeszcze dostrzegł w jej oczach poczucie winy, wstyd i wyrzuty sumienia, jakby popełnili jakąś straszną zbrodnię.

Po raz kolejny podszedł do okna i popatrzył na chmury, które niczym duchy przemykały na tle tarczy księżyca. Czy Dunstan poszedł do swej komnaty, by napisać jadowity list do Adelaide z donosem na siostrę, odmalowując go jako lubieżnego łajdaka, gorszego jeszcze niż jego ojciec? A może tylko upił się do nieprzytomności?

Co sobie pomyśli Adelaide, jeśli otrzyma taki list? A co pomyśli Armand? De czasu

minie, nim wezwie go do siebie i zażąda wyjaśnień?

Powinien porozmawiać z ochmistrem sam na sam, jak mężczyzna z mężczyzną, dopóki jeszcze jest na to czas, dopóki tamten nie miał okazji opowiedzieć wszystkim o tym, co widział. Jeśli jeszcze nie jest za późno. Spróbuje mu wyjaśnić, że to była pomyłka, impuls, który powinien był kontrolować, jego wstyd jego wina i jego grzech. Zamierzał wziąć na siebie całą odpowiedzialność za to, co się stało, aby oszczędzić Gillian.

Jeśli Dunstan naprawdę ją kochał, jeśli pozostały mu jeszcze jakieś ciepłe uczucia wobec niej, to nawet gdyby nie uwierzył w wyjaśnienia Bayarda, powinno mu zależeć na tym, by oszczędzić jej upokorzenia i wstydu, nie zniszczyć opinii i pozycji w świecie. Nie chciałby, by poddani zwrócili się przeciwko niej.

A jeśli ochmistrz nie zechce wybaczyć swojej pani i zachować milczenia? Cóż, w takim razie trzeba będzie znaleźć jakiś sposób, by go przekonać.

Boisbaston narzucił wierzchnią szatę na koszulę, założył trzewiki i wyszedł. Izba ochmistra znajdowała się na dole pod komnatami rodziny. Wchodziło się do niej bezpośrednio z dziedzińca. Zaczekał, aż większa chmura przykryje księżyc, i przemknął pod drzwiami. Zastukał lekko i przyłożył ucho do drewna, wyczekując odpowiedzi, ale nic nie usłyszał. Może Dunstan go nie usłyszał, może był zajęty układaniem listu a może upił się i śpi?

Zdecydowany poznać odpowiedź, ostrożnie otworzył drzwi i wsunął się do komnaty. Przez otwarte okno do wnętrza wpadało światło księżycy. Rycerz zatrzymał się ze zdumieniem. Wnętrze było urządzone komfortowo; nawet na dworze królewskim nie widział większych luksusów. Panował tu również nieopisany bałagan. Wszędzie leżały porozrzucone ubrania, pergaminy, szkatułki i cizmy. Na podłodze przy umywalni wały się skorupy rozbitego dzbanka, a obok leżała przewrócona, połamana skrzynia.

Znalazł na stole przy łóżku krzemień, zapalił świecę i uważnie się rozejrzał. Bogu dzięki, nigdzie nie zauważył ciała ani krwi, z żadnego kąta nie patrzyły na niego martwe oczy. Może jakiś rabuś włamał się do komnaty, gdy Dunstan świętował we wsi? Ale gdzie podział się on sam?

Przybysz jeszcze raz rozejrzał się po izbie. Ten, kto tu był, z całą pewnością zabrał niektóre szaty, a być może również klejnoty z niewielkiej szkatuły, która leżała otwarta i porzucona w kącie. Ale dlaczego rabuś zostawił srebrny lichtarz, grube, nabijane świekami skórzane pasy i trzewiki, a także misternie wykutą z brązu misę i dzbanek do wody? Wyglądało to tak, jakby ktoś pakował rzeczy w wielkim pośpiechu.

Bayard zdmuchnął świecę i odstawił lichtarz na stół, a potem wysunął się z izby równie cicho i ostrożnie, jak do niej wszedł. Przemierzył dziedziniec i dotarł do bramy. Bran i Alfric, którzy trzymali wartę, zeszywnieli, wyraźnie zdziwieni jego pojawieniem się w środku nocy.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy nie śpicie na warcie - skłamał. - Czy Dunstan już wrócił?

W świetle pochodni płonącej w uchwycie na ścianie zauważył na twarzy Brana szeroki uśmiech.

- Jeszcze nie. Wydawał się bardzo wzburzony, gdy wyjeżdżał. Pomyślałem, że może obawia się, iż Peg nie zechce na niego czekać i weźmie kogoś innego.

- Peg?

Alfric zmarszczył brwi i szturchnął towarzysza pod zebro.

- No, co? - zdziwił się Bran. - Ochmistrz pojechał do wioski, żeby się trochę zabawić. Nie ma w tym nic złego.

- Rzeczywiście - zgodził się Bayard, zastanawiając się, od jak dawna de Corley odwiedza tę Peg, czy Gillian o tym wie i czy naprawdę pojechał właśnie tam? - A kiedy Dunstan zwykle wraca?

- W porze jutrzni, czasem trochę później, ale zawsze przed prymą.

- Myślę, panie, że tym razem wróci później - dodał Alfric. Widząc, że Boisbaston się nie złości, zdecydował się powiedzieć wszystko, co wiedział. - Miał ze sobą jakiś tobolek. Wyglądało to jak ubranie na zmianę, jakby wybierał się gdzieś na dłużej.

Bran prychnął krótkim śmiechem.

- Sądząc po wielkości tego toboleka, to może nawet na parę dni.

A może w ogóle nie zamierzał tu wracać, pomyślał Bayard. Jeśli ochmistrz wyjechał, nie mówiąc nikomu o tym, co widział, to nie byłaby zła wiadomość.

- Gdy wróci, powiedzcie mu, że chciałbym z nim porozmawiać. To ważne.

- Dobrze, panie - odrzekł Alfric pogodnie.

* * *

Richard d'Artage podał wartownikom hasło i zbliżył się do migoczącego pośród drzew ognia w obozowisku najemników na południe od Averette.

- Gdzie jest Ullric? - zapytał, wychodząc na otwartą polanę.

Na jego widok trzech wielkich drabów zerwało się na nogi i wyciągnęło miecze. Saksoński przywódca ludzi Wimarca również się podniósł. W rękę trzymał bukłak z winem.

- To Richard - wyjaśnił swoim ludziom, którzy schowali miecze i znów usiedli.

Ullric beknął i obrzucił szlachcica impertynenckim, pytającym wzrokiem. Ten wydał usta z niechęcią, nawet z tej odległości czuł bijący od Saksończyka nieprzyjemny zapach.

- Kiedy zaatakujecie? - zapytał.

- Gdy będę gotów - odrzekł tamten bezczelnie i znów podniósł bukłak do ust.

Przybysz podszedł o krok bliżej z dłonią na rękojeści miecza. W obydwu trzewikach miał ukryte sztylety, a trzeci za pasem.

- Płacą wam za to, żebyście ich pozabijali, a nie siedzieli dokoła ognia i pili.

- Nie płacą nam aż tyle, żebyśmy dali się pozabijać. Pieniądze na nic ci się nie przydadzą, gdy jesteś martwy - odparował Ullric i rzucił worek jednemu ze swych równie niechlujnych, brodatych towarzyszy.

Nie wszyscy byli Anglikami i Saksończykami, nie wszyscy też pochodzili z germańskich plemion. Richard dostrzegł kilku Hiszpanów z zakrzywionymi mauretańskimi mieczami, a także paru Irlandczyków i trzech Walijszyków uzbrojonych w długie łuki. Słyszając słowa swego przywódcy, wszyscy wybuchnęli śmiechem i z uznaniem pokiwali głowami.

- Zdawało mi się, że jesteście najlepszymi najemnikami, jakich Wimarcowi udało się znaleźć. Ale jeśli to nieprawda, to może powinniście oddać mu pieniądze?

Ullric znów wybuchnął śmiechem.

- Może tu przyjechać i sam je odebrać.

- Czy sądzisz, że tego nie zrobi?

W małych oczkach dowódcy błysnął strach. Wiedział równie dobrze jak Richard, że nierozsądnie byłoby czynić sobie wroga z Wimarca. Szybka śmierć była najlepszą rzeczą, na jaką można było mieć wówczas nadzieję.

- Rzecz jasna, że nie przybędzie tu sam - dodał przybysz. - Przyśle swoich osobistych strażników. Słyszałem, że potrafią zabijać człowieka nawet przez tydzień.

- Ona jest za dobrze strzeżona - odrzekł Ullric obronnym tonem. - I trzeba mnie było wcześniej uprzedzić, że w zamku jest Bayard de Boisbaston.

- Znasz go?

- Słyszysz się różne rzeczy. Jego ojciec dobrze wyszkolił swoich synów. Są bezlitośni w bitwie. Podobno walczą jak lwy.

- Bayard jest tylko jeden, a was piętnastu - odparował d'Artage. Żałował, że uległ Wimarcowi i zgodził się na tę liczbę; trzeba było upierać się przy dwudziestu.

- Zrobimy swoje, ale to ja zdecyduję, kiedy.

Przerwał im dźwięk głosów i szelest liści. Najemnicy zerwali się na nogi, gdy z krzaków wyłoniło się dwóch wartowników ciągnących za sobą pobitego i zakrwawionego mężczyznę ze związanymi rękami. Rzucili go na ziemię pośrodku polany. Richard pochwycił płonąca gałąź z ogniska i uniósł ją do góry, jednocześnie czubkiem buta obracając jeńca na plecy.

Dunstan miał siniec na lewym policzku, zakrwawioną wargę i zapuchnięte prawe oko. Z jękiem bólu spojrzał w górę.

- Pomóż mi, Charles - wydyszał.

- No, no, no, Ullric - rzekł fałszywy kupiec ze śmiechem. - Zdaje się, że twoi ludzie znaleźli niezłą przynętę.

Rozdział czternasty

Następnego ranka Gillian stała obok Bayarda podczas mszy w kaplicy zamkowej zbudowanej z szarego kamienia, włącznie z kolumnami i ołtarzem. Kapę na ołtarz wyhaftowała jej matka. Była to część jej posagu i jedyna ozdoba świątyni, oprócz lichtarzy oraz figury Matki Boskiej.

Lady d'Averette nie zwracała uwagi na otoczenie ani na księdza Matthew. Po raz pierwszy od dnia, gdy zmarł jej ojciec, obawiała się wyjść rankiem z komnaty. Bała się tego, co zobaczy na twarzach swych poddanych, którym Dunstan na pewno już opowiedział, co

zacho-

wyjechał z Averette, co wydaje się prawdopodobne, zważywszy na bałagan, jaki zastałem w jego izbie. Byłem tam dzisiaj rano.

Wygląda na to, że zabrał ze sobą większość ubrań i kilka innych rzeczy, ale nic wartościowego.

Kobieta poczuła jednocześnie ulgę i przerażenie.

- Dlaczego miałyby wyjeżdżać? Twarz Boisbastona złagodniała.

- Może dlatego, że wciąż nie jesteś mu obojętna? Zdaje się, że nikomu nic nie powiedział.

A więc ich tajemnica, ich hańba pozostawała nieujawniona. Przynajmniej na razie.

- Bayard - zaczęła mówić, myśląc o tym, że ona również powinna wyjechać z Averette.

Przerwał jej jednak ochryply okrzyk:

- Pani!

Przy bramie stał zadyszany Hale z twarzą ociekającą potem. Gillian z okrzykiem zdumienia i niepokoju zgarnęła spódnicę i podbiegła do niego. Boisbaston dopadł do bramy pierwszy, pasterz jednak zwrócił się do niej:

- Chodzi o Dunstana, pani. Nie żyje.

- Nie żyje? - powtórzyła z niedowierzaniem. Jak to było możliwe? Przecież jeszcze poprzedniego wieczoru czuł się doskonale.

- Gdzie, jak? - zapytał rycerz.

- Nie wiem, panie - odrzekł Hale, uspokajając oddech. - Znalazłem go przywiązanego do drzewa na łące. Pobito go, pani, i okaleczono. Zabrali jego... - Przełknął ślinę i potrząsnął głową, odwracając wzrok. - To, co mu zrobili, nie nadaje się dla twoich uszu, pani.

Stojący przy bramie strażnicy i żołnierze, którzy słyszeli tę rozmowę, zmienili się na twarzy. Seltha, która właśnie szła do studni, zaczęła płakać.

- Nie ruszaliście ciała? - upewnił się Bayard.

- Nie, panie.

- To dobrze.

Gillian położyła rękę na ramieniu Hale'a.

- Mam nadzieję, że Teddy'ego nie było z tobą?

- Nie, pani, Bogu dzięki, nie. Spędził tę noc u mojej siostry.

- Czy ci ludzie, którzy to zrobili, nie zostawili żadnych śladów? - pytał Boisbaston.

- Nie, panie, nie widziałem żadnych śladów, ale nie rozglądałem się za bardzo.

- Obawiam się, pani - rzekł z namysłem rycerz - że to nie jest sprawka zwykłych rabusiów. Tacy ludzie zostawiliby swą ofiarę tam, gdzie dokonali zbrodni, albo próbowaliby ukryć ciało. Nie zmasakrowaliby go i nie przywiązali do drzewa.

Biedny Dunstan. Jej wierny przyjaciel. Zamordowany, zaszlachtowany jak wieprz. Ten uczynek wołał o pomstę do nieba. Obowiązkiem pani na Averette było dopilnowanie, by jego śmierć została pomszczona.

- Ktokolwiek to zrobił - powiedziała głosem zimnym i twardym jak żelazo - musi zostać odnaleziony. Natychmiast.

Na twarzy Boisbastona również malował się gniew i determinacja. Skłonił głowę i rzekł:

- Obiecuję ci, pani, że pochwycę tych, którzy to zrobili. A wówczas niech Bóg ma ich w swej opiece.

- Bayardzie, chcę, żebyś przyprowadził tych zbrodniarzy do zamku. Tu wymierzę im sprawiedliwość, królewską sprawiedliwość dla zdrajców. Szybka śmierć jest dla nich za dobra.

- Zwołaj wszystkich ludzi - powiedział dowódca do Lindalla, który zbliżał się do niego od strony zbrojowni. - Zanim dzwon w kaplicy wybije tercję, niech cztery konne patrole wyjadą z bram: jeden na północ, drugi na wschód, a dwa pozostałe na zachód. Niech zatoczą krąg i spotkają się z tym, który już znajduje się na granicy posiadłości, oraz z tym, z którym pojedą ja i Robb. Lindall, ty będziesz pilnował bram. Nikt nieznany nie może wejść ani wyjść z zamku. Frederic!

- Tu jestem, panie! - zawołał giermek ze schodów. Podobnie jak wszyscy obecni w świetlicy podczas śniadania usłyszał zamieszanie na dziedzińcu i wyszedł sprawdzić, co się dzieje.

- Pojedziesz ze mną, ale najpierw pomożesz mi nałożyć zbroję. - Bayard spojrzał na Gillian. - Będziesz tu bezpieczna, pani.

- Jadę z tobą - stwierdziła krótko.

- Powinnaś pozostać w zamku, pani - ośmielił się wtrącić Hale. - Ten widok nie nadaje się dla oczu damy.

- Dunstan był moim ochmistrem i przyjacielem. Kochałam go jak brata - odrzekła tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Bez względu na to, co zrobiły mu te bestie, przywiozę go do domu.

Boisbaston miał ochotę zaprotestować, ale na widok wyrazu jej twarzy powiedział tylko:

- Jak sobie życzysz, pani.

Do miejsca, gdzie mordercy pozostawili ciało Dunstana, nie było daleko, ale Gillian siedzącej obok Neda na rozkołysanym wozie wydawało się, że przemierza setki mil. Bayard z Frederickiem u boku jechał na czele licznego orszaku. Połowa patrolu podążała bezpośrednio za nim, a reszta za wozem.

* * *

Lady d'Averette nie płakała, choć miała wrażenie, że skórzana pętla zaciska się wokół jej szyi. Nie mogła wydobyć z siebie łez. To, co się zdarzyło, było zbyt okropne; jej umysł nie przyjmował tego do wiadomości. Od ostatniego wieczoru zmienił się cały świat. Dunstan nie żył. Poczucie bezpieczeństwa, które tak mocno starała się zapewnić wszystkim w swej

posiadłości od czasu śmierci ojca, prysło jak bańka mydlana. Każdy dźwięk, każdy szept wiatru w liściach dębów i kasztanowców sprawiał, że drżała z obawy, iż mordercy czają się gdzieś w pobliżu, gotowi zaatakować pomimo obecności oddziału żołnierzy.

Dotarli wreszcie do skraju łąki, na której od wiosny wypasano owce i kozy. Pośrodku rósł samotny dąb. Boisbaston zatrzymał orszak okrzykiem. Od pnia dębu i czegoś, co było do niego przywiązane, oderwało się kilka kruków. Boże drogi, to był Dunstan!

Rycerz podjechał do niej.

- Myślę, pani, że powinnaś pozostać tutaj. Frederic, Robb i ja zabierzemy ciało.

- Dunstan był moim przyjacielem. Powinnam oddać mu tę przysługę - powiedziała twardo. Była panią na Averette i nie mogła teraz okazać słabości.

W oczach Bayarda błysnęło współczucie i żal.

- Pani, on już nie żyje i tylko modlitwa może mu teraz pomóc. Lepiej nie zacierać śladów, dopóki dokładnie ich nie obejrzymy. - Obniżył głos i dodał ze współczuciem: - Myślę, że wolałabyś go zapamiętać takim, jaki był za życia, a nie takim, jak wygląda teraz. Zapewniam cię, że potraktujemy ciało z całym szacunkiem.

- Niech będzie - zgodziła się.

Zeskoczył z siodła i wyciągnął do niej dłoń w rękawicy.

- Zróbcie to delikatnie - poprosiła, podając mu rękę.

Pomógł jej wysiąść, po czym znów wskoczył na grzbiet konia i ruszył w stronę dębu. Frederic, Robb i Ned, wzięwszy wóz, pojechali za nim.

* * *

Bayard bywał już w bitwach, a każdy mężczyzna, który brał kiedyś udział w bitwie, wiedział, jak przerażająco mogą wyglądać żalosne szczątki człowieka. Jednak patrząc teraz na to zmasakrowane ciało, pomyślał, że czegoś takiego nie widział jeszcze nigdy w życiu i miał nadzieję, że już więcej nie zobaczy.

Dunstan został przed śmiercią straszliwie pobity. Całe jego ciało nosiło ślady tortur i nie były to tortury mające na celu zdobycie informacji. To, co mu uczyniono, zrobiono dla czystej satysfakcji, dla perwersyjnej przyjemności, jaką niektórym ludziom sprawia zadawanie cierpienia. Całe szczęście, że Gillian zgodziła się pozostać na skraju łąki. Na widok ciała z pewnością dostałaby mdłości, tak samo jak Frederic, który wciąż wymiotował za drzewem.

Rycerz żałował, że pozwolił giermkowi podjechać tak blisko. Sądził, że chłopak powinien zobaczyć, do czego może doprowadzić podłość niektórych ludzi, ale gdyby wiedział wcześniej, jaką brutalnością wykazali się mordercy, oszczędziłby mu tego doświadczenia. To był widok, który mógł się śnić przez całe lata. Nawet Ned pobladł, jednak posłusznie wykonywał polecenia komendanta.

Szczątki Dunstana leżały już na wozie, przykryte pledem. Robb krążył wokół drzewa i wypatrywał śladów w błotnistym terenie.

Bayard zwrócił się do Neda.

- Powiedz Alfricowi, żeby wysłał dwudziestu ludzi z powrotem do zamku. Będą pilnować pani. I nie pozwól lady Gillian zajrzeć pod ten pled. To jest rozkaz.

- Tak, panie. A co z nim? - zapytał stajenny, ruchem głowy wskazując giermka, który chwiejnie podniósł się na nogi i stał oparty o pień olbrzymiego dębu.

- Frederic, wrócisz do zamku razem z lady Gillian i pozostałymi. Reszta żołnierzy niech zostanie na posterunkach, dopóki nie skończymy oglądać śladów.

- Wolałbym zostać tutaj z tobą, panie - odrzekł chłopak

Rycerz uważnie popatrzył na jego twarz. Wciąż miała lekko zielonkawy odcień, ale od chwili, gdy przykryto ciało Dunstana, giermek wyglądał już nieco lepiej.

- Dobrze, skoro tego chcesz. Ned, zabierzcie ciało.

- Tak, panie. Okropna sprawa. Mam nadzieję, że uda się złapać tych łajdaków - odrzekł stajenny, ujmując lejce.

- Znajdę ich - obiecał Boisbaston. - Przy Bożej pomocy dostanę ich w swe ręce.

* * *

Ukryty w pobliskim lesie Ullric wymamrotał pod nosem soczyste saksońskie przekleństwo.

- Za dużo ludzi, to zbyt niebezpieczne - powiedział do Richarda, który pozbył się już brody i był teraz gładko ogolony.

- Musicie zaatakować. Kiedy przydarzy się lepsza okazja? Najemnik wykrzywił grube usta.

- Mamy zaryzykować życie na twoje polecenie, podczas gdy ty będziesz patrzył na to z boku, jak dziewczyna?

- To wam płacą za to, żeby go zabić.

- Więc to ja będę decydować o tym, kiedy zaatakować. Powiedziałem ci już, że nie zamierzam podejmować niepotrzebnego ryzyka.

D'Artage popatrzył na Saksończyka pogardliwie.

- Co chcesz zrobić? Czekać na zaproszenie?

- Poczekam, aż znajdę go z mniejszym patrolem. Nie spodziewałem się, że przyprowdzi aż tylu ludzi po ciało.

Richard przyjrzał się grupie żołnierzy stojących na skraju łąki. On również nie spodziewał się, że Bayard przyprowdzi tak wielu ludzi. Oddział jednak zaczął się rozdzielać na dwoje; najwyraźniej jedna część miała wrócić z lady Gillian i wozem do zamku, a druga zostać z Boisbastonem. Każda z grup liczyła około dwudziestu żołnierzy.

- On też nie jest głupi - mruknął Ullric, drapiąc się po policzku drzewcem toporka. - Chyba będę musiał rozdzielić swój oddział. Podpalimy parę zagród, żeby musiał podzielić swoich żołnierzy na małe patrole, i poczekamy, aż sam pojawi się w jednym z nich.

- Nie zamierzam spędzać reszty życia na polowaniu na Bayarda de Boisbastona -

odrzekł Richard.

- To odjedź stąd. Zostaw to nam.

Chociaż d'Artage nie miał ochoty tracić już więcej czasu, wolał jednak poczekać, aż Armand i jego piękna żona pojawią się w Averette, i osobiście dokonać zemsty. Szczególnie zaś nie miał ochoty zostawiać Adelaide na żer Ullrikowi.

- Po prostu zabij go jak najszybciej - powiedział. - Dość czasu już zmarnowałem.

Rozdział piętnasty

Przez resztę tego koszmarnego dnia Gillian pogrążona była w rozpacz i smutku pomieszanym z poczuciem winy i wyrzutami sumienia.

Powierzyła ciało Dunstana ojcu Matthew, nie patrząc na nie ani razu. Może była to z jej strony oznaka słabości i tchórzostwa, ale tym razem pozwoliła sobie na nie. Tak jak Bayard sugerował, starała się zapamiętać de Corleya żywego, w kwiecie wieku, jako towarzysza, przyjaciela i brata.

Pomimo żałoby musiała zachować spokój i pewność siebie, by dodać otuchy domownikom. Nakazała posprzątać w komnacie ochmistrza i spakować dobytek, który tam jeszcze pozostał. Ponieważ nie miał on żadnej rodziny, postanowiła oddać jego rzeczy Kościołowi. Ustaliła z ojcem Matthew szczegóły mszy żałobnej i czuwania przy zwłokach oraz listę modlitw, które miały być odmówione za duszę zmarłego. Napisała do Adelaide i wysłała z listem posłańca w eskorcie dziesięciu ludzi. W końcu zeszła na wieczerzę, choć niemal nie czuła głodu.

Wieczorem poszła do kaplicy.

Klęcząc przed katafalkiem, na którym leżało okryte całunem ciało Dunstana, modliła się za duszę przyjaciela i za to, by Bóg wymierzył sprawiedliwość jego zabójcom, a także o miłosierdzie i wybaczenie grzechów jej własnych i Bayarda. Żałowała, że nie zdobyła się wcześniej na odwagę, by porozmawiać z nim o jego uczuciach. Gdyby zgasła jego nadzieję już wtedy, gdy po raz pierwszy zauważyła zmianę w zachowaniu wobec niej, gdyby powiedziała mu wtedy o przysiędze, którą złożyła wraz z siostrami, to może nie dopuściłaby do wybuchu zazdrości, który wygnał ochmistrza z zamku wprost w objęcia śmierci.

Nie powinna była pozwolić, by Boisbaston ją całował. Nie powinna poddawać się pożądanemu. Wiedziała, że bez względu na jej uczucia związek między nimi jest zabroniony prawem i nawet gdyby prawdziwie pokochała tego mężczyznę, miłością głębszą i silniejszą niż oczarowanie, które czuła wobec Jamesa, niczego by to nie zmieniło.

Tamtego młodzieńca kochała jako dziewczyna, pełna naiwnych nadziei i marzeń, natomiast jej uczucie do Bayarda było uczuciem kobiety, która potrafiła dostrzec więcej niż tylko przystojną twarz. Był lojalny, współczujący, wielkoduszny, dobry, szlachetny i wrażliwy. Gdyby mogli wziąć ślub, być może zaznałyby szczęścia, jakiego tylko nielicznym

niewiastom dane było dostąpić.

Drzwi kaplicy otworzyły się. Nie obróciła głowy przekonana, że to ojciec Matthew albo ktoś, kto przyszedł złożyć uszanowanie Dunstanowi.

- Lady Gillian.

To był głos Boisbastona.

Przymknęła oczy i modląc się w duchu o siłę, podniosła się powoli z zimnej kamiennej posadzki. Był już bez zbroi i odświeżony. Nie wyglądał teraz jak surowy dowódca, lecz jak przyjaciel.

- Czy znalazłeś morderców?

Potrząsnął głową.

- Nie, nie zostawili żadnego śladu. Ale jestem pewien, że Dunstan nie zginął przy tym drzewie. Tam było za mało krwi. Jutro spróbujemy znaleźć miejsce, gdzie to się stało.

- A jakie to ma znaczenie? - zapytała, próbując zmusić się do myślenia.

- Może pozostawili po sobie coś, co powie nam, kim byli i skąd pochodzili albo dokąd się udali. Należy jeszcze raz dobrze przeszukać. - Bayard przyjrzał się jej i z troską zmarszczył brwi. - Spróbuj trochę odpocząć, pani. Jeśli zachorujesz, zmartwisz tym jeszcze bardziej swoich poddanych, którzy i tak są już przygnębieni tym, co się stało.

- To jedyne, co mogę jeszcze zrobić dla Dunstana: czuwać przy jego zwłokach. Proszę, zostaw mnie samą z moim zmarłym.

Z jej zmarłym. Zamordowanym z powodu pożądania, którego nie potrafiła opanować. Zmarłym, który już nigdy nie dowie się, jak bardzo Gillian żałuje, że go zraniła i nie była z nim szczerą.

- Gillian - szepnął rycerz cicho i całe jego ciało napięło się mocno, jakby kontrolował je siłą woli. - Moja dzielna Gillian.

Zakryła twarz dłońmi.

- Bayard, proszę, idź już.

Dopiero teraz napłynęły łzy, gorące i obfite. Dławiący szloch wstrząsnął całym jej ciałem. Mężczyzna objął ją, przytulił mocno do siebie i gładząc po głowie, szeptał jakieś ochryple, nieskładne słowa żalu i tęsknoty, które miały ją pocieszyć. Mówił, jak bardzo mu przykro, że nie chciał, by coś takiego się zdarzyło. Przysłano go tu, by pomógł, i to właśnie chciał zrobić, tymczasem stał się powodem śmierci dobrego człowieka. Z całego serca pragnął, by wybaczyła mu słabość i poddanie się pragnieniu.

Jego rozpacz była równie silna jak jej. Razem zgrzeszyli i teraz próbowali się wzajemnie pocieszyć, ogarnięci tym samym bólem. Powinna kazać mu odejść. Chciała mu to powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie słów. Obawiała się, że bez jego wsparcia zatonie w rwących falach żalu i poczucia winy. Z jej gardła wydarł się kolejny stłumiony szloch. Drżąc na całym ciele, podniosła na niego oczy, pragnąc, by jej powiedział, że wszystko będzie dobrze.

Odgarnął włosy z jej zalanej łzami twarzy i pocałował ją czule. Gdy przytuliła się do niego, szukając ciepła jego ust, wydobył z siebie na wpół jęk, na wpół westchnienie, głaszcząc ją dłońmi po plecach. Pochylając się nad nią, oparł ją o kolumnę. Gdy jego usta powędrowały w dół po jej szyi, kobieta wygięła ciało w łuk i na krótką chwilę otworzyła oczy.

To wystarczyło. Przypomniała sobie, gdzie jest i co tu robi. Widok katafalku, na którym leżało ciało Dunstana, podziałał na nią jak policzek. Odepchnęła Boisbastona.

- Nie - szepnęła, płonąca ze wstydu. - Nie tutaj, nie teraz!

Odsunął się od niej i w jego ciemnych oczach również błysnęło poczucie winy.

- Och, Boże - westchnął. - Gillian, ja...

- Nie! - wykrzyknęła, cofając się w obawie przed własną słabością. - Nie, Bayard! Idź stąd, zostaw mnie!

Zniknął bez słowa.

Gdy drzwi kaplicy się za nim zamknęły, opadła na kolana i schowała twarz w zimnych dłoniach. Świece wciąż się paliły, w powietrzu unosił się zapach kadzidła, a jedynym dźwiękiem przerywającym ciszę był odgłos jej szlochu.

Niebo po wschodniej stronie zaczynało się rozjaśniać. Frederic szedł wzdłuż zewnętrznego muru w stronę bramy. Charles miał rację: jeśli szło się stanowczym krokiem, to nikt nie pytał, dokąd ani po co. Był łebskim kupcem.

Po chwili chłopak z zadowoleniem stwierdził, że straż trzymają Tom i Bran. Żaden z nich nie był szczególnie rozgarnięty.

- Otwórzcie bramę - nakazał. Strażnicy spojrzeli po sobie niepewnie.

- Wychodzisz, panie? - zapytał Tom, wyższy z nich dwóch. Charles zapewniał giermka, że pewnośc siebie przełamie wszelkie wątpliwości wartowników, toteż nie zważając na strużkę potu, która spływała mu po plecach, odrzekł śmiało:

- Idę do wioski z polecenia sir Bayarda.

- Nic o tym nie słyszeliśmy - powiedział powoli Bran i w jego jasnoniebieskich oczach pojawiły się wątpliwości. - Nie za wcześnie?

- Muszę wrócić, zanim wyruszymy na patrol. Oczywiście możecie to sprawdzić. Jeśli uważacie, że kłamię, to zapytajcie komendanta albo jego zastępcę.

Tak jak się spodziewał, strażnicy nie odważyli się oskarżyć go wprost o kłamstwo. Nie mieli też wielkiej ochoty niepokoić sir Bayarda czy Lindalla.

- No to idź - skinął głową Tom i otworzył furtkę. Frederic skinął głową i pospiesznie wyszedł za mury.

Musiał dotrzeć do wioski, znaleźć Charlesa i wrócić, nim jego pan zauważy nieobecność swego giermka. Miał nadzieję, że Tom i Bran nic nie wspomną o jego wyjściu. I że Charles...

- No to mamy tu naszego jelonka - powiedział naraz jakiś głos. Chłopak wymijał

właśnie chłopski wóz wyładowany drewnem, zmierzający do wioski, na którym siedział zgarbiony człowiek w szarym, wełnianym płaszczu z kapturem. Zaskoczony Frederic odwrócił się, próbując dostrzec twarz woźnicy.

- Charles, czy to ty? Co się stało z twoją brodą?

- Zgoliłem ją. Za bardzo mnie drapała.

- Po co ci to przebranie?

- Wsiadaj i załóż ten płaszcz, który leży na siedzeniu. Wszystko ci wyjaśnię.

Pełen wątpliwości, ale ciekaw powodów tej maskarady giermek wspiął się na wóz i naciągnął na siebie ciemny, wełniany płaszcz.

- Rany boskie, jak to śmierdzi - jęknął.

- Jeśli nie chcesz, żeby Bayard dowiedział się, iż pomimo jego zakazu wyszedłeś z zamku, to mów ciszej. A co do płaszcza, pożyczyłem go od kogoś, kto nie myje się zbyt często.

- Od kogo?

- Powiem ci, gdy wyjedziemy z wioski. - De Fenelon sięgnął pod siedzenie i podał chłopakowi bukłak z winem. - Napij się.

Frederic wyciągnął korek i pociągnął spory łyk dobrego wina.

- Dlaczego nie czekałeś na mnie w gospodzie, tak jak się umawialiśmy?

- Znudziło mi się już towarzystwo Peg, a poza tym w ten sposób lepiej się przysłużę swojemu panu.

- Twojemu panu? Pracujesz dla innego kupca winnego?

- Niezupełnie.

Przejechali już przez plac pośrodku wioski i zbliżali się do lasu, przez który poprzedniego dnia żołnierze wieźli ciało Dunstana.

- A więc, Fredericu, czy już podjąłeś decyzję? Chcesz pojechać ze mną na zachód i wrócić do ojca, czy też wolisz zostać tu z człowiekiem, który traktuje cię jak dziecko? - zapytał Charles, gdy wóz wjechał między drzewa.

- Sam nie wiem. Ojciec powinien się dowiedzieć, jak jestem traktowany, ale on sam też nie odznacza się łagodnością. - Giermek przyglądał się uprząży konia. - Miałeś rację co do sir Bayarda.

- Czyżby? - zapytał Richard d'Artage, próbując nie okazać po sobie triumfu. - A w czym?

- Widziałem ich wczoraj wieczorem.

- Lady Gillian i Boisbastona? Byli razem?

Chłopak odrzucił śmierdzący kaptur i głęboko wciągnął w płuca świeże powietrze.

- Byli razem w kaplicy. - I co robili?

- Skąd mogę wiedzieć? Nie wchodziłem do środka.

Richard zmarszczył brwi. On z pewnością wszedłby do środka, gdyby tylko był

pewien, że go nie zauważą.

- W takim razie wiesz tylko tyle, że byli razem w kaplicy.

- Razem i do tego w nocy. A on był bardzo wzburzony, kiedy wyszedł.

- Oczywiście, że był wzburzony. Zamordowano ochmistrza.

- Nie o to chodziło. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi, a potem położył na nich rękę, pochylił głowę i wyszeptał jej imię. Stał tak bardzo długo, nogi mi zupełnie zdrętwiały, zanim wreszcie odszedł.

- A ona?

- Czuwała przy zwłokach Dunstana w samotności.

- Może miała wyrzuty sumienia?

- Ona, Dunstan i sir Bayard pokłócili się po żniwach. Tej samej nocy widziałem, jak ochmistrz wyjeżdżał z zamku. Wyglądał jak obłąkany.

- A więc od początku miałem rację. Boisbaston jej pożąda. Możliwe, że już ją uwiódł. De Corley zapewne próbował ją ostrzec. - Zerknął na giermka i dodał: - A nasz król ufa takiemu zdegenerowanemu łajdakowi.

- Król powinien się o tym dowiedzieć.

- Król już o tym wie. Zastanów się, kto jeszcze został na dworze? Najemnicy, tacy jak Falkes de Breaute, ludzie równie niemoralni, chciwi i głupi. Król Jan obdarza tych łajdaków honorami, ignorując lepszych i więcej wartych ludzi. W dodatku w swej głupocie i zachłanności nie dostrzega, że nawet ci łajdacy, których hołubi, nienawidzą go i przy pierwszej okazji sprzedadzą swe usługi temu, kto zapłaci więcej. - Richard zatrzymał wóz i spojrzał badawczo na siedzącego obok chłopaka. - Właśnie dlatego tak wielu z nas pragnie posadzić na tronie lepszego człowieka.

Frederic zmarszczył brwi.

- To, co mówisz, to zdrada stanu.

- Prawdziwą zdradą byłoby, gdybyśmy pozwolili, by król tak słaby jak Jan dopuścił do przejęcia naszych ziem przez Filipa francuskiego, a zrobi to, gdy pozostanie na tronie. Jeśli nie chcesz znaleźć się pod rządami Filipa, powinieneś nam pomóc uwolnić Anglię od Jana, jego małoletniej żony i wszystkich ich sojuszników.

Giermek zdawał się zaskoczony. Głos człowieka, którego dotychczas uważał za kupca winnego, brzmiał jakoś inaczej. Zmieniło się również całe jego zachowanie; teraz sprawiał wrażenie człowieka wykształconego, bogatego i aroganckiego, niczym królewski dworzanin.

- Kim jesteś? - zapytał ze zdziwieniem.

- Jestem lord Richard d'Artage. Jeden z wielu, którzy pragną zakończyć panowanie chciwego tyrana.

Chłopak pochwycił mocno krawędź siedzenia i podniósł na niego wzrok.

- Jesteś zdrajcą! Byłeś w zмовie z Francisem de Farnbym, uknułeś intrygę, by zamordować earla Pembroke i arcybiskupa!

Chciał zeskoczyć z wozu, ale fałszywy kupiec przytrzymał go za ramię.

- Earl i arcybiskup popierają Jana, dlatego zasługują na śmierć. Podobnie jak wszyscy, którzy pomagają temu złoczyńcy utrzymać się na tronie.

- Ale nie wszyscy, którzy popierają Jana, są źli. De Boisbastonowie...

- Pragną nagród i zysków. Czyż Jan nie oddał Armandowi lady Adelaide? Averette również według prawa do niego należy. Jak myślisz, po co jego brat tu przyjechał? Nie wierzysz chyba, że sir Bayarda przywiodło tu dobre serce i chęć służenia rycerskim ideałom. Dobry Boże, Fredericu, masz przecież świadectwo własnych oczu. Uwiódł lady Gillian, a ciebie potraktował haniebnie. To wszystko dowodzi, że nie jest honorowym szlachcicem.

Zauważył wątpliwości na twarzy giermka i teraz mocniej zacisnął pętlę.

- Prawdziwi zdrajcy to ci, którzy pozostają lojalni wobec Jana. Popierając tego psa, zdradzają swój kraj i lud. Jestem pewien, że wystarczy ci bystrości, by to dostrzec, i że ty sam jesteś dzielny i honorowym człowiekiem, który chętnie pomoże naszej sprawie. A może się mylę? Może zaraz pobiegiesz do Bayarda de Boisbastona i powiesz mu, że tu jestem?

Frederic czujnie obserwował twarz swego towarzysza.

- A kogo chcecie posadzić na tronie w miejsce Jana?

Richard nie odpowiedział od razu, tylko roześmiał się głośno, bowiem on sam tego nie wiedział. Nie obchodziła go zresztą osoba przyszłego króla, a tylko nagroda obiecana przez Wimarca.

- Człowieka lepszego niż Jan - odrzekł. - Nie powiem ci nic więcej, dopóki nie będę pewien, że chcesz do nas dołączyć. A więc?

- Jeśli ten bunt się nie powiedzie, to stracę wszystko, nawet życie.

- Jeśli bunt się nie powiedzie, zginie trochę chłopów i szeregowych żołnierzy, a także kilku szlachetnych głupców, którym zabraknie rozumu, by w porę uciec. Ty nie jesteś głupi, toteż gdyby zanosilo się na porażkę, zdążysz bezpiecznie umknąć do innego kraju. Będziesz miał bogatych przyjaciół, którzy ci pomogą. Nie zginiesz i niczego nie będzie ci brakowało. Ale nasz plan nie zawiedzie. - Poklepał chłopaka po ramieniu. - Zbyt wielu jest ludzi, którzy nienawidzą Jana i ucieszą się, gdy straci on tron, nawet jeśli sami obawiają się przyłożyć do tego rękę. Trzeba wiele odwagi, by podnieść głowę i uwolnić kraj od tyrana. Dostrzegam taką odwagę w tobie. A gdy zwyciężymy, twoje wysiłki zostaną sowicie wynagrodzone.

Dostaniesz ziemię, tytuły, ładną, bogatą żonę i, naturalnie, miejsce na dworze. A więc mój młody, bystry przyjacielu, czy chcesz się do nas przyłączyć, czy też zamierzasz pozwolić, by ten Plantagenet zniszczył Anglię?

Rozdział szesnasty

Gdy pierwsze smugi brzasku zaczęły rozjaśniać mrok, Bayard podniósł się z łóżka po bezsennej nocy. Podeszedł do umywalni i ochlapał twarz zimną wodą, ale nie poczuł się odświeżony. Czuł zamęt w myślach i wyrzuty sumienia. Dodatkowo przybijała go świadomość, że choć na razie jest potrzebny w Averette, to wkrótce wyjedzie i znów zostawi za sobą zgliszcza. Gillian cierpiała z jego powodu, a on...

On zaś nigdy nie sądził, że uczucia mogą być tak dojmujące. Niejednokrotnie był rozczarowany i zirytowany, gdy kobieta porzucała go z taką łatwością, jakby pozbywała się starej sukni, albo gdy nie odpowiadała przychylnie na jego zaloty, ale były to przelotne cierpienia, trwające tylko dopóty, dopóki nie spotkał kolejnej kobiety, która przyciągnęła jego uwagę. Tym razem jednak wiedział, że nic już nie będzie takie jak przedtem. Zawsze będzie porównywał wszystkie napotkane kobiety do Gillian pod względem inteligencji, dobrego serca i skuteczności w działaniu. Standardy wyznaczone przez nią były bardzo wysokie i niewiele niewiast potrafiło im dorównać.

Osuszył twarz i stanął nad umywalnią, zwieszając nisko głowę. Był przekonany, że on również nie jest jej obojętny.

Pamiętał jej namiętny uścisk z poprzedniego wieczoru. Gdyby tylko mogli być razem! Zrobiłby wszystko, by zdobyć jej rękę, gdyby Kościół na to pozwalał.

A jeśli chodziło o związek innego rodzaju, to bez względu na uczucia ich obojga, Gillian była kobietą godną szacunku i jako pani na Averette nie mogła sobie pozwolić na utratę dobrej opinii. Związek pozamałżeński nie wchodził w rachubę, zwłaszcza po tym, jak niechcący przyczynili się do śmierci Dunstana i groził im wybuch skandalu. Nawet gdyby chciała zgodzić się na taki związek, przyniósłby on jej więcej zgrzyoty niż radości. Musiałaby opuścić swój dom, a wtedy z pewnością zaczęłaby czuć niechęć do Bayarda.

Z westchnieniem oderwał się od umywalni i wyjrzał przez okno. Niebo nabierało już złotoróżowych barw. Zastanawiał się, dlaczego Frederic jeszcze nie pojawił się w jego komnacie. Jego obowiązkiem było pomóc swemu panu nałożyć zbroję.

Nie czekając dłużej, rycerz ubrał się sam. Na koszulę nałożył gruby pikowany kaftan, a na to koleczugę. Zapiął pas, narzucił na ramiona płaszcz i z hełmem w dłoni wyszedł z izby, rozglądając się za giermkim.

Nigdzie go nie było. Nikt ze służących nie widział go ani tego ranka, ani nawet poprzedniego wieczoru. W końcu Bayard poszedł do bramy, by zapytać strażników. Miał nadzieję, że przyczyną nieobecności chłopaka jest tylko złośliwość lub zaniedbanie, a nie coś znacznie gorszego, i że za chwilę Frederic znajdzie się uśpiony na jakimś stryszku albo nawet w ramionach służącej. Byleby tylko okazało się, że jest bezpieczny.

Tom i Bran wydawali się zaskoczeni jego widokiem.

- Czy nie widzieliście mojego giermka? - zapytał Boisbaston spokojnie, nie chcąc

wzbudzać niepotrzebnego poruszenia.

Wartownicy popatrzyli na siebie niepewnie.

- Widzieliśmy, panie - wyjąkał Tom. - Jeszcze przed świtem. Mówił, że posyłasz go po coś do wioski. Tak nam powiedział, prawda, Bran?

- Tak, panie, tak właśnie mówił.

- I nie wydało wam się dziwne, że wybiera się do wioski jeszcze przed prymą?

Tom wpatrzył się w czubki swoich butów, a Bran w horyzont, jakby spodziewał się, że zobaczy odpowiedź wypisaną na chmurze.

- Nie wspomniał, dokąd dokładnie idzie? Obydwaj mężczyźni potrząsnęli głowami.

- Czy był pieszo?

- Tak, panie.

- Nie niósł ze sobą sakwy ani innego bagażu?

- Nie, panie.

A więc nie wyglądało na to, by chłopak postanowił wrócić do ojca. Może po prostu znudziło mu się bycie pod ciągłą obserwacją i wybrał się do wioski dla rozrywki. Bayard miał nadzieję, że giermek ma dość rozumu, by po tym, co stało się z Dunstanem, nie kręcić się samotnie po okolicy. Jeśli jednak nie odnajdzie się we wsi, trzeba będzie podjąć poszukiwania. Boisbaston miał niewielu ludzi, ale Frederica trzeba było znaleźć, i to szybko.

- Idźcie do gospody i sprawdźcie, czy go tam nie ma. Wypytajcie wieśniaków. Jeśli nikt nie będzie wiedział, gdzie on jest, to wróćcie tutaj i powiedzcie o wszystkim Lindallowi. Ja pojedę z patrolem.

Wartownicy wymienili zaniepokojone spojrzenia. Komendant natychmiast odgadł, co ich trapi.

- Nic mnie nie obchodzi, że stoicie na warcie od jutrzni. Skoro pozwoliliście mu wyjść, to teraz go poszukacie.

Obrócił się na pięcie i wrócił do świetlicy. Gillian już tam była i natychmiast do niego podbiegła.

- Co się dzieje? - zapytała z niepokojem.

Powiedział jej o nieobecności Frederica, ale próbował sprawić wrażenie, że nie przykłada do tego większej wagi. W końcu chłopak był młody, dumny i energiczny. Nic nie wskazywało na to, by mogło go spotkać coś złego. Mógł być w gospodzie albo nawet gdzieś w zamku.

- Zdaje się, że mój giermek postanowił dziś rano bez pozwolenia odwiedzić wioskę. Wysłałem po niego Toma i Brana, ale nie chcę opóźnić wyjazdu i nie będę na niego czekał.

Gillian jednak nie dała się tak łatwo uspokoić.

- Frederic zniknął, a ty wysłałeś za nim tylko dwóch żołnierzy? - oburzyła się. - Trzeba zorganizować poszukiwania. To mój gość, jestem odpowiedzialna...

- Nie, nie jesteś za niego odpowiedzialna, nie bardziej niż ja. Chłopak jest dumny, a ja

od kilku dni trzymałem go krótko. Możliwe, że miał już tego dość i poszedł do wioski, żeby się zabawić albo tylko po to, żeby udowodnić, że potrafi się wyrwać spod mojej kurateli.

- Przecież musiał wiedzieć, że ktoś wreszcie zauważy jego nieobecność.

Bayard w końcu przestał robić dobrą minę do złej gry.

- I to właśnie mnie martwi. Gdyby po prostu chciał się stąd wyrwać na chwilę, to powinien już wrócić, dopóki jego występki nie stały się poważny. Powiedziałem strażnikom, że jeśli nie znajdą go w gospodzie, mają wypytać wieśniaków, a potem opowiedzieć o wszystkim Lindallowi.

- Nie będę czekać tak długo - zdecydowała Gillian. - Natychmiast rozpoczniemy poszukiwania.

Rycerz spojrział na bladą, zmęczoną twarz kobiety i ciemne kręgi pod jej oczami.

- W takim razie ja zostanę i wezmę w nich udział. A ty odpocznij.

- Wolałabym, żebyś pojechał szukać zabójców Dunstana. Ja mogę pokierować poszukiwaniami w zamku i w wiosce. - Popatrzyła na niego błagalnie. - Muszę się czymś zająć.

Rozumiał ją. Dobrze pamiętał frustrację, jaką przeżywał w zamku diuka d'Ormonde, a także zaraz po przybyciu do Averette.

- Dobrze, pani. Będzie tak, jak sobie życzysz.

- Porozmawiam z Deną. Może Frederic ma tu w pobliżu jakichś znajomych albo rodzinę, których postanowił odwiedzić. Mógł jej o tym wspomnieć.

Boisbaston skłonił się.

- W takim razie do zobaczenia później, pani. Mam nadzieję, że gdy wrócę, zastanę tu skruszonego Frederica, albo że sam go tu przyprowadzę.

- Oby Bóg pozwolił nam ujrzeć go jeszcze całego i zdrowego - szepnęła Gillian.

* * *

Dena złożyła dłonie na brzuchu i gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie, pani. Nie mam pojęcia, po co mógł pójść do wioski czy gdziekolwiek indziej, chyba że wybrał się do gospody.

- Nie - pokręciła głową lady d'Averette, próbując ukryć lęk. Tom i Bran wrócił już z wioski i Lindall doniósł, że Peg nie widziała giermka tego ranka. Nie widział go również nikt inny.

- Czy jesteś pewna, że nie wspominał o jakichś znajomych albo krewnych w tej okolicy?

- Nie, pani, nic takiego nie mówił. Chyba nie sądzisz, że spotkało go coś złego?

Nawet jeśli dziewczyna nie pozbyła się jeszcze złości i niechęci do chłopaka, była wyraźnie poruszona jego zniknięciem.

- Mam nadzieję, że nie - westchnęła Gillian. - Idź już, Deno. Gdy tylko otrzymam jakieś wiadomości, przekażę ci je.

- Dziękuję, pani. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Mimo wszystko nie życzę mu źle.

- Ja również nie - odrzekła lady d'Averette i odprowadziła pokojówkę wzrokiem, a potem zwróciła się do piwniczego, który cierpliwie czekał na zakończenie rozmowy. Szczupły, siwowłosy mężczyzna w średnim wieku, który opiekował się beczułkami wina i piwa, przesunął ręką po brodzie.

- Przykro mi, pani, że muszę ci przekazać kolejne złe wiadomości, ale chodzi o wino, które kupiłeś od tego Charlesa de Fenelona. Oszukał cię.

Gillian poczuła, że żołądek ściska jej się w supeł.

- Oszukał mnie? Jak to?

- Ponad połowa beczek wypełniona jest zwykłą wodą zamiast winem.

- Czy ktoś mógł je podmienić już później, po tym, jak zostały tu przywiezione?

- Nie sędzę, pani - odrzekł Edun. - Jest ich za wiele. To byłoby możliwe, gdyby chodziło o dwie czy trzy, ale rzecz dotyczy piętnastu. - Przygryzł usta i dodał: - Dunstan nie sprawdził ich, pani, choć zwykle to robił. Tym razem jednak wykazał się nierozwagą.

Ochmistrz był roztargniony i myślał o czym innym, podobnie jak i ona.

- Wyślę kilku żołnierzy do wioski, by sprawdzili, czy Charles jeszcze tam jest, choć przypuszczam, że zdążył już zniknąć. Ale może uda im się dowiedzieć, dokąd się wybierał. Tymczasem opróżnij te beczki, w których jest woda, i spróbuj dokupić wina od winiarza z wioski.

- Tak, pani - odrzekł Edun i odszedł.

Tak długo czekała, by przejąć władzę nad Averette, i oto do czego doprowadziły jej rządy. Była pewna, że potrafi zarządzać posiadłością skutecznie, sprawnie i sprawiedliwie. Obydwoje z Dunstanem spędzili wiele godzin, zastanawiając się nad różnymi usprawnieniami w zamku i w wiosce i przez kilka miesięcy wszystko szło właśnie tak, jak sobie wymarzyli. A teraz, choć starała się, jak mogła, wszystko zaczynało się walić.

Wiedziała, że na niektóre wydarzenia nie ma żadnego wpływu. Nie mogła kontrolować króla, jego wrogów ani własnych sióstr. Nie miała władzy nad pogodą, nad wzrostem plonów, nie potrafiła też usunąć wszelkiego zła z tego świata. Ale zawiodła w innych sprawach. Nie ochroniła Deny ani Dunstana, a być może również i Frederica. Dała się oszukać nieuczciwemu kupcowi. Pozwoliła też, by jej uczucia wzięły górę nad poczuciem obowiązku. Może więc nie była warta tego, by zarządzać Averette? Może mężczyźni mieli rację, że kobiety, choćby najbardziej inteligentne i zdecydowane, nie nadawały się do pełnienia takiej funkcji? Może powinna odsunąć się na bok i pozwolić, by Armand de Boisbaston przejął zarząd nad jej dobrami? Ale czy pozwoliłby jej tu pozostać? A jeśli nie, to dokąd miałyby się udać, co miałyby ze sobą zrobić?

Mogłaby pójść do klasztoru, usunąć się ze świata, rozpocząć nowe życie z dala od Averette i od Bayarda. Ale czy byłaby szczęśliwa. Pochyliła głowę i poczuła, że po policzku

spływa jej ciepła, słona łza.

Naraz w komnacie rozległ się łoskot. Zdumiona Gillian podniosła głowę. Seltha i Joanna niechęć przewróciły oparty o ścianę blat stołu.

- Wybacz nam, pani - zawołała jedna ze służących. - Nie chciałyśmy cię niepokoić.
- Może powinnaś się położyć, pani? - dodała druga ze szczerą troską na twarzy.

Podobna troska malowała się także na twarzach pozostałych domowników. Wszyscy ci ludzie polegali na swej pani i liczyli, że ona zapewni im bezpieczeństwo. Kochali ją na swój sposób. Poczuli, że wstępują w nią nowe siły. To byli jej poddani, jej przyjaciele, to był jej dom, który musiała utrzymać, czerpać z niego radość i chronić przed każdym, kto niósł ze sobą zamęt, śmierć i anarchię.

Nazywała się Gillian d'Averette i nie mogła się poddać wątpliwościom ani rozpaczom.

- Czuję się dobrze - powiedziała stanowczo, prostując zeszywniałe ramiona.

Jeśli nawet zawiodła w niektórych sprawach, to w innych odniosła sukces. Na przykład sesja sądu. Ludzie byli zadowoleni, że sprawiedliwości stało się zadość. Za czasów jej ojca nigdy się to nie zdarzało. Albo żniwa; wtedy też wszyscy byli szczęśliwi i zadowoleni, a ona miała w tym swój udział.

Musiała dopełnić swych obowiązków bez względu na poświęcenie, jakiego to wymagało, wrogów i wszelkie inne przeszkody, jakie mogła napotkać na drodze.

* * *

- Tutaj go zabili - powiedział Robb do Bayarda, gdy znaleźli się w niewielkiej dolince. Między skalistymi, porośniętymi lasem zboczami biegł wąski strumień.

Zatrzymali się i zsiadli z koni. Żołnierz wskazał na ślady krwi na pniu rosnącego przed nimi kasztanowca. Ziemia pod drzewem również pokryta była rudymi plamami.

- Przywiązali go do tego drzewa. Krew wsiąkła w ziemię.

Boisbaston podążył wzrokiem za palcem Robba, który teraz wskazywał poczerniałe resztki ogniska. Deszcz zmył popiół, pozostawiając tylko kilka błyszczących węgli. Ognisko mógł dostrzec tylko ktoś, kto znajdowałby się na którymś ze zboczy.

- Tutaj jedli, pili i spali.

A także przyglądali się torturom i śmierci Dunstana, pomyślał Bayard. Bogu dzięki, dotychczas nie znaleźli nigdzie ciała Frederica. Wciąż miał nadzieję, że znajdą chłopaka od-sypiającego nocne pijaństwo gdzieś na stryszku albo w stogu siana, lub też w ramionach jakiejś młodej wieśniaczki, skruszonego i zawstydzonego. A nawet gdyby nie chciał okazać skruchy, to też nie miałyby znaczenia, byleby tylko znalazł się żywy.

- Rozjedźcie się we wszystkie strony i szukajcie - zwrócił się do żołnierzy. - Robb, wypatruj śladów kopyt, może są na nich jakieś charakterystyczne wgłębienia albo inne znaki, które pozwoliłyby zidentyfikować konie. Po śladach podków można znaleźć konia, a po koniu człowieka. Jeśli zauważycie coś niezwykłego, macie mi o tym natychmiast powiedzieć, nawet gdyby wydawało się to zupełnie nieważne. Ruszamy stąd w stronę łąki, gdzie

znaleźliśmy ciało Dunstana.

Mężczyźni posłusznie się rozproszyli. Bayard jeszcze przez chwilę patrzył na drzewo. Dolne konary znajdowały się akurat na wysokości rozpostartych ramion dorosłego człowieka.

Sądząc po śladach krwi, ochmistrz został przywiązany do tych konarów jak do krzyża.

Biedny człowiek. Znajdę ich, przysięgł Boisbaston w duchu. Na Boga, znajdę ich i odcierpią za to, co zrobili. Masz na to moje słowo, Dunstanie.

- Panie!

Alfric machał do niego z drugiej strony polany.

- O co chodzi? - zawołał rycerz, biegnąc przez polanę. Miecz objął mu się o udo, kolczuga brzęczała przy każdym ruchu.

Żołnierz wskazał na ziemię. Komendant przyklęknął i przyjrzał się uważnie, po czym wziął coś do ręki. Był to kłęb grubych, kędzierzawych, brązowych włosów.

- Pomyślałem, że to może włosy ochmistrza - powiedział Alfric głosem nabrzmiałym grozą.

- Kolor nie pasuje - pokręcił głową Bayard. Na szczęście były również ciemniejsze od włosów Frederica. - Wygląda to raczej na brodę.

Zawołał pozostałych mężczyzn i pokazał im kłęb zarostu.

- Czy któryś z was potrafi odgadnąć, z czyjej twarzy zostały zgolone?

Nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Kolor był dość pospolity.

- Czy ktoś coś jeszcze znalazł?

Żołnierze w milczeniu potrząsnęli głowami.

- To szukajcie dalej - rzekł ponuro.

Rozdział siedemnasty

Bayard wrócił do zamku po zmroku, głodny, zziębnięty i przemoczony. Na dziedzińcu oddał konia Nedowi, który wybiegł ze stajni na spotkanie patrolu. Ze świetlicy wynurzył się Lindall. Trzymał w ręku łuczywo, które prychało iskrami w wilgotnym powietrzu, choć nie padał deszcz.

- Jakież wiadomości o Fredericu? - zapytał go komendant. Jego zastępca potrząsnął dużą głową.

- Nie, panie. Moi ludzie przeszukali cały zamek i wioskę, ale nikt go nie widział. Za to mały Teddy, syn Hale'a, wczesnym rankiem widział przejeżdżający przez wieś wóz, na którym siedziało dwóch ludzi.

Boisbaston zdjął hełm i uniósł brwi.

- Jak wcześnie to było?

- O świcie. Zdaje się, że chłopak ma lekki sen. Usłyszał hałas i wyjrzał, żeby sprawdzić, co to.

- Kto powoził?

- Nie wiem, panie, i trochę to dziwne. Obydwaj ci mężczyźni mieli płaszcze z kapturami, a wóz był wyładowany drewnem. Tak jakby wóz Bena, węglarza, ale on przyjeżdża do wioski tylko w dni targowe. Dzieciak nie słyszał, żeby rozmawiali.

- Nikt więcej nie widział tego wozu?

- Nie. - Lindall poskrobał się po brodzie. - Muszę ci, panie, powiedzieć, że Teddy lubi zmyślać. Nie mówię, że kłamie, ale możliwe, że to mu się tylko przyśniło i myśli, że to prawda, bo chce nam pomóc.

- Odszukajcie tego węglarza i jego wóz.

- Tak, panie. - Mężczyzna zawahał się. - Przypuszczam, że ty też niczego nie znalazłeś?

- Znaleźliśmy obóz tych, którzy zamordowali Dunstana. Tam zginął - odrzekł Bayard, idąc przez kałuże w stronę świetlicy.

Gdy opisał obozowisko, Lindall gwizdnął przez zęby.

- Sprytne dranie, co?

- Znaleźliśmy jeszcze to - dodał komendant, wyciągając zza pasa garść wilgotnych włosów. - Nie wiesz, czyja to mogła być broda?

- To broda?

- Tak mi się zdaje.

Żołnierz zmarszczył czoło i poskrobał się po zarośniętym podbródku.

- Nie znam nikogo, kto by ostatnio obciął brodę.

Dowódca westchnął i odesłał go do obowiązków. Nie było wielkiej szansy, by obcięty zarost mógł naprowadzić na jakiś ślad. Kolor włosów był zbyt pospolicity.

Zastanawiał się, kim mogli być mężczyźni na wozie. Frederic opuścił Averette samotnie, ale to nie znaczyło, że przez cały czas pozostawał sam. Kto mógł się do niego przyłączyć albo z kim mógłby się spotkać? Z kobietą? Teddy mówił jednak, że widział dwóch mężczyzn. Z pewnością chłopiec potrafił odróżnić mężczyznę od kobiety?

Złoczyńcy, którzy zabili Dunstana, podróżowali w grupie jak polujące wilki, ale nie musieli przez cały czas trzymać się razem. Mimo wszystko Boisbaston nie wierzył, by jego giermek mógł się sprzymierzyć z takimi ludźmi. Bardziej prawdopodobne było to, że wyruszył do wioski w jakiś innym celu i został uprowadzony. Dlaczego zatem nie walczył ani nie był związany, a przede wszystkim po co w ogóle wychodził z zamku?

A może ci ludzie na wozie to byli jacyś nieszkodliwi wieśniacy, handlarze lub podróżni zajęci swoimi sprawami?

Niespokojny o los Frederica, zły na siebie, że nie ochronił chłopaka przed jego własną głupotą, pchnął drzwi do świetlicy. Większość żołnierzy i służących zjadła już wieczerzę, podobnie jak ojciec Matthew, który zapewne był teraz w kaplicy i modlił się za duszę Dunstana. Bayard miał nadzieję, że duchowny pomodli się również o bezpieczeństwo zaginionego.

Dużą salę oświetlało tylko kilka łuczyw. Niektórzy żołnierze spali już na pryczach i na podłodze. Kilku innych kręciło się dokoła, czyszcząc broje, rozmawiając po cichu albo grając w warcaby. Skinęli mu głowami na powitanie.

Na stole na podwyższeniu paliły się świece. Gillian czekała na niego z wieczerzą. Stała przy stole z rękami złożonymi na piersiach i troską na twarzy. Na tle barwnego gobelinu wyglądała jak uosobienie niepokoju. Jak zwykle miała na sobie bardzo prostą suknię z jasnoniebieskiej wełny. Jej biodra okrywał prosty, skórzany fartuszek, a głowę chusta z białego płótna. Bayard zauważył, że z jej policzków zniknął zdrowy rumieniec, który zabarwiał je jeszcze niedawno, a czoło poznaczone miała zmarszczkami troski.

Żałował, że nie może jej przekazać dobrych wiadomości. Pragnąłby jej powiedzieć, że znalazł Frederica całego i zdrowego, że wyłapał morderców ochmistrza i teraz nikt już nie grozi jej ani jej poddanym oraz że jej siostra podróżniczka jest w drodze do domu. Tymczasem przynosił jej tylko garść ściętego zarostu.

- Nie znalazłeś swego giermka - stwierdziła, gdy zbliżył się do podestu. Gestem wskazała mu miejsce za stołem.

- Nie - odrzekł. - Nie znaleźliśmy również tych, którzy zabili Dunstana, choć odkryliśmy miejsce, gdzie to się stało, i mamy coś jeszcze, co może okazać się pomocne.

- Co? - zapytała, nalewając mu grzanego wina.

Gdy usiadła obok niego, opowiedział jej o dolince, drzewie, krwi i zaroście.

- Jaki kolor miał ten zarost?

- Jak maść jelenia. - Sięgnął za pas i wyciągnął kłęb włosów. Gillian przyjrzała się im ze zmarszczonym czołem.

- To mogłaby być broda Charlesa de Fenelona.

- Kogo?

- To kupiec winny, który niedawno tu przybył, rzekomo z Londynu. Dzisiaj odkryłam, że mnie oszukał. Kilkanaście beczek napełnionych było wodą. Ale dlaczego kupiec...?

Nagle otworzyła szeroko oczy w błysku zrozumienia.

- To wcale nie był kupiec!

- Też tak sędzę, i chyba potrafię odgadnąć, kim był. Jak wyglądał, oprócz tego, że nosił brodę?

- Był niższy od ciebie, podobnego wzrostu co Frederic. Szczupły, dobrze ubrany, ale włosy miał długie i splątane. Gdy się nad tym zastanowić, to dziwne, bo poza tym był bardzo schludny.

- Czy mówił jak wykształcony człowiek?

- Wykształcony, ale nie nadmiernie. Ale gdyby mówił jak szlachcic albo dworzanin, natychmiast zaczęłabym coś podejrzewać, więc możliwe, że zmienił swój zwykły sposób mówienia.

- Czy był przystojny?

Gillian zarumieniła się lekko.

- Tak, i o wiele zbyt szarmancki. Bayard wykrzywił usta.

- Przypuszczam, że to był Richard d'Artage, człowiek, który na dworze stał po stronie sir Francisa de Farnby'ego. Jest sprytny i przebiegły i można go podejrzewać o taki kamuflaż.

- Jeśli to był on, to czy sądzisz, że mógł zamordować Dunstana?

- Nie własnoręcznie, ale z pewnością mógł za tym stać.

- Matko Przenajświętsza - powiedziała cicho - jaka ja byłam głupia.

Boisbaston miał wielką ochotę wziąć ją za rękę.

- Jak miałabyś odgadnąć, że jeden z wrogów króla przebrał się za kupca winnego i przybył samotnie do Averette? Gdyby ktoś mi o czymś takim opowiedział, stwierdziłbym, że oszalał albo że powinien zostać bardem. A jeśli ty uważasz, że byłaś głupia, to co ja mam sądzić o sobie? Powinienem być lepiej pilnować Frederica.

Nie chcąc, by zbyt długo zastanawiała się nad własnym błędem, oderwał kawałek chleba od bochenka w koszyku i wskazał na misę.

- Czy już jadłaś?

Gillian potrząsnęła głową.

- Czekałam na ciebie - wyjaśniła i nałożyła im obojgu porcje potrawy z wołowiny, porów i fasoli. - Czy sądzisz, że twój giermek mógł być w konspiracji z tym d'Artage'em?

Nie przyszło mu to wcześniej do głowy, ale istniała taka możliwość. Frederic był młody, gorliwy i bardzo pragnął zdobyć sławę, podobnie jak on sam, zanim poprzysiągł wierność królowi Janowi.

- To z pewnością możliwe - przyznał. - Myślałem, że chłopak nie zna Richarda, ale mogłem się mylić. Może spotkali się już gdzieś wcześniej. Możliwe, że przez cały czas był z nim w zмовie.

Pluł sobie w brodę na myśl, że być może przywiózł do Averette zdrajcę. Twarz Gillian pobladła.

- Czy sądzisz, że był zamieszany w śmierć Dunstana? - szepnęła.

Bayard zastanawiał się przez chwilę.

- Być może wiedział, co Richard planuje, ale z całą pewnością nie było go tam, gdy dokonano zbrodni. Zauważylibyśmy jego nieobecność, a poza tym na widok ciała dostał torsji, więc musiał to być dla niego prawdziwy wstrząs. Bogu dzięki chociaż za to. Ale jeśli jest w zмовie z tymi zdrajcami, to znaczy, że nieświadomie wprowadziłem żmiję do twojego domu.

Nie zważając na to, czy ktoś ich obserwuje, kobieta wzięła go za rękę.

- Szukałeś w nim tego co najlepsze, nie tego co najgorsze. Ja również kilka razy popełniłam błąd w osądzie.

Jej oczy napotkały jego spojrzenie i przepłynęła między nimi fala współczucia i

zrozumienia.

Po chwili Bayard cofnął rękę i w milczeniu dokończyli posiłek.

* * *

Późnym wieczorem Gillian chodziła niespokojnie po komnacie oświetlonej tylko jedną migoczącą świecą. Na niebie wisiał sierp księżyca. Dochodziły do niej stłumione pozdrowienia przechodzących wartowników, ale poza tym w całym zamku panowała cisza.

Czuła się samotna, podobnie jak już wiele razy w życiu, jakby była księżniczką z bajki zamkniętą w wieży. W dzieciństwie często w takich chwilach wychodziła na dach wieży i chowała się za blankami, w miejscu, gdzie kryli się łucznicy po oddaniu strzału. Mówiła sobie, że zła czarownica rzuciła urok na Averette, zamykając ją w pułapce, ale któregoś dnia znajdzie sposób, by przełamać czar. Stanie się wolna i piękna, piękniejsza niż jej siostry. Nie będzie już ponurą, szarą Gillian, wiecznie siedzącą w kącie jak mysz.

Po śmierci ojca, gdy złożyły ślubowanie, miała wrażenie, że czar został zdjęty. Była wolna na tyle, na ile tylko mogła być wolna kobieta szlacheckiego urodzenia. Choć nie stała się piękna ani czarująca, była szczęśliwa i zadowolona z życia, zachwycona rolą pani na Averette. A potem pojawił się Bayard, który najpierw frustrował ją i irytował, a potem sprawił, że zaczęła się czuć szanowana, podziwiana i godna pożądania.

To wystarczyło, by również i w niej wzniecić namiętne tęsknoty. Przypominała sobie, co powiedziała Lizette po złożeniu ślubów: „Nie przysięgałyśmy żyć w celibacie”. Powiedziawszy to, wybuchnęła głośnym śmiechem.

Nie przysięgały żyć w celibacie, choć Gillian sądziła wówczas, że na zawsze pozostanie samotna. James już nie żył, a któż inny mógłby jej zapragnąć? Któż mógłby zobaczyć w niej kogokolwiek innego niż tylko bledsze odbicie sióstr?

Wsunęła dłonie w rękawy koszuli, podeszła do okna i popatrzyła na nocne niebo, a potem na majaczącą w mroku wioskę. Dobrze wiedziała, kogo pragnie i kto - zdawało się - pragnie jej. Cygański kochanek, który szukał rozrywki, a potem ruszał dalej, który dawał i przyjmował miłość bez zobowiązań. Co by powiedział, gdyby teraz do niego poszła? Jak by się zachował?

Małżeństwo nie wchodziło w grę, a każdy inny związek byłby grzechem, ale jej serce domagało się, by zaspokoić żarliwą tęsknotę, by brać miłość, dopóki była na to szansa - jeśli on również tego chce.

A jeśli nie? Jeśli okaże się lepszy, silniejszy, bardziej honorowy niż ona? Ale jak mogła się o tym przekonać, nie idąc do niego? Czy odważyłaby się to zrobić, czy wystarczyłoby jej odwagi, siły i determinacji, by poprosić o to, czego pragnęła z całego serca, i przyjąć wszystkie konsekwencje, jakie mogą nadejść?

A może miała za wiele do stracenia?

Z zamętem w myślach i sercu Bayard podniósł się z łóżka, nie mogąc już dłużej znieść wpatrywania się w kotarę. Na zewnątrz znów padał deszcz. Krople rozbijały się o kamienne ściany.

Gdzie jest Frederic? Czy żyje, czy jest martwy? Suchy czy przemoczony na wylot? Czy ten zarost należał do Richarda d'Artage'a? A jeśli tak, to gdzie teraz jest ten łajdak? Czy razem z bandą, która torturowała, zabiła i znieważyla ciało Dunstana? Jeśli giermek jest razem z nimi, to jako sojusznik czy jako jeńiec? Czy uda się rankiem odnaleźć jeszcze jakieś ślady, czy też deszcz zmyje wszystko tak dokładnie, że nawet Robb nikogo nie wytropi?

W jego rozmyślania wdarł się znajomy, cichy dźwięk. Bayard spojrział na drzwi, które zaczęły się powoli i ostrożnie otwierać, i szybko sięgnął po miecz.

Rozdział osiemnasty

Do komnaty wkradł się nie zabójca nasłany przez wroga, lecz Gillian w szkarłatnej nocnej koszuli z miękkiej wełny, w lamowanych futrem domowych cizemkach z jeleniej skóry i z rozpuszczonymi włosami.

Zamknęła za sobą drzwi i splotła dłonie. Wydawała się zagubiona.

- Co tu robisz? - zapytał zdumiony. Podeszła nieco bliżej.

- Chciałam... chciałam cię zobaczyć. Byłam bardzo ostrożna, a w całym zamku jest ciemno. Proszę, Bayard, pozwól mi tu przez chwilę zostać. Nie chcę być dzisiaj sama.

Gdyby mówiła surowym, władczym tonem, to może znalazłby w sobie siłę, by kazać jej wyjść, ale ciche, pełne emocji słowa poruszyły jego serce. Podeszedł do stołu przy oknie. Przyniósł wcześniej z jadalni trochę wina, a także kawałek chleba i sera, na wypadek, gdyby zgłodniał w nocy.

- Czy jesteś głodna? Niewiele zjadłaś podczas wieczery.

- Nie.

- Znajdziemy Richarda i jego ludzi, jeśli jeszcze są gdzieś w pobliżu - zapewnił, sądząc, że to troska przygnała ją do jego komnaty. - Jeżeli Frederic jest z nimi, to jego również znajdziemy.

Nie odpowiedziała. Uświadomił sobie, że jeśli ona zostanie tu dłużej, to nie będzie potrafił oprzeć się pokusie, by jej dotknąć.

- Przykro mi, Gillian, ale myślę, że lepiej będzie, jeśli stąd pójdziesz.

- Nie chcę przysparzać ci już więcej poczucia winy ani wyrzutów sumienia - powiedziała, zbliżając się do niego - ale chcę tu zostać, Bayardzie. - Podniosła na niego oczy, w których błyszczały nie łzy, lecz nadzieja. - Chcę zostać z tobą.

Oszołomiony tą deklaracją stał bez ruchu, ona zaś otoczyła go ramionami, wspięła się na palce i pocałowała go.

- Chcę cię kochać - szepnęła. - I chcę, żebyś ty kochał mnie. Nie proszę o małżeństwo, bo byłoby to niemożliwe. O nic więcej cię nie proszę, tylko pozwól mi tu zostać. Weź mnie dzisiaj do swojego łóżka.

Pytający wzrok Boisbastona błędził po jej twarzy. Czego tam szukał? Prawdy, szczerości? Była pewna, że je znajdzie, bo jej słowa płynęły z głębi serca.

Zmarszczył brwi.

- Mówiłem ci już, pani, że nie jestem takim lubieżnikiem, za jakiego wszyscy mnie uważają.

Dobry Boże! Nie miała zamiaru go urazić.

- Wiem, że jesteś człowiekiem honoru. Widziałam, jak traktujesz kobiety w moim zamku. Przekonałam się, że masz dobry i szlachetny charakter, inaczej nie przyszedłabym tutaj. Wiem, że to, o co proszę, jest grzeszne i niemoralne, ale nie mogę znieść myśli, że miałabym nigdy nie doświadczyć radości w twoich ramionach, nigdy nie poczuć, jak to jest być kochaną przez ciebie.

Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w twarz.

- Jeśli sądzisz, że jestem dziewicą, to mylisz się. Kochałam już kogoś przed laty i zanim umarł, oddałam mu wianek.

W jego oczach błysnęło zdziwienie, a potem pojawił się w nich inny wyraz, na widok którego krew zaczęła żywiej krążyć w żyłach Gillian.

- Czy odeślesz mnie stąd, Bayardzie? Czy zmusisz mnie, bym przecierpiała tę noc samotnie, tak jak przez całe życie? Proszę, jeśli zależy ci na mnie, pozwól mi zostać. Kochaj mnie... tylko ten jeden raz.

Potrząsnął głową i cofnął się o krok.

- Na rany Boga, Gillian! Nigdy nie pragnąłem żadnej kobiety równie mocno jak ciebie. Jesteś dla mnie uosobieniem pokusy, ale co się stanie z twoją reputacją? Co będzie, jeśli uczynię cię brzemienną? Wiem, jak traktowane są bękarty i ich matki, i nie chcę ryzykować, że taki los mógłby spotkać ciebie i moje dziecko.

Bez trudu wytrzymała jego spojrzenie.

- Nikt nie musi się dowiedzieć, że jesteśmy kochankami. A jeśli będę miała dziecko... Cóż, ludzie z Averette kochają mnie. Moje siostry też. Tutaj będę bezpieczna.

- A mnie będą uważali za jeszcze większego łajdaka niż dotychczas.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak egoistycznie postąpiła, przychodząc do niego.

- Proszę cię o zbyt wiele - przyznała. - Proszę cię, byś postąpił niehonorowo. Nie powinnam tego robić. Pójdę teraz i zostawię cię w spokoju.

Zebrała całą swoją godność i ruszyła do drzwi, on jednak przytrzymał ją za ramię.

- Spokoju? - powtórzył z oczami przepełnionymi cierpieniem i tęsknotą. - Jakiegoż spokoju zaznam bez ciebie? Skradłaś moje serce. Moja przyszłość leży w twoich rękach. Oddałbym wszystko, by być z tobą tej nocy i przez wszystkie inne noce. Skoro ty chcesz

zaryzykować tak wiele dla miłości, to czy ja mogę uczynić mniej? Kocham cię, Gillian, tak jak nigdy nie kochałem żadnej kobiety. Nie sądziłem, że jestem zdolny do takiego uczucia. Dopiero w Averette poznałem, co to miłość. Zostań ze mną. - Pociągnął ją w swoje ramiona. - Niech Bóg ma nas oboje w opiece. Nie mogę pozwolić ci odejść.

Hamulce, które próbował nałożyć na swoje emocje, puściły. Miłość, której próbował zaprzeczyć, którą usiłował utrzymać pod kontrolą, wybuchła z całą siłą.

Biedny James, pomyślała Gillian. Był tak młody i naiwny. Deklarował jej swoje oddanie, zacinając się i jękając, próbował ją kochać, choć w gruncie rzeczy nie bardzo wiedział jak. Bayard był zupełnie inny. Był dorosły, pewny siebie i odważny - a do tego równie grzeszny jak ona. Jego dłonie poruszały się zachwycająco wprawnie. James był zaledwie nieśmiałym chłopcem; Bayard pokazał jej, czego może oczekiwać od mężczyzny.

W ramionach tego rycerza i w jego łóżu Gillian w pełni zrozumiała decyzję Adelaide i uświadomiła sobie, ile utraci, gdy Boisbaston wyjedzie z jej zamku.

* * *

Zbliżał się świt. Gillian leżała z głową opartą na piersi kochanka, okręcając na palcu kosmyk jego włosów. Nie mogła pozostać tu dłużej, musiała chyłkiem wrócić do własnej komnaty i przez cały dzień udawać, że nie wydarzyło się nic niezwykłego.

- Uważaj, bo powyrywasz mi wszystkie włosy - zaśmiał się, gładząc ją po ramieniu.

- Może powinnam to zrobić, jeśli zamierzasz nosić takie długie - odrzekła. Uniosła się na łokciu i spojrzała na jego twarz. - Dlaczego ich nie obetniesz?

- Bo lubię takie, jakie są. - Obrócił się na bok, pocierając udem o jej udo. - Nie podobam ci się?

- Jesteś próżny jak paw! Wiesz przecież, że mi się podobasz, ale te włosy wyglądają nieporządnie.

- A moja pani lubi porządek, tak? Odsunęła ciemne kosmyki z jego twarzy.

- Nie zawsze. Twoje włosy mi się podobają. To również - dodała, wiodąc palcem po bliźnie na jego policzku. - Z tą blizną wyglądasz trochę jak barbarzyńca.

- I to ci się podoba?

- Bardzo. Skąd ją masz? Pamiątka po bitwie albo po jakimś turnieju?

Bayard z żalem potrząsnął głową.

- Spadłem z drzewa.

- Spadłeś z drzewa? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- To było dawno - rzekł bardzo poważnie. - Byłem wtedy jeszcze chłopcem. Armand chadzał na jabłka do sadu przy klasztorze, obok zamku lorda Raymonda. Dzielił się potem tymi jabłkami ze mną i z naszym przyjacielem Randallem. Pewnego dnia przyszło mi do głowy, że ja też mógłbym tam pójść. Mój brat zawsze dostawał się do sadu po pnączach porastających klasztorny mur. Ja również wybrałem tę drogę. Wszystko poszło dobrze i bardzo dumny z siebie wspiąłem się na drzewo, ale gdy sięgnąłem po jabłko, straciłem równowagę i

spadłem, a złamana gałąź rozerwała mi policzek. Wylem jak zarzynana świnia i równie mocno krwawiłem. Biedny mnich, który mnie znalazł, omal nie zemdleł z wrażenia. Zaniósł mnie do klasztoru i jeden z braciszków dał mi coś na sen. Obudziłem się już w domu, z bardzo porządnie zeszytym policzkiem.

Pochylił się i lekko pocałował jej nagie ramię.

- Jest już późno - zauważył. Naraz ktoś zastukał do drzwi.

- Pani! - rozległ się stłumiony głos Deny.

Gillian pochwyciła koszulę leżącą w nogach łóżka. Skąd służąca wiedziała, gdzie jej szukać, i czego mogła chcieć o tej porze?

Bayard wyszedł z łóżka i sięgnął po leżące na podłodze nogawice.

- Czego chcesz? - zawołał.

- Czy jest tu lady Gillian? Byłam w jej komnacie, ale tam jej nie znalazłam, więc pomyślałam...

- Nie!

Coś musiało się stać, w głosie Deny słychać było panikę. Lady d'Averette narzuciła na siebie koszulę, wyminęła kochanka i otworzyła drzwi. Pokojówka stała oparta o ścianę. Twarz miała trupioblada, a koszulę poplamioną krwią.

- Wybacz, pani, że niepokoję cię o tej porze, ale krwawię - szepnęła.

- Bayard! - zawołała Gillian, widząc, że dziewczyna zaczyna się osuwać na podłogę. - Pomóż mi przenieść ją do łóżka!

Znalazł się przy niej w jednej chwili, wziął Denę w ramiona i zaniósł na swoje łóżko. Jej pani szybko sprawdziła, czy dziewczyna nie jest ranna, ale nie o to chodziło.

- To dziecko - powiedziała do Boisbastona niespokojnie krążącego dokoła. - Obawiam się, że je straciła. - Trzeba było jak najszybciej zatamować krwawienie. - Idź do mojej izby i przynieś mi niebieską skrzynkę z lekarstwami. Znajdziesz ją w wielkiej skrzyni obok drzwi. Poszukaj służących i niech przyniosą z kuchni zielony dzbanek, którego używam do przyrządzania naparów, napełniony wrzątkiem, cebrzyk z ciepłą wodą do mycia i drugi z zimną. Potrzebne mi też będzie czyste płótno, dużo płótna. I trzy wiązki siana ze stajni, żeby nie zniszczyć łóżka.

Bayard ubrał się szybko i wyszedł z komnaty. Gillian podeszła do umywalni i wylała resztkę wody z dzbanka do miski. Zebrała wszystkie kawałki płótna, jakie udało jej się znaleźć w izbie, część z nich podłożyła pod dziewczynę, a pozostałymi obmyła ją i osuszyła, starając się robić to jak najdelikatniej. Na koniec przebrała Denę w jedną z czystych koszul znalezionych w skrzyni.

Gdy zmieniała przesiąknięte krwią płótno, pokojówka otworzyła oczy i z żalnym jękiem pochwyciła się za brzuch.

- Umieram - zawodziła. - Zgrzeszyłam, a teraz umieram.

- Zajmę się tobą - powiedziała łagodnie jej pani, modląc się za nią w duchu. -

Wysłałam już Bayarda po lekarstwa. Zatomuję krwawienie zieleń przywrotnika i złagodzę ból korą wierzby. Wkrótce poczujesz się lepiej.

Dziewczyna patrzyła na nią przerażonymi oczami.

- A moje dziecko?

Niestety, Gillian była pewna odpowiedzi, jakiej musiała udzielić. Pochyliła się i popatrzyła na chorą ze współczuciem.

- Jest z Bogiem w niebie. Dena rozszlochała się żałośnie.

Lady d'Averette podeszła do drzwi, wypatrując Bayarda. Wkrótce pojawił się na schodach z niebieską skrzynką w rękach.

- Daj mi to i zostaw nas same - powiedziała cicho, odbierając skrzynkę z jego rąk. - To kobiece sprawy.

Skinął głową i zawahał się.

- Przejąłem się tą dziewczyną i nie zachowałem ostrożności. Obawiam się, że teraz wszyscy się dowiedzą, że byliśmy razem.

- Nic na to nie poradzimy - odrzekła. Teraz nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać. - Cieszę się, że Denie udało się mnie znaleźć.

Usłyszeli kroki i przyciszone szepty służących. Bayard zniknął w głębi korytarza, a Gillian weszła z powrotem do izby. Po chwili Seltha wniosła do środka dzbanek z wrzącą wodą. Kilka innych kobiet weszło za nią i stłoczyło się przy drzwiach, wyciągając głowy, by coś dostrzec.

- Postaw dzbanek na stole - nakazała pani. - Joanno, przysuń naczynia z ciepłą i zimną wodą do łóżka. Płótna połóż na tym stołku.

Sięgnęła po stojący na stole puchar, wytarła go jednym z czystych płócien i nalała do niego nieco gorącej wody. W skrzynce z lekarstwami znalazła gliniane naczynko owinięte nawoskowanym płótnem. W środku znajdowało się suszone ziele. Wyjęła też ze skrzynki woreczek z luźno tkanego płótna, napełniła go ziołami i zanurzyła w wodzie, która, choć nie wrzała, wciąż była bardzo gorąca.

Kobiety wykonały już wszystkie jej polecenia.

- Seltha, sprawdź, kto poszedł po siano. Niech się pospieszy. A wy możecie już wracać do swoich zajęć.

- Ale, pani, nie ma jeszcze jutrzni.

- W takim razie wracajcie do łóżek, tylko cicho.

Służące wyszły z komnaty, rozmawiając przerażonym szeptem. Gillian była zupełnie pewna, że aż do wschodu słońca będą zastanawiać się nad tym, co widziały. Pomyślała jednak, że tym będzie się martwić później. Na razie musiała zająć się Deną, której życie zależało od jej umiejętności, od skuteczności naparu i od bożej łaski.

Rozdział dziewiętnasty

Krótko po południu udało im się odzyskać dwa konie ukryte niedaleko wioski. Zostawili w lesie wóz ukradziony przez Richarda brudnemu węglarzowi, którego ciało spoczywało teraz w dymiącym stosie wypalanego węgla drzewnego, i konno wjechali na polanę w pobliżu wschodniej granicy Averette.

- Możemy tu odpocząć - rzekł d'Artage, zeskakując z siodła. - Obawiam się, że kilka najbliższych nocy będziemy musieli spędzić jak włóczędzy, ale ta niewygodna zostanie nam wynagrodzona później.

- Czy naprawdę chcesz zabić Bayarda? - zapytał Frederic. Zsiadł z konia, zarzucił wodze na krzak tarniny i wpadł prosto do błotnistej kałuży.

Richard wzruszył ramionami.

- A jak inaczej mam odciągnąć jego brata od dworu i króla? Jeśli nasz plan ma się powieść, musimy się pozbyć ich obydwu, a także kilku innych,

- A co z lady Gillian i jej siostrami?

- To szlachetnie urodzone damy. Oczywiście potraktujemy je z należnym szacunkiem.

- A inne kobiety w Averette?

- Martwisz się o tę dziewczynę, której zrobiłeś dziecko? Nie obawiaj się, będzie bezpieczna. Kiedy odniesiemy zwycięstwo, możesz ją sobie wziąć jako część nagrody.

Usłyszeli szelest liści na drugim końcu polany i po chwili z gęszcza jeden po drugim zaczęli wyłaniać się mężczyźni niczym materializujące się demony. Byli to wielcy, zwałsi barbarzyńcy ubrani w skórzane stroje i przypadkowe części zbroi. Wszyscy nosili brody i nawet na pierwszy rzut oka byli bardzo dobrze uzbrojeni. Richard nie wątpił, że każdy z nich miał jeszcze broń ukrytą pod ubraniem. Prawie wszyscy mieli twarze poznaczone bliznami, a niektórym brakowało oka, ucha albo palca.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Frederic, wyciągając miecz.

- Kim są ci ludzie?

D'Artage uspokajająco położył rękę na jego ramieniu.

- To moi sojusznicy - wyjaśnił. - Nie obawiaj się, nie zrobią ci krzywdy.

Chłopak zmarszczył czoło.

- To oni zabili Dunstana, tak?

- Tak - przyznał tamten chłodno. - Potrzebowałem kilku informacji o zamku Averette.

Muszą tam być jakieś ukryte przejścia. Niestety, zapał do pracy poniósł moich towarzyszy nieco za daleko i ochmistrz zginął, zanim zdążył powiedzieć cokolwiek użytecznego.

- Ja nic nie wiem o żadnych ukrytych przejściach - zapewnił go pobladły giermek.

- Nie sądziłem, że wiesz. Byłeś tam tylko gościem. Tak się składa, że mamy inne,

lepsze źródło informacji na temat zamku - odrzekł Richard i skinieniem głowy wskazał mężczyznę, który miał na sobie dobrej jakości zbroję w barwach Averette.

- A więc tutaj dotarłeś, chłopcze - powiedział Lindall do zdumionego Frederica, który wpatrywał się w niego z otwartymi ze zdumienia ustami. - Zamknij paszczę, bo mucha ci wleci do środka.

- Co ty tutaj robisz? Myślałem, że jesteś lojalny wobec lady Gillian.

- A ja myślałem, że ty jesteś lojalny wobec sir Bayarda - odparował zastępca komendanta w zamku Averette.

- Boisbaston nie był wart mojej lojalności.

- Nikt na świecie nie jest tego wart, żaden mężczyzna ani kobieta - odrzekł żołnierz i splunął na błotnistą ziemię. - Człowiek musi sam o siebie zadbać. Lojalność oznacza wyrok śmierci albo życie w nędzy - dodał, rzucając znaczące spojrzenie w stronę Richarda.

Szlachcic sięgnął za pas i wyjął skórzaną sakiewkę. Monety zadźwięczały.

- Jakie wiadomości przynosisz?

- Bayard rozsyła po okolicy małe patrole, po dziesięciu ludzi.

W oczach d'Artage'a pojawił się błysk. Gestem przywołał do siebie dowódcę bandy.

- Słyszałeś, Ullric? Tylko po dziesięciu.

Saksończyk skinął głową i uśmiechnął się, obnażając resztki zębów.

- Boisbaston ma wyruszyć ze swoim patroliem na południe, wzdłuż rzeki, a jeśli dzisiaj niczego nie znajdą, jutro pojedą na północ - dodał Lindall po przeliczeniu srebrnych monet. Zerknął na Frederica. - Lepiej módl się, żeby cię nie znaleźli, chłopcze, bo czeka cię loch i śmierć, jak za zdradę.

- To samo czeka ciebie - odparł giermek.

- A jakie mają dowody przeciwko mnie? Słowo zdrajcy?

- Te pieniądze.

- To mój zarobek. Nie jestem taki głupi, żeby zabierać to na swoją kwaterę. Nie znajdą tam niczego, co mogłoby im podpowiedzieć, że jestem w zмовie z buntownikami.

- Jak udało ci się wyjść z zamku? Co powiedziałaś strażnikom?

- Jestem zastępcą komendanta. Moi ludzie nie pytają mnie, dokąd się wybieram - mruknął Lindall i sięgnął po bukłak z winem wiszący przy siodle Richarda. - Rany boskie, w gardle mi zaschło. Następnym razem przyprowadzę konia dużo bliżej.

- Jeśli to zrobisz, to możliwe, że będziesz musiał wracać piechotą - odrzekł d'Artage. - Nie mam zamiaru dać się złapać tylko dlatego, że tobie nie chce się przejść jednej mili.

Żołnierz zmarszczył czoło, napił się wina i zmierzył Frederica wzrokiem.

- A więc dlaczego przystałeś do buntowników? Przejąłeś się tym kawałkiem spódnicy?

- Oczywiście, że nie.

- To w takim razie nie będziesz chyba miał nic przeciwko temu, że ja też z niej

skorzystam? Mogę jej powiedzieć, że ją kocham, jeśli od tego rozłoży nogi. - Widząc wyraz twarzy giermka, zmarszczył czoło. - No co? Myślisz, że skoro już miała szlachcica, to jest za dobra dla takiego jak ja?

Gromki śmiech jego towarzyszy wzbudził w chłopaku jeszcze większą niechęć niż myśl o zdradzie lady d'Averette za pieniądze.

- Dena jest dziwką jak wszystkie kobiety, a jeśli wydaje się jej, że jest inaczej, to wkrótce sama się przekona. Szczególnie że i tak straciła tego bękarta, którego zasiałeś w jej brzuchu.

- Co? Lindall roześmiał się.

- Patrzcie, jak posmutniał. Można by pomyśleć, że się tym przejął!

- Czy ona wyzdrowieje?

- Podobno ma dojść do siebie - mruknął tamten obojętnie. Jeszcze raz pociągnął z bukłaka i rzucił Richardowi krzywy uśmiech. - A skoro już mówimy o dziwkach, to miałeś, panie, zupełną rację co do lady Gillian. Kiedy Dena zaczęła krwawić, znalazła ją w sypialni Bayarda. A zachowuje się zawsze, jakby była świętsza od papieża - prychnął. - Gdyby jej ojciec żył, to kazałby ją wychłostać do krwi i miałby zupełną rację.

- Wystarczy już - warknął Richard. - Wracaj do zamku, zanim ktoś zauważy twoją nieobecność. Frederic, zajmij się końmi. Ullric, ty pójdziesz ze mną. Musimy się zastanowić.

* * *

Na dźwięk cichego pukania Gillian podniosła się ze stołka, roztarła kark zdrętwiały od pochylania się nad Deną i otworzyła drzwi. W progu stał Bayard.

- Jak ona się czuje? - zapytał, zerkając na bladą postać leżącą na łóżku.

- Wydaje mi się, że wszystko będzie dobrze, Bogu dzięki. Udało mi się dość szybko powstrzymać krwawienie.

- Ma szczęście, że wiedziałaś, co robić.

- I że miałam odpowiednie lekarstwo. Szczęście też, że Dena jest młoda, silna i poza tym zdrowa, choć bardzo się zmartwiła utratą dziecka.

Rycerz westchnął i oparł się o framugę.

- Sądziłem, że może poczuje ulgę, zważywszy, jak Frederic ją potraktował.

- A jednak wygląda na to, że bardzo chciała tego dziecka.

Popatrzyli na siebie. Obydwoje w tej chwili myśleli o tym, co by się stało, gdyby to Gillian miała urodzić dziecko. Bayard wyobraził sobie dzieci, jakie mógłby z nią mieć: śmiałe, energiczne dziewczynki i silnych, twardych chłopców. Kochałby je nad życie.

- Nie chcę przeszkadzać - powiedział w końcu - ale potrzebuję zbroi. I tak już opóźniliśmy wyjazd.

- Biedna Dena. Straciła tak dużo krwi, że nie obudzi jej byle szmer - odrzekła lady d'Averette i odsunęła się, pozwalając mu przejść. - Nie masz giermka, więc ja ci pomogę.

Skinął głową, otworzył pokrywę drewnianej skrzyni i wyjął z niej wyściełany kaftan.

Nie potrzebował żadnej pomocy, by go założyć. Sam również zawiązał troczki przy nagolennikach.

- Uznałem, że potrzebujemy więcej patroli, żeby przeczesać większą połąć terenu - powiedział cicho, gdy Gillian pomagała mu nałożyć kolczugę. - Rozesłałem ludzi w grupach po dziesięciu i przykazałem, żeby nie oddalali się od siebie bardziej niż na sygnał rogu. Jeśli któryś z patroli zostanie zaatakowany, inni mogą mu przyjść na pomoc.

Skinęła głową i uniosła zbroję, by Bayard mógł ją nałożyć. Sięgająca do kolan kolczuga z rękawami i kołnierzem była bardzo ciężka.

- Dobrze, że nie jesteś słabą kobietą - zauważył, wkładając głowę i ramiona w odpowiednie otwory. - W innym wypadku musiałbym się położyć i wczołgać do środka.

Na szczęście nie był zmuszony uciekać się do takich metod. Nałożył czepiec i skórzanym rzemieniem przymocował do niego część kolczugi osłaniającą kark. Gillian tymczasem przyniosła mu hełm z metalu, w kilku miejscach wyraźnie wgięty.

- To nic takiego - powiedział, widząc, że przesuwa palcami po największym wgłębieniu znajdującym się na samym czubku. - Sam to zrobiłem. Upadł mi.

Uśmiechnął się, choć nie było w tym uśmiechu radości. Nie była pewna, czy powiedział prawdę, czy też chciał ją tylko uspokoić. Nie miało to większego sensu, ale była mu wdzięczna za to, że próbował.

- Mam nadzieję, że będziesz bardziej uważał zarówno na hełm, jak i na głowę, panie.

- Postaram się - obiecał i znów się do niej uśmiechnął.

Narzucił na ramiona płaszcz, zapiął pas z mieczem i wziął do lewej ręki tarczę.

- Będziesz ostrożny, prawda? - powtórzyła Gillian. - Nie będziesz niepotrzebnie ryzykował?

- Wiedząc, że ty na mnie czekasz? Nie. Jeszcze nigdy nie miałem tak ważnego powodu, by żyć - zapewnił ją. - I nie mam ochoty zostawiać cię tu samej.

- Obawiasz się ataku?

- Jestem pewien, że gdyby coś takiego się zdarzyło, to Lindall potrafiłby odeprzeć wrogów, dopóki nie wrócimy. Myślałem jednak o czym innym. Wszyscy w zamku dowiedzą się o naszym związku, a nie trzeba dużo czasu, aby wiedziała o tym również cała wieś.

Nie musiał jej mówić, jakich trudności może im to przysporzyć.

- W porównaniu z niebezpieczeństwem, któremu ty będziesz musiał stawić czoło, jeśli spotkasz zabójców Dunstana, plotki nie wydają mi się szczególnie groźne - odrzekła szczerze.

- Ale to nie będzie przyjemne - ostrzegł, ujmując jej dłonie. Popatrzyła na niego śmiało.

- Z pewnością nikt nie ośmieli się postawić mi zarzutów prosto w twarz, a spojrzenia i szepty potrafię znieść.

Bayard ze smutnym uśmiechem przyciągnął ją do siebie i pocałował na pożegnanie.

- Gdy wyglądasz tak jak teraz, to wątpię, czy nawet król ośmieliłby się zaryzykować.

Rozdział dwudziesty

Obawy Boisbastona nie były bezpodstawne. Plotki i spekulacje rozeszły się po całym Averette, nim jeszcze zdążył wyjechać za bramę.

Pokojówki wezwane w środku nocy powiedziały Umbertowi i służbie kuchennej, że Dena umiera w sypialni sir Bayarda oraz że jest tam również lady Gillian, odziana tylko w nocną koszulę. Wymowa tego faktu była oczywista i nowiny o nielegalnym związku między przystojnym rycerzem a panią zamku rozprzestrzeniły się lotem błyskawicy. Chłop, który przywoził siano dla krów, usłyszał wiadomości od służącej i już niedługo cała wioska nie mówiła o niczym innym.

Lady d'Averette odczuła to na własnej skórze, gdy zostawiła Selthę przy Denie i zajęła się codziennymi obowiązkami. Choć nikt nie patrzył na nią z wyraźną pogardą ani nie ośmielił się jej obrazić, słyszała za plecami szepty. Kilka kobiet omijało ją wzrokiem, a inne wyraźnie prychały, gdy wydawała im dyspozycje na ten dzień. Również ze strony żołnierzy wyczuwała brak zwykłego szacunku, a kilku potraktowało ją wręcz lekceważąco.

Ona jednak nosiła głowę wysoko i zachowywała się jak gdyby nigdy nic, udając, że nie zauważa żadnej zmiany w zachowaniu domowników. Mimo wszystko był to długi i trudny dzień. Niespokojna o Bayarda, o zmierzchu czekała na powrót jego patrolu przy zewnętrznych murach. Gdy wreszcie ich zobaczyła, zdała sobie sprawę, że wracają z niczym. Siedzieli w siodłach przygarbieni i nawet konie wydawały się wyczerpane.

Boisbaston dostrzegł ją i pomachał ręką, a potem zsiadł z konia i rzucił wodze Robbowi.

- Miło mi cię widzieć, pani - uśmiechnął się, podchodząc do niej i zdejmując hełm.

- Mnie również miło cię widzieć. Martwiłam się o ciebie. - Była zbyt zdenerwowana, by odpowiedzieć mu uśmiechem.

- Potrafię o siebie zadbać, pani. To ja niepokoiłem się o ciebie. Czasem trudniej poradzić sobie z ludzkim gadaniem niż z uzbrojonym przeciwnikiem na turnieju.

Nie chciała, by czuł się jeszcze bardziej winien, toteż próbowała zlekceważyć to, co się wokół niej działo.

- Mogło być gorzej - rzuciła.

Doszli do wewnętrznej bramy. Elmer i Alfric, którzy tego dnia pełnili straż, nie spiesząc się, stanęli na baczność, obrzucając przy tym Gillian i Bayarda spojrzeniem, od którego jej twarz pokryła się rumieńcem. Widząc to, rycerz wpadł w furję.

- Bezczelne psy! Czy już zapomnieliście, kto jest waszą panią? - wykrzyknął. Złapał zdumionych żołnierzy za kołnierze i pchnął na dziedziniec. - To jest pani na Averette i na

Boga, macie jej oddawać należny szacunek, bo inaczej pożałujecie. Lindall!

Zastępca komendanta pojawił się w drzwiach koszar.

- Panie? - zapytał, przenosząc wzrok z przerażonych strażników na rozwścieczonego dowódcę.

- Masz jutro zakuć te dwa bezczelne psy na cały dzień w dyby. I to samo zrób z każdym łajdakiem, który odważy się traktować lady d'Averette bez należnego jej szacunku. Rozumiesz, co mówię?

- Tak, panie - odrzekł Lindall, najwyraźniej zdziwiony tym wybuchem. - W dyby na cały dzień.

Bayard spojrział na Gillian.

- Powinnaś mi powiedzieć, że tak to wyglądało.

- Wiedziałam, czego mogę się spodziewać - odrzekła cicho. Powinna być tu wzorem dla wszystkich. Poddając się požądaniu, straciła prawo do szacunku podwładnych. Pomyślała, że z czasem, po wyjeździe Boisbastona, może uda jej się odzyskać respekt. Ludzie ją lubili, więc nie było to niemożliwe.

- Chodź, jesteś wyczerpany i głodny. Przygotowałam dla ciebie wieczerzę.

Obawiała się, że zacznie protestować, na szczęście jednak nie uczynił tego. A gdy poprowadziła go nie do świetlicy, lecz do jego komnaty, uniósł tylko brew.

- Ponieważ wszyscy i tak już wiedzą o ostatniej nocy, to nie musimy zachowywać naszych uczuć w tajemnicy - wyjaśniła.

- Chyba nie - zgodził się z ulgą.

Stanął w progu swojej sypialni i szeroko otworzył oczy na widok szaflika wyścielonego płótnem i napełnionego do połowy. Obok, na palenisku, stały trzy brązowe konwie z gorącą wodą.

- Kąpiel?

- Pomyślałam, że po całym dniu spędzonym w siodle na pewno jesteś obolały.

Zdawało się, że zmęczenie widoczne w rysach jego twarzy opadło z niego jak płaszcz. Jego uśmiech rozgrzał kobietę bardziej niż żar na palenisku.

- Już czuję się znacznie lepiej - powiedział niskim głosem.

- Cieszę się - odrzekła, hamując namietność. - A teraz zdejmij zbroję, panie rycerzu.

- Z przyjemnością - rzekł.

Wzięła od niego hełm i położyła na skrzyni. Gdy się odwróciła, siedział na skraju łóżka. Nie uśmiechał się już; w jego oczach malowała się troska.

- Kąpiel to wspaniały pomysł, ale niech Bóg ma mnie w swojej opiece, Gillian - powiedział. - To musiał być dla ciebie okropny dzień. Podejrzywałem, że będzie ci trudno, gdy ludzie się dowiedzą, że spędziłaś ostatnią noc ze mną, ale gdy przekonałem się, jak na ciebie patrzą...

- Bayard, nie jestem dzieckiem - przerwała mu. - Idąc do twojej komnaty, wiedziałam,

co może mnie czekać. - Lekko pocałowała go w usta i dodała: - Wszystko jest w porządku. Niczego nie żałuję. Zrobiłabym to jeszcze raz, bez wahania.

W jego oczach błysnęła ulga.

- Doprawdy?

- Z radością - szepnęła.

Podniósł się i wziął ją w ramiona. Przechyliła głowę i uśmiechnęła się lekko.

- Czy myślisz, że jestem tak słaba, że nie poradzę sobie z uwagami żołnierzy i lekceważeniem służby? Czy mam stąd uciec i ukryć się gdzieś? A może powinnam nałożyć włosienicę, posypać głowę popiołem i lamentować, jaki okropny grzech popełniłam, choć nigdy w życiu nie czułam się równie szczęśliwa jak teraz?

- Naprawdę tak się czujesz?

- Naprawdę.

- Ja też jeszcze nigdy nie byłem tak szczęśliwy - westchnął i przytulił ją. - Z całego serca pragnąłbym, byś mogła zostać moją żoną i byśmy już zawsze mogli być razem.

Gillian spróbowała się roześmiać.

- Bardzo bym tego pragnęła, Bayardzie. Pomyśl o dzieciach, które moglibyśmy mieć. Urodę odziedziczyłyby po tobie, a inteligencję po mnie.

Próbowała żartować z ich sytuacji, ale naraz wypełniła ją niewypowiedziana tęsknota, by urodzić mu dzieci - przystojnych, wesołych synów o szerokich ramionach i ładne, czarujące córki z ciemnymi lokami i brązowymi oczami.

- Oddałbym wszystko, by zostać twoim mężem i ojcem twoich dzieci - wymruczał, całując ją w policzek - Kocham cię, Gillian. Zawsze będę cię kochał.

Zajrzała mu w oczy i ujrzała w nich szczerość.

- A ja zawsze będę kochać ciebie.

Wziął ją w ramiona i pocałował, powoli i delikatnie. Serce zaczęło jej bić szybciej.

- Lepiej weź kąpiel, zanim woda wystygnie - powiedziała. W jego oczach pojawił się wesoły błysk.

- Czy bardziej przejmujesz się temperaturą wody, czy tym, że śmierdzę?

- Jednym i drugim.

- Teraz zraniłaś moje uczucia - odrzekł, wydymając usta. - Za karę będziesz musiała tu zostać i pomóc mi zdjąć zbroję.

- Z przyjemnością, panie.

- Bezwstydną dziewczką - rzekł ze śmiechem.

- Nie ruszaj się. Pozwól, że ci pomogę.

- Ale ja mam ochotę się ruszać - odrzekł, wyciągając ręce w jej stronę.

Gillian zręcznie wysunęła się poza zasięg jego ramion.

- Jeśli nie zechcesz ze mną współpracować, panie, to zanim zdążę cię rozebrać, woda będzie już całkiem zimna.

- No i bardzo dobrze - mruknął. Znieruchomiał jednak na chwilę i udało jej się zdjąć mu kolczugę.

- Wydaje mi się, pani, że chcesz po prostu rozebrać mnie najszybciej jak to możliwe - zauważył, gdy odkładała kolczugę do skrzyni.

- Może masz rację - rzekła i rozpięła mu kaftan, choć bez przeszkód mógł to zrobić sam.

- Jesteś bezwstydną - jęknął. Zrzucił kaftan i sięgnął do nogolenników. Ze zdziwieniem zauważył, że Gillian przysiadła na skraju łóżka. Przyciągnął ją i pocałował w szyję.

- Jeśli będziesz mnie trzymał tak blisko siebie, to nie uda mi się rozwiązać ci nogawic - powiedziała i zdała sobie sprawę, że on tymczasem sięga do troczków jej sukni. - Co ty robisz?

- Nie chciałbym cię urazić, pani, ale wydaje mi się, że tobie również przydałaby się kąpiel.

- W tym samym szafliku?

Ściągnął chustę z jej głowy, odrzucił na bok i przesunął dłonią po rozpuszczonych włosach.

- A czy masz coś przeciwko temu? - zapytał, wsuwając rękę pod jej gorset.

- Po prostu nie przyszło mi to wcześniej do głowy.

- A czy ta myśl nie wydaje ci się pociągająca?

Odsunął się i zrzucił nogawice. Gillian przyciskała rozluźniony gorset obiema dłońmi do piersi.

- Muszę przyznać, że wydaje mi się bardzo pociągająca - przyznała.

- W takim razie zdejmij suknię i koszulę i dołącz do mnie - zaproponował, wchodząc do wody.

Z mocno bijącym sercem zrzuciła suknię.

- Cóż za widok dla zmęczonych oczu - rzekł Bayard niskim, zapraszającym głosem. Uśmiechnęła się do niego tajemniczo i powoli zsunęła koszulę z jednego ramienia.

- Czy chciałbyś zobaczyć więcej, panie?

Gdy bez słowa skinął głową, obnażyła drugie ramię, a potem powoli zsunęła koszulę w dół. Oczy mężczyzny wędrowały w ślad za zsuwającą się tkaniną.

- Chodź tutaj, Gillian - szepnął.

Ignorując go, podeszła do paleniska i przyniosła jedną z konwi.

- Nie możesz się już doczekać, tak? Odsuń się teraz na bok. Nie chciałbym cię poparzyć.

Odsunął się, ona zaś wylała zawartość konwi do szaflika. Ledwie zdążyła odstawić puste naczynie na podłogę, usłyszała chłopot. Rycerz pochwycił ją wpół i wciągnął do wody.

- Bayard! - krzyknęła, lądując na jego kolanach.

- Gillian! - odpowiedział i ze śmiechem obrócił ją twarzą do siebie. - Przepraszam, jeśli

cię zaskoczyłem. Nie miałem cierpliwości czekać dłużej.

Jego dłonie zaczęły błądzić po jej ciele, a w ślad za nimi powędrowały usta. Żadne z nich nie zwracało uwagi na wodę, która wychlapywała się z szaflika i tworzyła rozległe kałuże na podłodze.

* * *

W końcu Gillian podniosła się, drżąc z chłodu.

- Myślę, Bayardzie, że ty również powinieneś wyjść z wody, bo się przeziębisz - powiedziała, sięgając po moką koszulę.

- Połóż tę koszulę na zydlu przy ogniu i wskakuj do łóżka.

Zarumieniona wsunęła się pod przykrycie. Położył się obok niej i otoczył ją ramionami, by ją rozgrzać, ale szybko zauważył, że coś jest nie tak.

- O co chodzi? Czy źle się czujesz? - zapytał z niepokojem.

- To bardzo głupie - odrzekła, opuszczając wzrok. Długie rzęsy rzucały cienie na jej policzki. - Chciałabym być piękniejsza.

Wszelkie ślady rozbawienia znikły z jego twarzy.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem - powiedział poważnie.

Popatrzyła na niego z żalem.

- To bardzo miło, że tak mówisz, Bayard, ale to nieprawda.

- To prawda - powtórzył żarliwie. - Uroda innych kobiet widoczna jest dla całego świata, ale twoje piękno jest szlachetniejszego gatunku. Nie zmieni się ani nie zblednie z wiekiem, bo pochodzi z twojego wnętrza. Twoja siła i determinacja, troska o ludzi, twoja miłość - to wszystko sprawia, że jesteś piękna, Gillian, i zawsze będziesz.

Przytuliła twarz do jego nagiej piersi, żeby nie zauważył łez zbierających się pod jej powiekami.

* * *

Tymczasem Frederic uwolnił jednego konia od liny pętającej wszystkie wierzchowce najemników. Na niebie świecił blady sierp księżyca. Richard i większość jego ludzi pogrążeni byli we śnie. Chłopak starał się zachowywać jak najciszej i udało mu się wskoczyć na siodło, nie płosząc innych koni.

Powoli i ostrożnie poprowadził wierzchowca wąską ścieżką między drzewami. Przez cały czas, gdy tu jechali, zwracał baczność uwagę na drogę. D'Artage próbował go zmylić, ale nie mógł przesunąć słońca na niebie. Znajdowali się na północny zachód od Averette, zapewne o jakieś dwadzieścia mil od zamku w linii prostej. Droga była dość daleka, ale koń był silny i powinien dotrzeć na miejsce, zanim...

- Dokąd się wybierasz, mój młody panie? - zapytał jakiś ochryply głos z cienia.

- Lord Richard prosił, żebym zawiózł wiadomość od niego.

Wielki łysiejący mężczyzna, który śmierdział jeszcze gorzej niż Ullric, wyszedł zza

osłony krzewów.

- Dokąd i do kogo?

- Nie muszę się przed tobą tłumaczyć - parsknął Frederic.

Najemnik wyciągnął miecz. Miał jeszcze jeden za pasem, a obok sztylet. Nie nosił zbroi, tylko skórzany pancerz. Uśmiechał się wzgardliwie. Podobnie jak pozostali bandyci, ten również uważał zapewne giermka za rozpieszczonego panicza, któremu zabrakłoby zimnej krwi i determinacji, by zabić człowieka.

Śmierzący łajdak podchodził coraz bliżej, a chłopak czekał, tak jak uczył go sir Bayard. Czekaj, żeby nie zmarnować szansy. Czekaj, aż dostrzeżesz najlepszy, najbardziej wrażliwy punkt. Czekaj, żeby twój przeciwnik pomyślał, że się go boisz, a jeśli naprawdę się go boisz, tym bardziej czekaj. A potem uderz raz, a dobrze. Druga okazja może ci się nie trafić.

Czekał zatem i wkrótce cuchnący łajdak przekonał się, jak bardzo nie docenił Frederica de Sere.

Rozdział dwudziesty pierwszy

- Czy twoja koszula już wyschła? - zapytał Bayard niedługo przed świtem, naciągając nogawice.

Szaflik, pełen zimnej już wody, wciąż stał pośrodku komnaty. Nie wychodzili z niej przez całą noc; nie było takiej potrzeby, nikt ich nie szukał.

- Trochę wilgotna, ale da się założyć - odrzekła Gillian, zerkając na niego przez ramię.

- Nie chciałbym, żebyś się przeziębiła. Zaczekaj tutaj, a ja znajdę Selthę i powiem jej, żeby ci przyniosła inną.

- Absolutnie nie. Sama wiem, czy koszulę można założyć, czy nie. Nie jestem dzieckiem, powinienes się już o tym przekonać.

Bayard otoczył ją ramionami i przytulił do piersi.

- Moja pani, doskonale wiem, że jesteś kobietą. - I nie jestem głupia.

- Na rany Boga, nie! - zawołał z udawanym przerażeniem. - Ze wszystkich ludzi, których spotkałem, ciebie z pewnością nie można nazwać głupią. Przy tobie nawet Armand wydaje się błaznem.

Poczuł, że zeszywniała, i obrócił ją twarzą do siebie.

- Co się stało?

Wzruszyła ramionami.

- Nie zawsze jestem poważna.

- Wiem o tym. - Pocałował ją w czoło. - Czy mówiłem ci już, że uwielbiam twój śmiech?

Podniosła oczy i spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Naprawdę?

- Bardzo. I twój taniec. O ile sobie przypominam, przy zniwach zupełnie nie zachowywałaś powagi.

Oparła głowę o jego pierś.

- Bardzo się wtedy martwiłam, że zachowałam się nieodpowiednio, ale biorąc pod uwagę to, co wyprawiałam od tamtego dnia...

- Martwiłaś się zupełnie niepotrzebnie - stwierdził. - Ale dość już tego, kobieto. Muszę wyruszyć na patrol, a ty nałóż suknię, bo jeśli się nie ubierzesz, to ja stąd nie wyjdę, a w dodatku będę próbował zatrzymać cię przy sobie. Potrafię być bardzo przekonujący, pani. Jeszcze nie miałaś okazji doświadczyć, jak bardzo, toteż zapewne zostałąbyś ze mną i twoje obowiązki domowe znacznie by na tym ucierpiały.

Pomimo wysiłków nie udało mu się jej rozweselić. Z poważną twarzą sięgnęła po suknie.

- Nie możemy tego robić. Zbyt wiele mamy zmartwień: śmierć Dunstana, zdrajcy i Frederic.

Oczywiście, Bayard pamiętał o tym wszystkim. Dobrze wiedział, że udaje im się zapomnieć o kłopotach tylko na krótką chwilę, w swoich ramionach.

Gillian spojrzała na niego przestraszonymi oczami.

- Czy sądzisz, że twój giermek nie żyje?

Była zbyt inteligentna, by uwierzyć w pocieszające kłamstwo, a zresztą nie zamierzał traktować jej jak słabej kobiety, która nie potrafi przyjąć do wiadomości prawdy.

- To jest możliwe, ale sądzę, że w takim wypadku znaleźlibyśmy jego ciało. Przez cały czas mam nadzieję, że postanowił wrócić do domu, do ojca, i że zapłacił komuś, by go tam zabrał. Wóz zapewne nie byłby dla niego wymarzonym środkiem transportu, ale z drugiej strony nie miał zbyt dużo pieniędzy.

- A co z zabójcami Dunstana i z Richardem d'Artage'em? Czy sądzisz, że udało im się uciec?

- Nie wiem, ale nadal będę ich szukał - odrzekł Bayard, zapinając pas.

- Dokąd wybierasz się dzisiaj?

- Na północ wzdłuż rzeki.

* * *

Richard patrzył z wściekłością na idiotę, który pilnował koni.

- Co to znaczy, że koń zniknął, a ty nic nie widziałeś ani nie słyszałeś?

- Tak jak mówię - odrzekł Duńczyk. W kącikach jego ust pojawiła się piana, ledwo widoczna spod gęstej brody, a w świńskich oczkach błysnął strach. - Wydaje mi się, że on wczoraj wieczorem dosypał mi czegoś do wina, żebym usnął.

- Sądzisz, że przez cały czas ukrywał w fałdach szaty napor nasenny? - wściekał się d'Artage, mocniej zaciskając dłoń na rękojeści miecza. Zastanawiał się jednak, czy strażnik

nie ma racji. Może ten chłopak od samego początku planował zdradę, a jeśli tak, to dokąd mógł się udać? Do domu, do ojca, przestraszony tym, w co się wplątał, czy też do Averette, żeby ostrzec Bayarda i zrujnować wszystkie ich plany? A może to sam Boisbaston przysłał do niego Frederica, by ten dowiedział się jak najwięcej o ludziach, którzy zabili tego głupiego ochmistrza?

Z kępy pobliskich drzew wypadł Ullric. Richard nigdy nie przypuszczał, że przywódca najemników potrafi tak szybko biegać.

- Juan nie żyje. Jego ciało leży w lesie. D'Artage zaklął pod nosem.

- Gdzie?

Zdyszany, spocony i śmierdzący bardziej niż zwykle Ullric wskazał dłonią w kierunku Averette. Z ust szlachcica wyrwało się kolejne przekleństwo.

- Uduszę tego szczeniaka własnymi rękami!

- Kogo, tego chłopca? - zapytał tamten z niedowierzaniem. - Sądysz, że to on zabił Juana?

- Głupiec! Idiota! A któżby inny? Gdyby to był Bayard albo któryś z jego ludzi, to już by nas zaatakowali. Giermka nie ma i zginął jeden koń.

- I co teraz?

- Zamknij się i pozwól mi pomyśleć.

Ile czasu Frederic potrzebował, by dotrzeć do Averette i zdradzić swemu panu ich kryjówkę? Jak szybko Boisbaston i jego żołnierze mogli się tu pojawić? Richard przywiózł chłopaka do obozowiska okreśną drogą, więc ten zapewne błądzi teraz w lesie, próbując znaleźć drogę do zamku, a potem wróci do punktu wyjścia albo będzie jeździł w kółko. To powinno dać im trochę czasu. Możliwe, że uciekinier jest jeszcze na tyle blisko, że udałoby się go złapać, nim dotrze do celu.

Matka d'Artage'a uciekła z prostym żołnierzem i pozostawiła syna pod opieką zgorzkniałego, pełnego złości ojca. Ten również go zdradził, żeniąc się powtórnie z młodą kobietą, która dała mu kolejnych synów. Przyrodni bracia zagarnęli jego dziedzictwo, pierwsza kochanka ukradła jego pieniądze i serce, a potem sprzedała się innemu, bogatszemu mężczyźnie. Król również go zdradził, nagradzając innych za mniejsze zasługi i zapominając o nim.

A teraz ten chłopak, mimo obiecanych mu bogactw i nagród, wystrychnął go na dudka i zdradził dla przystojnego rycerza, któremu przez całe życie podawano wszystko na tacy, który nawet podczas niewoli we Francji nie musiał znosić złych warunków i którego brat otrzymał w nagrodę rękę najpiękniejszej kobiety na dworze, Adelaide d'Averette, traktującej Richarda jak pył u swoich stóp.

Z jego gardła wyrwał się ryk. Rzucił się przed siebie i wbił sztylet w gardło Duńczyka. Tamten nie zdążył nawet westchnąć, nim zginął.

Dyszając ciężko, d'Artage patrzył na osuwające się na ziemię ciało. Dopiero po chwili

uświadomił sobie, że Ullric i pozostali żołnierze również na to patrzą.

- Zawiódł mnie - powiedział gwoli wyjaśnienia. Pochylił się i otarł ostrze sztyletu o szatę zabitego. - Taki los czeka każdego, kto mnie zawiedzie.

Wskazał na dwóch żołnierzy.

- Ty i ty, pochowajcie go, i to szybko. Potem nas dogonicie. Ullric, chodź ze mną.

* * *

Po mszy ojciec Matthew przywołał Gillian do siebie. Musiała przyznać w duchu, że już wcześniej spodziewała się tej rozmowy.

- Słyszałem bardzo niepokojące wieści, pani - powiedział - o tobie i sir Bayardzie de Boisbastonie.

Nie widziała sensu, by zaprzeczać.

- Jeśli słyszałeś, ojcze, że spędziłam noc w jego komnacie, to prawda, zrobiłam to.

- Czy rozmawialiście o sprawach posiadłości? - zapytał z nadzieją.

Była mu wdzięczna, że nie potępił jej natychmiast, lecz nie zamierzała ukrywać swego grzechu.

- Nie, nie rozmawialiśmy o Averette.

Twarz ojca Matthew poczerwieniała. Wyglądał, jakby zbierało mu się na mdłości.

- Jestem wstrząśnięty, pani. Wstrząśnięty i rozczarowany.

- Zdaję sobie sprawę, ojcze, że zachowałam się nieodpowiednio. Z radością odbędę spowiedź i poproszę Boga o wybaczenie, ale jesteśmy w sobie zakochani.

- To nie ma znaczenia - zawołał ksiądz z niesmakiem. - Nie jesteście małżonkami i nie możecie wziąć ślubu. Kościół nie zezwala na takie związki.

- I właśnie dlatego nie czekaliśmy na ślub - odrzekła Gillian stanowczo, splatając dłonie. - Kochamy się, ojcze Matthew.

Ksiądz uciszył ją władczym gestem, jakiego nigdy jeszcze u niego nie widziała.

- Twój nieprzystający kobiecie sposób życia musiał w końcu doprowadzić do czegoś podobnego. Wielokrotnie ostrzegałem twoją starszą siostrę, że wszystkie was czeka smutny los, jeśli nie wyjdziecie za mąż. I teraz dzieje się to, co przepowiedziałem. Gdyby wasi rodzice mocniej wpoili wam panieńskie cnoty! A teraz widzimy skutki ich zaniedbań. Twoja starsza siostra bierze ślub z nieprzystojnym pośpiechem, ty w ogóle nie wychodzisz za mąż i tylko Bóg jeden wie, jaki los czeka twoją młodszą siostrę. Nie zdziwiłbym się, gdyby dokończyła swoich dni w burdelu.

Gdyby ojciec Matthew mówił tylko o niej i jej grzechu, być może Gillian udałoby się zachować spokój, ale ośmielając się rzucać kalumnie pod adresem jej sióstr, posunął się za daleko.

- Rozumiem, że miłość pozamałżeńska jest grzechem - powiedziała cicho. - Mój ojciec starał się wpoić córkom panieńskie cnoty w taki sposób, że bił nas za wszystko, co jego zdaniem było niewłaściwe. Miałyśmy być łagodne i posłuszne jak naszą biedną matką, która,

przez wiele lat próbując dać mu syna, wycierpiała z jego ręki więcej okrucieństwa niż ty, ojcze, czy jakkolwiek inny mężczyzna potrafi sobie wyobrazić. On zaś brał ją siłą, dopóki nie osłabła tak, że nie była w stanie podnieść się z łóżka. Można powiedzieć, że ją zabił tylko dlatego, że córki nie były dla niego wystarczająco dobre.

Z rękami opartymi na biodrach, trzęsąc się z gniewu, mówiła dalej:

- Gdybym była mężczyzną, władcą tego zamku, i gdybym wzięła do łóża kobietę, nie zamierzając się z nią ożenić, czy powiedziałbyś mi to samo? Czy wówczas też ośmieliłbyś się łajać mnie jak nieposłuszne dziecko? Nie, ojcze. Robisz to tylko dlatego, że j

- Lady Gillian - rzekł mężczyzna głębokim głosem, który jednak nie był tak atrakcyjny jak głos Bayarda. - To dla mnie wielka przyjemność i zaszczyt. Bardzo pragnąłem poznać obydwie szwagierki.

Szcześnie pani zamku nieco przygasło. Obawiała się powiedzieć im, że Lizette jeszcze nie wróciła, choć wiedziała, że musi to zrobić.

- Lizette nie...

- Wiem o tym. - Adelaide pocieszyła ją uśmiechem. - Jeszcze przed wyjazdem z dworu dostaliśmy od niej wiadomość. Zdaje się, że zachorowała po drodze, choć Bogu dzięki nie jest to nic poważnego. Iain jest z nią.

Gillian poczuła ulgę. Ciężar w jej piersi zelżał. Skoro Mac Kendren odnalazł jej młodszą siostrę, to miała pewność, że Lizette jest bezpieczna i wkrótce wróci do domu.

- Gdzie jest Bayard? - zapytał Armand.

- Na patrolu. Zdarzyło się coś jeszcze - odrzekła. - Wejdźcie do świetlicy, wszystko wam opowiem.

* * *

Przez chwilę Adelaide podziwiała gobelin, który wisiał teraz nad podwyższeniem, po czym gospodyni zaproponowała, aby przeszli do wieży. Po świetlicy kręciło się zbyt wielu służących, którzy, uszczęśliwieni widokiem starszej siostry swej pani i ciekawi jej męża, udawali, że mają tu coś do zrobienia.

Gdy już znaleźli się w zacisznej izbie, kobiety usiadły na krzesłach, zaś Armand oparł się o parapet okienny i skrzyżował ramiona na piersi równie szerokiej jak pierś Bayarda. Gillian naprędce opowiedziała im o wszystkim, co zdarzyło się od chwili śmierci Dunstana. Goście byli wstrząśnięci, gdy usłyszeli, że wśród morderców ochmistrza jest być może Richard d'Artage i że Frederic de Sere zaginął.

- Zawsze uważałam Richarda za tchórza, który nie potrafi nic zdziałać na własną rękę - rzekła Adelaide, bawiąc się złotym krzyżykiem wysadzonym szmaragdami, który miała na szyi. - Nigdy bym nie przypuszczała, że przyjedzie tutaj sam, nawet w przebraniu.

- Ja też nie - zgodził się Armand ponuro. - Ale żadne przebranie nie jest w stanie go ocalić. Znajdziemy go.

- Mamy obawy, że Frederic okazał się niegodny zaufania - rzekła Gillian. - Lękamy się, że dołączył do buntowników.

Niestety, są powody, by przypuszczać, że nie jest tak honorowy, za jakiego uważał go Bayard.

Opowiedziała im o uwiedzeniu Deny i zachowaniu giermka, gdy sprawa wyszła na jaw.

- Biedna dziewczyna - rzekła Adelaide ze współczuciem. - Jak ona się teraz czuje?

- Wkrótce powinna zupełnie wyzdorzeć. Zapewniłam ją, że może zostać w Averette. - Gillian zerknęła na szwagra, niepewna, czy pochwała taką decyzję. On jednak wydawał się

zadowolony.

- I bardzo dobrze - powiedziała jego żona stanowczo. - Nie musisz się obawiać, że Armand będzie miał coś przeciwko temu. Nadal jesteś panią na Averette, tak jak ci obiecaliśmy.

Gillian zastanawiała się jednak, co powiedzą na wiadomość, że ona i Bayard zostali kochankami. A jeśli o tym usłyszą, to od kogo? Od służących? Wątpiła, by służba odważyła się o tym mówić. Od żołnierzy? Oni zapewne podzieliliby się nowiną z Iainem, ale jego tu nie było. Od ojca Matthew? To wydawało się najbardziej prawdopodobne.

Podniosła się z krzesła.

- Na pewno jesteście zmęczeni i głodni. Wróćmy do świetlicy, każę podać posiłek. Musimy pozwolić służącym obejrzeć twojego męża, Adelaide, bo inaczej nie będą się potrafili niczym zająć.

- Mam być wystawiony na pokaz? - zdziwił się lord de Boisbaston.

- Muszę się tobą pochwalić - odpowiedziała jego małżonka i pocałowała go lekko. Na ten widok Gillian poczuła, że chce jej się płakać.

* * *

- To prawda, panie, przysięgam na moje życie! - zawołał Frederic, klęcząc na ziemi przed Bayardem. Lewy policzek miał czerwony po upadku z konia, a z prawej łopatki sterczała mu strzała, którą wystrzelił jeden z walijskich łuczników z Averette, gdy giermek nie posłuchał rozkazu, aby się zatrzymać i ujawnić swoją tożsamość.

Chłopak mógł poruszać ręką, a rana nie krwawiła obficie, toteż Boisbaston był zupełnie pewien, że nie jest groźna.

- Byłeś z Richardem po to, by odkryć jego plany, a nie po to, by mnie zdradzić? - powtórzył, nie próbując ukrywać powątpiewania. Miał jednak nadzieję, że Frederic mówił prawdę, jakkolwiek jego słowa brzmiały mało prawdopodobnie.

- Chciałem udowodnić ci swoją wartość. Richard wciąż próbował mnie przekonać, że Jan jest złym królem, aż w końcu nabrałem podejrzeń. Powtarzał mi też ciągle, jakim jesteś okropnym człowiekiem, i proponował, że zawiezie mnie do domu, do ojca. Ale gdy pił, nie mówił jak kupiec. Chyba wtedy zapominał, że odgrywa rolę. Powiedział, że jeśli chcę porzucić służbę u ciebie, to mam się z nim spotkać w gospodzie, a wtedy przedstawi mi lepszą propozycję. Nie byłem pewien, co to może być, nie wiedziałem, czy on jest buntownikiem, czy po prostu nie lubi Jana i ciebie, panie, więc zdecydowałem się przyjąć tę propozycję i przekonać się, o co tak naprawdę chodzi. Właśnie wtedy powiedział mi, kim naprawdę jest. Udawałem, że mu uwierzyłem i że chcę się do nich przyłączyć. A potem spotkałem tych ludzi. Sir Bayardzie, oni są straszni, brutalni i podli. To oni zabili Dunstana. Wróciłem, by ci o tym powiedzieć. Richard d'Artage jest złym człowiekiem i zdrajcą. Trzeba go powstrzymać.

Boisbaston wyciągnął rękę i pomógł chłopakowi podnieść się na nogi.

- Czy na pewno powiedział, że nazywa się Richard d'Artage?

- Tak, choć buntem dowodzi kto inny. Ullric, dowódca tych najemników, powiedział mi, że to ten drugi im płaci.

- Kto to taki?

- Nie wiem. D'Artage nigdy o nim nie wspominał, a ten Saksończyk też nie powiedział nic więcej. Wymknęło mu się to tylko raz, kiedy był pijany. Powtarzał, że Richard nie powinien się zachowywać, jakby był Bogiem Wszechmogącym, skoro jest tylko psem na smyczy magnata. Buntownicy chcą cię zabić, sir Bayardzie, a także twojego brata i każdego szlachcica, który wspiera króla Jana.

Rycerz zacisnął szczęki. To był spisek, o którym opowiadał mu Armand. Ani on sam, ani jego brat nie kochali Jana, który był zachłanny, niemoralny, głupi, samolubny i nie nadawał się na króla, ale alternatywą była anarchia i być może inny władca, który mógł się okazać jeszcze gorszy. A poza tym Boisbaston złożył królowi przysięgę na wierność.

- Lindall też cię zdradził - ciągnął Frederic, dysząc ciężko. - Sprzedał d'Artage'owi informacje o tobie i o patrolach, gdzie będziesz i kiedy.

- Lindall? - powtórzył rycerz z niedowierzaniem, równie zdumiony jak stojący dokoła żołnierze, którzy zaczęli mruczeć między sobą i wymieniać sceptyczne spojrzenia.

- To kłamstwo! - zawołał Alfric, zbliżając się do nich. - Lindall urodził się w Averette, jest drugim komendantem zaraz po Iainie, który mu ufa. Wszyscy mu ufamy!

- Popełniacie błąd, sądząc, że ktoś będzie lojalny tylko dlatego, że się tu urodził - odparował chłopak. - Richard dużo mu zapłacił. Widziałem to na własne oczy.

- Mało przekonująca historyjka. Kiedy to było, co? - zapytał Bran.

- Wczoraj rano. Lindall powiedział, że gdy wychodzi z zamku, nikt go nie pyta, gdzie idzie i po co.

Pewność siebie obydwu strażników opadła nieco. Również na pozostałych twarzach pojawiły się wątpliwości.

- Jak często się to zdarzało? To znaczy, jak często Lindall wychodził z zamku bez wyjaśnienia? - zapytał Bayard.

- Kilka razy - przyznał Alfric niechętnie. - Myślałem... wszyscy myśleliśmy, że ma jakąś kobietę w wiosce. Nie Peg, bo to nie byłby żaden sekret, ale, no... Żona młynarza zawsze patrzyła na niego życzliwie, więc sądziliśmy...

Boisbaston przeklął się za to, że nie był uważniejszy. Nie powinien ufać nikomu w Averette prócz Gillian.

- Przysięgam ci, sir Bayardzie, na moje życie, że jestem lojalny królowi namaszczoneму przez Boga i tobie - rzekł Frederic żarliwie, patrząc na niego błagalnym wzrokiem. - Jesteś godnym rycerzem, choć Richard opowiada o tobie różne kłamstwa. Chcę się stać taki jak ty, panie. Nie chcę być tchórzem i oszustem jak d'Artage, który wynajmuje zbirów spod ciemnej gwiazdy, by wypełniali jego polecenia. Chcę wrócić do Averette i

służyć ci jako giermek. - Wyprostował szczupłe ramiona i ciągnął z determinacją: - Chcę też powiedzieć Denie... prosić ją o wybaczenie. Jeśli wrzucisz mnie do lochu, niech tak będzie, ale chcę ją najpierw zobaczyć i powiedzieć jej, jak bardzo żałuję, że potraktowałem ją tak okrutnie. Spróbuję jej to jakoś wynagrodzić.

Bayard wierzył mu. Skrucha chłopaka sprawiała mu radość, ale teraz musiał się skupić na najpilniejszych sprawach.

- Robb, ty i Alfric zabierzecie Frederica z powrotem do Averette, a my pojedziemy dalej z patrolem i spróbujemy znaleźć Richarda.

- Będę ci potrzebny - zaprotestował giermek. - Mogę cię do nich zaprowadzić.

- Nawet gdybym ci uwierzył, a przyznaję, że skłonny jestem ci wierzyć, to teraz już ich tam nie znajdziemy - odrzekł rycerz. - Gdy zauważą, że zniknąłeś, uciekną albo zaatakują. Mam nadzieję, że..

Naraz obok nich świsnęła strzała i wbiła się w ziemię u stóp Boisbastona. Ten zaklął, chwycił chłopaka za ramię i odciągnął na bok

- Zjedźcie z drogi! - nakazał swoim ludziom, gdy z krzaków posypały się kolejne strzały. - Schowajcie się za drzewami!

Nim zdążył wsiąść na konia, usłyszał krzyk Frederica, który upadł na ziemię trafiony w bok. Teraz już z zarośli sypał się grad strzał. Bayard przerzucił sobie giermka przez ramię, wrzucił go na grzbiet swojego konia i sam wskoczył na siodło, po czym spiał Danceura do galopu, kierując się w stronę wiązów i dębów za trawiastą polaną.

Jedna ze strzał wbiła się w koński zad. Koń zarżał z bólu i potknął się, zrzucając obydwu mężczyzn na ziemię. Boisbaston natychmiast zrozumiał, co się dzieje, i przetoczył się na bok, nim upadający koń zdążył przygnieść mu nogi. Kręciło mu się w głowie, ale nie stracił świadomości. Podniósł się i zobaczył Frederica, który siedział obok na ziemi.

Usłyszeli stukot kopyt. Rycerz pochwycił tarczę, która wisiała przy siodle i odwrócił się. Najeżdżała ku nim kolumna mężczyzn prowadzonych przez jeźdźca w jaskrawoniebieskim kaftanie obrzeżonym szkarłatem i zielenią. To był Richard d'Artage.

Nie było już czasu, by szukać osłony wśród drzew. Bayard musiał zaufać żołnierzom, których sam wyszkolił. Był pewien, że potrafią dać sobie radę z bandą najemników. Ale ich przywódca należał do niego.

- Chodź tu, Richard - mruknął pod nosem, zapierając się nogami o ziemię. Wyciągnął miecz i był gotów na starcie z wrogiem. - Podejdz tu bliżej i przygotuj się na sąd boski.

Rozdział dwudziesty drugi

Czy ten człowiek oszalał? - zastanawiał się Richard, gdy uświadomił sobie, że to Bayard we własnej osobie stoi pośrodku drogi niczym żywy cel, uzbrojony tylko w miecz i tarczę. Zauważył wcześniej rycerza spadającego z konia, ale nie ośmielał się marzyć, że będzie to sam de Boisbaston.

- On jest mój! - wykrzyknął do najemników gotujących się do ataku i uniósł miecz. Zamierzał odrąbać przeciwnikowi głowę, a potem wysłać ją Armandowi w prezencie.

Kątem oka zauważył jakiś ruch za leżącym na grzbiecie koniem rycerza bezradnie wierzgającym kopytami. Tam był jakiś człowiek. W chwili, gdy Bayard wszedł na drogę i oburącz podniósł do góry miecz, ten ktoś zanurkował w powietrzu nad rannym zwierzęciem i pochwycił Richarda za kostkę, ściągając go z siodła.

D'Artage zaklął, stanął na nogi i zadał napastnikowi tak mocny cios, że niemal przerwał go na pół. Poznał giermka, ale nie poświęcając mu więcej uwagi, odsunął tarczą zakrwawione ciało na bok. Przez wrzaski żołnierzy z Averette i najemników walczących ze sobą oraz szczęk ich mieczy przebijał się jego bojowy okrzyk.

Krew dudniła mu w żyłach. Podszedł do Bayarda z uniesionym mieczem, trzymając tarczę w lewej ręce. Wyraz wściekłości, nienawiści i determinacji na jego twarzy świadczył o tym, że jeden z nich nie przeżyje tego dnia. Przeciwnik również zdawał sobie z tego sprawę, ale był pewien, że to nie on polegnie w walce. Nawet gdyby już wcześniej nie nienawidził tego zdrajcy za jego intrygi, to cios zadany biednemu Fredericowi wystarczył, by zabić buntownika bez wahania.

- Już nie żyjesz, d'Artage! - wykrzyknął, odsuwając od siebie żal po śmierci giermka, który próbował go ocalić. Chłopak powinien był zostawić ich samych. Richard nie był wprawny w walce; Bayard nie przypominał sobie, by tamten kiedykolwiek wziął udział w turnieju lub w ćwiczeniach na dworze.

- Szkoda tylko, że zabicie ciebie będzie zbyt łatwe. Nie zasługujesz na szybką śmierć - zawołał, gotując się do ataku. - Zasługujesz na śmierć zdrajcy!

- Arogancki chwalipięta, podobnie jak wszyscy synowie Raymonda de Boisbastona - parsknął d'Artage, krążąc dokoła niego. - Ty i twoi bracia uważacie, że jesteście jedynymi ludźmi na świecie, którzy potrafią skutecznie walczyć, tylko dlatego że pozwoliłem wam tak myśleć. Po co miałem za wcześnie popisywać się umiejętnościami? Ale jeśli znajdziesz się kiedyś w Italii, odszukaj Carla del Contiego. To wielki mistrz, dobrze mnie wyszkolił, z pewnością lepiej niż ten półgłówek, twój ojciec, potrafił wyszkolić ciebie. Był tylko prostym drwalem, zwykłym łajdakiem, a ty jesteś taki sam jak on.

- Zobaczymy, kto jest lepszy - odparował Bayard. Zauważył, że za każdym razem, gdy Richard robił krok prawą nogą, opuszczał i wykręcał nieco prawe ramię. Obracał się przy tym całym ciałem, dzięki czemu mógł lepiej chronić się tarczą. Był to dobry ruch obronny,

niósł jednak ze sobą pewne ryzyko, rycerz miał bowiem do przebycia nieco większą odległość, gdy chciał zadać cios.

- Los twój i Armanda jest już przypieczętowany - wołał d'Artage, nie spuszczać wzroku z miecza przeciwnika. - A co do jego żony, najpierw muszę się z nią zabawić i nauczyć ją trochę pokory.

Boisbaston roześmiał się pogardliwie.

- Teraz dopiero widzę, jaki jesteś głupi. Nie potrafiłbyś nauczyć niczego żadnej z dam z Averette.

- Przypuszczam, że ty za to potrafiłbyś to zrobić. Jestem pewien, że lady Gillian potrzebowała nieco instruktażu w tym, jak być kobietą. Powiedz, Bayardzie, jak się czuleś, będąc w łóżu z taką nienaturalną istotą? A może to cię właśnie w niej pociągało?

Wściekłość Boisbastona jeszcze wzrosła, ale opanował emocje. Niech tamten gada, co chce, pomyślał, i tak nie doczeka najbliższego świtu, zwłaszcza że najwidoczniej zaczynał się już męczyć - jego ruchy stawały się wolniejsze i oddychał ciężko. Człowiek, który za mało ćwiczył, stawał się zardzewiały jak porzucony miecz i powolny jak koń, który stoi tylko przy żłobie z owsem i rzadko wychodzi ze stajni.

Chcąc jeszcze bardziej go zmęczyć, Bayard udał, że zamierza się do ciosu. Richard uchylił się z łatwością, musiał jednak odskoczyć w bok, a potem w pośpiechu wrócić do wyjściowej pozycji. Tamten nie dał mu na to czasu i uderzył raz jeszcze, tym razem celując starannie. D'Artage bez trudu odparował także i ten cios. Rzeczywiście był dobrze wyszkolony, nawet jeśli nie przez Włocha, to w każdym razie przez kogoś, kto znał się na walce.

Wciąż dochodziły do nich odgłosy bitwy, choć okrzyków było już mniej i wydawały się coraz bardziej odległe. Boisbaston miał nadzieję, że jego ludzie zwyciężyli i ścigają uciekających najemników. Nie mógł sobie jednak pozwolić na odwrócenie uwagi, bo Richard naraz rzucił się na niego i dosięgnął mieczem jego tarczy z taką siłą, że omal jej nie roztrzaskał.

To było niebezpieczne. Jeszcze jeden taki cios i...

D'Artage znów przystąpił do ataku. Tym razem miecz Bayarda uderzył o jego miecz, spychając cios w dół. Uderzenie się powtórzyło. Miecz obrócił się w dłoni napastnika jak wąż. Był to szybki, potencjalnie śmiertelny cios. Boisbaston nie przypuszczał, że jego przeciwnik jest do tego zdolny, ale na szczęście zachował czujność i udało mu się odskoczyć. Nie uląkł się jednak, lecz zaatakował, wymierzając cios za ciosem w jego tarczę. Tamten zaczął się słaniać na nogach i cofać, nieubłaganie spychany do tyłu. Jego twarz ociekała potem, kropelki zbierały się na czubku nosa, pierś falowała z nadmiernego wysiłku. Był już wyraźnie zmęczony, toteż Bayard nie ustępował w ataku, posuwając się krok za krokiem systematycznie, jakby kosił zboże.

Naraz rozległ się świst strzały w powietrzu. Rycerz poczuł ukłucie tuż pod lewą

łopatką. Potknął się, ale na szczęście Richard był tak zaskoczony, że nie wykorzystał tego momentu. Nim zdążył sobie uświadomić, że Boisbaston jest ranny, ten już opanował się i znalazł poza zasięgiem miecza. Ciepła, wilgotna krew spływała mu po skórze, mocząc kaftan, ale grot nie utkwiał w ciele.

Jeśli d'Artage uwierzy, że rana jest śmiertelna, to może uda się zwabić go bliżej, pomyślał.

- Już po tobie - parsknął Richard, pewny swojej przewagi. - Teraz wystarczy jedno dotknięcie mojego miecza.

- To dotknij mnie. - Bayard zacisnął mocno zęby i opuścił tarczę, jakby brakowało mu sił, by ją utrzymać.

- Może po prostu będę stał i patrzył, jak upadasz. Potem ja i moi ludzie znajdziemy pozostałe twoje patrole i wytniemy je jeden po drugim, aż w Averette nie pozostanie żaden mężczyzna. Otoczymy zamek, a ja powiem lady Gillian, że albo mi się podda, albo podpale wioskę i wybiję wszystkich wieśniaków. Zdaje się, że twój brat poddał Marchant, gdy Filip zagroził czymś podobnym. Nie sądzisz, że ona się na to zgodzi?

Boisbaston był pewien, że lady d'Averette ugięłyby się przed taką groźbą.

- Ona jest tak samo głupia jak twój brat - ciągnął Richard. - Dostanę ją, a przez nią Armanda i Adelaide. Przybędą jej na ratunek, i to będzie ich koniec.

- Jesteś bardzo pewny siebie - odrzekł Bayard, przesuając się nieco w prawo, a potem w lewo. D'Artage z uniesionym mieczem szedł za nim. Przez cały czas zmuszał przeciwnika do ruchu, żeby go wyczerpać.

- Tak właśnie zrobię - mówił. - Zabiję twój brata, a potem dołączę do sił na północy i wkrótce będę w Westminster, blisko nowego króla.

- A któż nim będzie? Zdrajca wybuchnął śmiechem.

- Jeszcze nie wiem, ale każdy byłby lepszy niż Jan.

- Lepszy dla ciebie, a w każdym razie masz taką nadzieję. Nie powiodło ci się z Janem pomimo wszystkich twoich intryg. Dlaczego sądzisz, że poszczęści ci się bardziej z jego następcą, który już będzie wiedział, że nie można ci zaufać?

Bayard usłyszał świst następnej strzały i instynktownie zrobił unik w prawo. Ostrze wbiło się w ziemię tuż obok niego.

- Zostawcie go mnie! - wykrzyknął d'Artage, dostrzegając samotnego łucznika przyodzianego w rozmaite, niepasujące do siebie części zbroi. - On jest mój!

Człowiek uzbrojony w łuk cofnął się w głąb lasu. Nagle spomiędzy drzew wybiegł mężczyzna z toporkiem. Uciekał, jakby goniło go całe stado diabłów. Dostrzegł Boisbastona, zatrzymał się w miejscu, zawrócił i pognął w przeciwnym kierunku.

- Twoi ludzie uciekają! - zawołał rycerz triumfalnie.

- Tylko jeden - odparował Richard. - W każdej armii znajdzie się jakiś tchórz.

- A na każdym dworze jakiś zdrajca - odparł Bayard. Uniósł tarczę i znów przystąpił do

ataku, zapominając o ranie od strzały.

- Nie jestem zdrajcą! - zawołał d'Artage, cofając się. - Jan nie nadaje się do rządzenia, sam dobrze o tym wiesz. Każdy, kto ma choćby odrobinę rozumu, widzi, że to zwykły, zachłanny bufon, który doprowadzi kraj do ruiny i do tego, że rządy przejmie Filip. Dołącz do nas, pomóż nam zrzucić z tronu tę pijawkę, a obiecuję, że zostaniesz sowicie wynagrodzony!

Richard nie poruszał się już tak szybko, miecz w jego ręce zaczął drżeć. Jeszcze trochę, powtarzał sobie Bayard, jeszcze trochę. Trzeba pozwolić mu mówić, nie zostawiać chwili na odpoczynek i zyskać na czasie.

- Zgadzam się, że Jan jest beznadziejnym królem, ale próba zrzucenia go z tronu doprowadzi do anarchii i wojny domowej.

- Sprytni ludzie potrafią wiele zyskać w takich czasach.

- Albo nisko upaść. Tego właśnie chcesz dla Armanda, dla mnie i dla kobiet z Averette.

- Jeśli do nas dołączysz, zapomnę o waszych uczynkach w przeszłości.

- Mam uczynić sobie wroga z Armanda?

D'Artage potrząsnął głową, strząsając z brwi kropelki potu.

- Przekonaj go, żeby i on do nas dołączył. Będziecie cennymi sojusznikami.

- Jaką nagrodę możesz mi zaproponować? A może tylko twój pan ma prawo cokolwiek obiecywać? Może to do niego powinienem się przyłączyć?

- Jeśli mnie zabijesz, nigdy się nie dowiesz, kto to taki.

- Frederic już mi powiedział - skłamał Bayard.

- Nie mógł ci powiedzieć, bo nigdy mu tego nie zdradziłem.

- Wiemy więcej, niż ci się wydaje.

Boisbaston zauważył, że ruchy Richarda stawały się coraz powolniejsze, a w jego oczach malowała się niepewność. O to mu właśnie chodziło. Z oślepiającą szybkością uniósł miecz i zaatakował. Przeciwnik nie zdążył zablokować uderzenia, lecz ochroniła go zbroja. Zwrócił się w bok i oddał cios z nieoczekiwaną siłą, trafiając Bayarda w ramię. Mimo że jego pancerz pozostał cały, rozległ się trzask kości i przeszywający ból zmusił rycerza do odrzucenia broni i upadku.

D'Artage postawił na nim nogę i uniósł miecz. Używając tarczy jak taranu, Boisbaston pchnął go na ziemię i sam rzucił się na niego. Miecz tamtego pofrunął w powietrze i wylądował na ziemi.

Gdy powalony mężczyzna próbował złapać oddech, Bayard starał się sięgnąć po swój miecz. Zdrajca tymczasem złapał za górną krawędź jego tarczy i szarpał nią w jedną i drugą stronę. Ranny z okrzykiem bólu uwolnił ramię z pasków przytrzymujących tarczę, a wówczas Richard pchnął ją do góry, trafiając go w szczękę, i również sięgnął po utraconą broń.

Boisbaston przetoczył się na bok, a potem z wysiłkiem podniósł na kolana, po omacku szukając własnego miecza. Namacał jego rękojeść w chwili, gdy przeciwnik podszedł do

niego, słaniając się na nogach, i znów uniósł nad nim odnalezioną broń. Klęczący rycerz dźwignął się do góry, chcąc wbić ostrze w pierś Richarda, on jednak przejrzał ten zamiar i zdążył się cofnąć. Oddech miał dziwnie świszczący; musiał być ranny, ale jak do tego doszło? Bayard wiedział, że nie udało mu się przebić mieczem zbroi, a jednak d'Artage pochylał się na lewo, próbując osłaniać tę stronę ciała.

Żebra. Uderzenie tarczą musiało spowodować połamanie mu żeber. Podniesiony na duchu tym odkryciem Boisbaston stanął na nogi. Rana na plecach go paliła, a ból złamanego ramienia był nie do zniesienia. Prawą rękę miał zupełnie bezużyteczną, mógł jednak używać lewej. Mocno pochwycił nią miecz.

- Chcesz się poddać, Richardzie?

- Chyba od tych ciosów pomieszało ci się w głowie - odrzekł dworzanin przez zaciśnięte, blade usta. Uniósł swój miecz i przygotował się do jeszcze jednego ataku, ale Bayard z łatwością zrobił unik.

- Z moim rozumem wszystko jest w porządku, a jak tam twoje żebra? - zapytał prowokacyjnie.

- Doskonale - odparował tamten - a twoja ręka? Czujesz, jak złamane kości ocierają się o siebie? Zdaje się, że to bardzo bolesne.

To rzeczywiście było cholernie bolesne, ale Boisbaston zmusił się do śmiechu.

- Lord Raymond potrafił mi zadać większy ból - odparł.

- Ach tak, twój ojciec - wydyszał d'Artage. Jego skóra przybrała niezdrowy szary odcień. Trzymał teraz miecz w obydwu dłoniach. - To dopiero wzorzec honoru. Nic dziwnego, że próbujesz się dobierać do każdej kobiety, nawet do takich dziwnych stworzeń jak Gillian. Na rany Boga, człowieku, jakiej desperacji trzeba, by uwodzić kogoś takiego? A może chodzi o to, że ona jest twoją krewną, może podnieca cię grzeszność tego uczynku?

- Jeśli ktoś tu zgrzeszył, to nie ja - mruknął Bayard.

Richard znów postąpił w prawo i opuścił ramię. Jego przeciwnik błyskawicznie wykorzystał szansę. Z okrzykiem rzucił się do przodu i znów powalił go na ziemię. Tym razem to jemu udało się postawić stopę na piersi zdrajcy i przycisnąć, aż tamten krzyknął z bólu.

- Nie chcę cię zabić. Chcę wiedzieć, kto ci wydaje rozkazy.

- Wolę... umrzeć... niż powiedzieć...

- Jeśli nie ty jesteś na czele tej konspiracji, to możesz zachować życie.

- Wsadzisz mnie... do celi...

Boisbaston zawahał się. Co mógł zaoferować buntownikowi? Wygnanie? Czy człowiek taki jak d'Artage byłby zadowolony, gdyby musiał na zawsze opuścić kraj, żyć bez pieniędzy i władzy? Czy nie powróciłby, by szukać zemsty, tak jak zrobił to teraz, przybywając do Averette?

Z lasu wybiegł koń, niosąc na grzbiecie jednego z najemników, uciekiniera z bitwy.

Szarżował prosto na Bayarda.

Rozdział dwudziesty trzeci

Widząc, że na dziedziniec wjeżdżają resztki patrolu Boisbastona, Gillian podbiegła do bramy, desperacko wypatrując jego twarzy pośród jeźdźców. Kilku z nich było rannych.

- Przyniosę twoje lekarstwa - powiedziała Adelaide, która podążyła za nią.

Wzrok lady d'Averette padł na ciało przysłonięte płaszczem, leżące na grzbiecie jednego z koni. To nie mógł być on. Wiedziałyby, że zginął, czułaby to w sercu.

- Gdzie jest Bayard? - zapytała Robba, który powoli zsiadał z konia. Z głębokiego rozcięcia na jego czole spływała krew.

- Nie ma go tutaj? - zdziwił się, patrząc dookoła.

Może był oszołomiony od upływu krwi. Gillian miała nadzieję, że jego rana nie jest poważna, ale mogła to stwierdzić na pewno dopiero po zdjęciu hełmu.

- Wy wróciliście pierwsi - wyjaśniła.

- W takim razie niech Bóg ma go w swojej opiece - mruknął Robb, ocierając krew z twarzy. - Nie ma go z nami.

- Co się stało? - głęboki głos Armanda rozległ się za plecami kobiety.

Ranny żołnierz popatrzył na niego, a potem na swoją panią.

- Kto to jest?

Dopiero teraz Gillian przypomniała sobie o obowiązkach gospodyni.

- To jest lord Armand de Boisbaston. Wejdźcie do świetlicy i opowiedzcie, co się stało, a ja opatrzę wam rany. - Podniosła głowę i zawołała donośnie: - Wszyscy ranni do świetlicy!

Robb zachwiał się przy pierwszym kroku. Armand rzucił się do przodu, by go podtrzymać. Nie chcąc dłużej męczyć rannego pytaniami, pani zamku zatrzymała Alfrica, który, kulejąc, zmierzał do świetlicy.

- Kto zginął?

- Frederic de Sere, pani. Ten łajdak, który podawał się za kupca winnego, rozkroił go na pół od szyi aż po brzuch.

Rozległo się głośnie i żalosne zawodzenie. Dena, która stała oparta o drzwi świetlicy, na tyle blisko, by usłyszeć słowa Alfrica, szlochając, zaczęła osuwać się na ziemię. Gillian rzuciła się w jej stronę. Robb strząsnął z siebie podtrzymujące ramię Armanda i również podszedł do dziewczyny. Otoczył ją ramieniem i szepcząc coś cicho, podniósł ją na nogi, a potem, nie zważając na własną ranę, wprowadził ją do środka.

- Frederic zginął w walce, pani. Godną śmiercią - powiedział Alfric. - Próbował ocalić życie sir Bayarda.

- Próbował?

- Zrzucił tego Charlesa de Fenelona z konia, a wtedy tamten wymierzył mu cios.

- A co było potem?

- A potem, pani, byłem zbyt zajęty walką z jakimś germańskim barbarzyńcą, by patrzeć, co się dzieje. Zostałem oddzielony od wszystkich i spotkałem się z nimi dopiero po walce. Robb kazał nam wrócić tutaj.

- Bez sir Bayarda?

Alfric zmarszczył czoło.

- Robb powiedział, że lord Boisbaston pojechał za tym kupcem winnym. Nie wiem nic więcej.

- Rozumiem - skinęła głową, myśląc, że dopóki nie zobaczy ciała, będzie wierzyć, musi wierzyć, że on żyje, że jest cały i zdrowy. - Idź do świetlicy, obejrzę twoją nogę.

W tłumie koni, żołnierzy i chłopców stajennych wypatrzyła kilka służących z kuchni, które krążyły niespokojnie w pobliżu studni.

- Przynieście wody - zawołała. - Potrzebujemy dużo wody dla rannych. Seltha, przynieś mi wszystkie płótna, jakie tylko znajdziesz. Chłopcy stajenni niech idą po siano na posłania. Umberto, ugotuj gulasz i podaj miękki chleb. Edun niech naleje dwa antałki piwa dla tych, którzy nie są ranni. Zasłużyli na to.

Skupiając się na tym, co trzeba było zrobić od razu, zgarnęła spódnicę i wbiegła do świetlicy pełnej rannych i wyczerpanych mężczyzn. Adelaide już na nią czekała ze skrzynką z lekarstwami. Podwinęła długie rękawy sukni, odsłaniając szczupłe ramiona, i obwiązała się płótnem w pasie. Drugi kawałek płótna miała już przygotowany dla Gillian.

- Powiedz mi, co mam teraz robić.

- Pomóż mi znaleźć wszystkich najciężej rannych i zapytaj, czy ktoś wie, gdzie jest Bayard. A gdzie Armand?

- Poszedł dojrzeć koni i upewnić się, czy jesteśmy przygotowani na odparcie ataku.

- Wrogowie pewnie bardziej ucierpieli niż nasi ludzie. Chyba nie pozostało ich przy życiu tylu, by odważyli się zaatakować zamek.

- O ile był to jedyny oddział w tej okolicy - zauważyła Adelaide. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

Spojrzenie Gillian zatrzymało się na jednym z chłopców stajennych, który wszedł do świetlicy z naręczem siana.

- Zostaw to i idź do lorda Armanda - poprosiła. - Powiedz mu, że wszyscy wieśniacy wkrótce zjawią się w zamku, szukając tu bezpieczeństwa. Na pewno niektórzy z nich widzieli wracający patrol i już zbierają rzeczy, by się tu schronić. Potem znajdź Lindalla i każ mu przyjść do mnie.

Gdy chłopiec wybiegł, zwróciła się do Adelaide.

- Niektórzy wieśniacy będą potrzebowali pomocy. Chłopów z odleglejszych zagród należy ostrzec i sprowadzić tutaj. Każę Lindallowi wysłać po nich ludzi.

W nadziei, że wieśniacy pojawią się szybko, zajęła się rannymi. Na szczęście nie było

żadnych poważnych obrażeń, tylko kilka głębokich skaleczeń i uszkodzeń mięśni, które łatwo było opatrzyć. Nim skończyła, w świetlicy pojawił się Armand. Poznała po jego twarzy, że przynosi złe wiadomości. Nie czekając na pytania, sam zwrócił się do obydwu kobiet:

- Nigdzie nie można znaleźć Lindalla. Nikt go nie widział od rana. Gdy patrol wyjechały, oznajmił, że wybiera się do wioski.

Lady d'Averette poczuła, że brakuje jej powietrza w płucach. Zupełnie tak samo było z Frederickiem. Armand jednak nie wydawał się zaniepokojony, lecz zły.

- Wybacz mi, Gillian, ale muszę cię zapytać. Na ile ufasz Lindalłowi?

Spojrzała na niego zdumiona. Obecny zastępca komendanta był w zamku od czasów jej dzieciństwa.

- Powierzyłabym mu własne życie.

- Ja też - dodała Adelaide, najwyraźniej zdumiona pytaniem męża.

- Jeden z twoich ludzi powiedział mi, że Frederic twierdzi, iż Lindall zdradził. Sprzedał informację Richardowi, gdzie znajdzie Bayarda. Byłem na jego kwaterze i wygląda na to, że zanim wyjechał dzisiaj z zamku, spakował wszystkie swoje rzeczy.

Gillian pochwyliła siostrę za rękę i mocno uściśnęła.

- Boże drogi, kolejny błąd, kolejna porażka.

W ciemnych oczach Armanda pojawiło się współczucie.

- Zdrada przybiera wiele postaci. Czasami trudno ją dostrzec, a jeszcze trudniej pogodzić się z nią.

- Na razie w to nie wierzę - odrzekła. - Może jest jakieś inne wyjaśnienie. Ale najpierw musimy się dowiedzieć, co się stało z Bayardem.

Adelaide i jej mąż w milczeniu podeszli za nią do posłania, przy którym siedziała Dena, trzymając za rękę leżącego Robba. Na widok lady d'Averette próbował się podnieść. Jego rana mocno krwawiła, ale na szczęście nie była głęboka i czaszka nie została uszkodzona.

- Czy są jakieś wiadomości o lordzie Boisbastonie? - zapytał.

- Jeszcze nie - odpowiedziała ze smutkiem. - Co się właściwie zdarzyło?

- Zaczynaj od początku - dodał Armand.

Robb skinął głową, wziął głęboki oddech i spojrzał na Dene.

- Zaatakowali nas. Ten młody Frederic podjechał do nas i Ianto, sądząc, że chłopak jest wrogiem, trafił go w ramię strzałą. Ten Walińczyk zawsze za szybko sięga po łuk.

Ianto, który siedział w pobliżu, pijąc piwo, chrząknął w proteście.

- No przecież mówię prawdę - obruszył się Robb. - W każdym razie giermek upadł na ziemię. Sir Bayard zsiadł z konia i podszedł do niego. Niektórzy z nas próbowali go powstrzymać, sądząc, że to może być pułapka, ale nie słuchał. Frederic powiedział, że chce nas zaprowadzić do ludzi, którzy zabili Dunstana. Przewodzi im zdrajca - Richard jakiś tam.

- D'Artage? - zapytała Adelaide.

- Tak, właśnie tak - potwierdził ranny i znów spojrzał na Dene. W jego głosie i zachowaniu pojawiła się większa pewność. - Sir Bayard nie chciał mu uwierzyć, my wszyscy też nie, a gdy giermek oskarżył Lindalla, jakoby sprzedał informację temu Richardowi, byłem przekonany, że kłamie.

Na widok wyrazu ich twarzy Robb zmarszczył brwi.

- Jak to, wy w to wierzycie?

- Mamy powody - odrzekła Gillian. - Mów dalej.

- No cóż, pani, potem nas zaatakowali. Byłem pewien, że nie mylę się co do Frederica, ale trafiła go następna strzała, więc jeśli nawet on zdradził nas, to najemnicy zdradzili jego.

- Alfric powiedział nam, że chłopak zginął, gdy próbował pomóc Bayardowi - odrzekła.

- Wiedziałaś, że nie jest taki zły - szepnęła Dena ze łzami w oczach.

- I co jeszcze widziałeś? - zapytał Armand.

- Wcześniej, panie, sir Bayard kazał nam się cofnąć między drzewa. Wziął giermka na swojego wierzchowca i wtedy pojawili się ci jeźdźcy. Wyglądali jak diabły. Koń lorda Boisbastona dostał postrzał i upadł. On sam podniósł się i stał obok, czekając na atak przywódcy tamtych.

- Matko Przenajświętsza - szepnęła Gillian z przerażeniem.

- Nie zmiotli go z nóg, pani - pocieszył ją Robb. - Tyle jeszcze widziałem. Ostatnie, co dostrzegłem, to jego walkę z tym Richardem i zdawało mi się, że ma przewagę.

Poczwała ulgę. Ale jeśli Bayard zwyciężył przeciwnika, to dlaczego nie było go jeszcze w Averette?

Zwróciła się do pozostałych rannych.

- Czy ktoś jeszcze widział lorda Boisbastona podczas tej potyczki?

- Ja go widziałem, pani - zawołał Ianto. - Nasz dowódca powalił tamtego i sądziłem, że to już koniec, ale z lasu wypadł jeździec, prosto na niego. Sir Bayard usunął się z drogi, poruszając się nieco wolniej niż zazwyczaj, i w następnej chwili ten, który leżał na ziemi, Charles czy Richard, czy jak mu tam, podniósł się. Gdy uciekinier na koniu przejeżdżał obok, tamten złapał go za nogę, ściągnął z siodła i sam dosiadł wierzchowca. Ledwo się ruszał, ale jakoś mu się to udało, bo wiedział, że jeśli tego nie zrobi, to zginie. A potem jeszcze jeden z tej bandy wyjechał z lasu. Wszyscy tchórze już wtedy umykali z potyczki. Sir Bayard ściągnął tego drugiego z konia i sam na niego wskoczył. Zdawało mi się, że spadnie, ale nie spadł, tylko pojechał za tamtym londyńskim traktem. Biegłem za nim i wołałem, żeby poczekał na mnie, aż znajdę konia, ale się nie zatrzymał. Nie wiem, czy mnie słyszał, czy nie.

- Nie chciał ryzykować, że Richard mu ucieknie, szczególnie jeśli sądził, że ten zdrajca ma jakieś ważne informacje - powiedział Armand. - W każdym razie wiemy, w którą stronę pojechali.

- O ile zostali na drodze - mruknęła Gillian. Spojrzała przez okno i ze zdumieniem

zauważyła, że zapadł już zmierzch.

Wyobraziła sobie Bayarda rannego, leżącego samotnie gdzieś w ciemnościach. Ianto mówił, że poruszał się powoli. Może był ranny, a jeśli rana była poważna, liczyła się każda chwila. Zanosilo się na zimną, deszczową noc. Jeśli krwawił, to mógł nie przeżyć do rana. Może już nie żył.

Jej umysł i serce nie chciały się pogodzić z taką myślą. Należało go koniecznie znaleźć, i to bez zwłoki.

- Trzeba natychmiast wysłać ludzi na poszukiwania. Mogą wziąć ze sobą łuczywa.

Armand popatrzył na nią ze smutkiem.

- Bardzo bym pragnął go znaleźć, Bóg jeden wie jak bardzo, ale to za duże ryzyko. Jest nów. Nawet z łuczywami nie będziemy widzieli drogi, szczególnie jeśli zbczyli między drzewa. Jeśli Richard ma choćby odrobinę rozumu, a powinien mieć, to nie został na drodze właśnie dlatego, że zbyt łatwo byłoby go wypatrzeć. Przykro mi, Gillian, ale musimy poczekać do rana, a tymczasem módl się, by Bóg zachował Bayarda.

Rozum podpowiadał jej, że szwagier mówi rozsądnie. Pościg w ciemnościach mógłby tylko pogorszyć sprawę, zacierając jakieś ważne ślady. Jednak jej serce buntowało się na myśl, że ma siedzieć i czekać beczynn timer.

Adelaide położyła rękę na jej ramieniu.

- On ma rację, Gillian, choć wiem, że trudno ci się z tym pogodzić.

Musiała być silna i dzielna, tak jak jej ukochany.

- Dobrze - zgodziła się niechętnie - ale rano ja również przyłączę się do poszukiwań.

Armand miał ochotę zaprotestować, ale jego żona powiedziała:

- Bayard może być ranny, a w takim razie lepiej, żebyś miał Gillian przy sobie.

Lady d'Averette wyobraziła sobie jego ciało, zakrwawione, leżące gdzieś w rowie, i poczuła, że wzbiera w niej szloch. Opanowała się z trudem. Musiała być twarda, by pokazać szwagrowi, że potrafi poradzić sobie ze wszystkim, bo inaczej nie zechce wziąć jej ze sobą. Poza tym poddani potrzebowali jej siły. Musiała być dla nich opoką i ostoją w tych niebezpiecznych chwilach.

- Niech będzie - zgodził się Armand. - Wyjedziemy o świcie.

Uśmiechnął się do Gillian, próbując wlać w jej serce nadzieję.

- Postaraj się nie zamartwiać. Richard d'Artage jest bardziej dworzaninem niż rycerzem. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy znaleźli mojego brata siedzącego gdzieś pod drzewem obok jego truchła.

Bardzo chciała mu uwierzyć, ale wolała powstrzymać nadzieję, dopóki nie zobaczy Bayarda na własne oczy.

* * *

Obudził go ból - ostry w ramieniu i w plecach, tępy i ćmiący we wszystkich innych częściach ciała. W panujących dokoła ciemnościach nic nie widział.

W nocy spadł z konia na kępę janowca. Za bardzo kręciło mu się w głowie, by kontynuować pościg, toteż wczuł się pod krzak głogu i zwinął w kłębek jak zranione zwierzę. Koń sam pobiegł dalej. Bayard pomyślał, że odpocznie przez chwilę, a potem spróbuje pieszo wrócić do Averette.

Richard pojechał dalej, przez lasy i łąki, omijając zagrody chłopskie i brzeg rzeki, gdzie ktoś mógł go zobaczyć. Był ranny, miał złamane zębra, jak zatem udało mu się utrzymać na koniu? A może koń ściganego był bez jeźdźca, a sam d'Artage został gdzieś z tyłu?

Dobry Boże, oby nie.

Drząc i szczękając zębami, Boisbaston oblizwał suche, spękane usta i poczuł smak krwi. Musiał się podnieść, musiał się ruszyć, znaleźć wodę. Na nocnym niebie nad jego głową błyszczały gwiazdy, rzucały jednak niewiele światła. Gdzie się podział księżyc?

Był. W każdym razie skrawek księżyca, który nie oświetlał dostatecznie drogi. Ranny wiedział, że przed świtem zrobi się jeszcze zimniej. Jeśli uda mu się dożyć świtu.

Muszę dotrzeć - pomyślał, podnosząc się z wysiłkiem. Gillian na niego czekała, potrzebowała go, a on potrzebował jej. Nie może umrzeć, nie teraz, gdy spotkał kobietę, której miłość sprawiła, że poczuł się wartościowy, szanowany i dobry. Bez względu na to, co miała im przynieść przyszłość, musiał ją zobaczyć i jeszcze raz powiedzieć jej, jak bardzo ją kocha.

Kolana ugięły się pod nim, ale musiał, musiał wrócić do Gillian.

W przeszłości wielokrotnie stał całymi godzinami na dziedzińcu zamku Boisbaston pewien, że za chwilę upadnie, wyczerpany, głodny, spragniony i przemoczony, jeśli akurat padał deszcz. Nigdy się jednak nie poddał. Nie chciał dać ojcu tej satysfakcji. Był przekonany, że wytrwa, nawet gdyby miał umrzeć.

A teraz wiedział, że musi iść, nawet gdyby szedł na spotkanie śmierci.

A jeśli Richard również spadł z konia? Jeśli spotka gdzieś tego zdrajcę? Wciąż miał ze sobą miecz, ale czy wystarczy mu sił, by go podnieść?

Chory i obolały oparł się o drzewo. Chciał zatrzymać się tu tylko na krótką chwilę, ale kolana znów się pod nim ugięły. Wyprostował je resztką woli. Nazywał się Bayard de Boisbaston i nigdy się nie poddawał.

Rozdział dwudziesty czwarty

Następnego ranka Robb poprowadził stado chartów na smyczach w poszukiwaniu zaginionego. Towarzyszyli mu na koniach Gillian, Armand i kilku wojów.

Ranny żołnierz twierdził, że czuje się doskonale, a ponieważ jako tropiciel najlepiej nadawał się do tego zadania, pani zamku zgodziła się, by to on dowodził poszukiwaniami. Zauważyła pożegnalny pocałunek, jakim Dena obdarzyła go przed wyjazdem, i ucieszyło ją to, choć jednocześnie serce ścisnęło się jej z rozpaczy.

Dotarli do miejsca bitwy i ruszyli dalej ścieżką, którą pobiegły dwa konie. Kilku mężczyzn pozostało, by zająć się ciałami zabitych. Na szczęście nie należały do żołnierzy z Averette. Iain i Bayard dobrze ich wyszkolili, więc choć było sporo rannych, nikt nie zginął.

Nie dało się tego samego powiedzieć o napastnikach. Poprzedniego dnia mówiono o pięciu trupach, a tego ranka pod drzewami znaleziono jeszcze kilka innych. Widok był okropny; kruki zdążyły już się nimi zająć.

Gillian przyglądała się śladom kopyt na pasach trawy po obu stronach drogi.

Niestety, wyglądało na to, że konie szybko zjechały z drogi, przemierzyły pastwisko i zagłębiły się w las, który ciągnął się aż poza granice posiadłości.

Jechali teraz w półmroku między drzewami. Stuletnia warstwa gnijących liści tłumiła odgłos kopyt. Nikt się nie odzywał, w ciszy słychać było tylko skrzypienie skóry, oddechy koni i ciche stukanie glinianych naczyń dobrze owiniętych płótnem, by nie potłukły się w torbie, którą Gillian miała przytroczoną do siodła. Zabrała ze sobą maść tamującą krwawienie, napar z maku służący do tłumienia bólu i czyste płótno na bandaż. Choć była wyczerpana po bezsennej nocy, wszystkie zmysły miała wyczulone na każdy ślad konia czy człowieka, na cokolwiek, co mogłoby świadczyć o tym, że Bayard i Richard tędy przejeżdżali.

Od czasu do czasu spoglądała do przodu na Armanda, który we władczej postawie jechał na czele żołnierzy. Było jasne, że czuli do niego respekt jak do dowódcy. Było również oczywiste, że on bardzo się martwił o swojego brata, choć ostatniego wieczoru oboje z Adelaide próbowali ją pocieszyć. Siedzieli w świetlicy jeszcze długo po tym, jak wszyscy inni udali się na spoczynek.

- Bayard jest najtwardszym człowiekiem, jakiego znam - powiedział wówczas Armand, wyciągając przed siebie długie nogi. - Kiedy ojciec za karę kazał nam całymi godzinami trzymać wiadra z wodą albo z piaskiem, on zawsze wytrzymał najdłużej.

- Kazał jednemu z moich ludzi trzymać wiadra z wodą jako karę za pijaństwo - przypomniała sobie Gillian. - Twierdziła, że to mniej upokarzające niż dyby.

- Pewnie tak, choć ma się wtedy wrażenie, że lada chwila odpadną ci ramiona - odrzekł.

Gdy Armand wziął swoją żonę za rękę, lady d'Averette zatęskniła za dotykaniem

ukochanego.

- Pamiętam, kiedy po raz pierwszy stracił naprawdę kontrolę nad sobą - rzekł starszy brat. - Czy widziałas go kiedyś naprawdę rozgniewanego?

- Tak - odrzekła. Małżonkowie wymienili spojrzenia.

- Wtedy, kiedy zginął Dunstan - dodała.

- Ach, oczywiście - mruknął Boisbaston. - Okropna sprawa. Nawet nie zdążyłem go poznać.

- Myślę, że polubiłbyś go - powiedziała Adelaide, ściskając jego dłoń. - Był trochę podobny do Randalla.

To był przyjaciel, o którym Bayard wspominał, gdy opowiadał o kradzieży jabłek.

- Miałaś mi opowiedzieć o tym, jak twój brat pierwszy raz wybuchnął - domagała się Gillian.

Armand uśmiechnął się smutno.

- Szczerze mówiąc, wcześniej myślałem, że on w ogóle nie ma nerwów, co było dość dziwne, zważywszy na wybuchy furii jego matki. Ale pewnego dnia wybrał się na jabłka do pobliskiego klasztoru.

- Opowiadał mi o tym, jak spadł z drzewa.

- Mówił ci o tym?

- Tak. Zapytałam go, skąd ma tę bliznę na twarzy. Ale nic nie wspomniał o wybuchu wściekłości, mówił, że złamana gałąź rozerwała mu policzek.

- No cóż, tak było. Moja macocha obwiniła mnie za ten jego czyn, choć byłem wtedy zajęty nauką. Krzyczała i podniosła na mnie rękę. Nagle pojawił się Bayard ze świeżo zszytym policzkiem i zagroził jej, że jeśli mnie dotknie, to pożałuje. Nie jestem pewien, co by zrobił, gdyby mnie jednak uderzyła. Ona chyba też nie wiedziała. Może oddałby jej, a może poszedłby do ojca, ale w tamtej chwili wydawał się zdolny do wszystkiego, to było po nim widać. Matka nazwała go niewdzięcznym szczeniakiem, ale opuściła rękę i nigdy więcej nie uderzyła ani mnie, ani jego.

Gillian przypomniała sobie, jak rycerz stał za jej krzesłem podczas posiedzenia sądu, albo jak wyglądał wtedy, gdy usłyszeli o śmierci Dunstana i przywieźli jego ciało. Zdolny do wszystkiego? Nie wątpiła w to, jeśli zagrożony był ktoś, kogo kochał.

Ale był również zdolny do wielkiej dobroci i łagodności. Do miłości.

Jadący przodem Robb zatrzymał się na skraju niewielkiego wąwozu. Patrząc na niego, Gillian odniosła wrażenie, że za chwilę zacznie węszyć w powietrzu jak jeden z chartów, które skamlały i z podniecenia usiłowały wyrwać się z uwięzi. W końcu tropiciel uniósł rękę i wskazał kierunek.

- Tędy, w kierunku strumienia.

Nadzieja wzrosła w sercu lady d'Averette. Obydwoje z Armandem popędzili konie do galopu ku kamienistemu zboczowi, u podnóża którego płynął strumień. Na brzegu, twarzą

zwrócony w dół, leżał mężczyzna w zbroi i w hełmie. Kaftan, który miał na sobie, nie należał do Bayarda.

- D'Artage - mruknął Armand. Spojrzał na Gillian, zsiadł z konia i wyciągnął do niej rękę.

- Jeśli jeszcze żyje, to może nam powie, gdzie jest mój brat.

Skinęła głową i przyjęła pomoc, a potem zebrała spódnicę i zeszła po zboczu, ześlizgując się po kamieniach i nie spuszczać wzroku z leżącego. Dłoń miał zanurzoną w wodzie; zapewne próbował się napić, zanim stracił przytomność. Armand znalazł się przy nim pierwszy i ostrożnie przewrócił go na plecy.

To był człowiek, którego znała jako Charlesa de Fenelona. Kaftan na piersi miał zakrwawiony i wilgotny, oczy przymknięte, bladą twarz.

- Żyje, ale jest bliski śmierci - powiedział Boisbaston. Przyklęknął i podniósł wzrok na Gillian. - To jest Richard d'Artage.

Oddech leżącego był urywany i chrapliwy. Oznaczało to, że miał uszkodzone płuca, być może z powodu uderzenia lub upadku z konia. Jego twarz była poszarzała, a usta sinobłękitne. Choć poranek był chłodny, nie drżał, co świadczyło o wielkim osłabieniu - jego ciało nie miało już nawet tyle siły, by reagować na zimno.

Gillian nie miała wątpliwości, że patrzy na umierającego. Wątpiła, by cokolwiek jeszcze dało się dla niego zrobić. Mogła co najwyżej złagodzić jego cierpienie, ale najpierw trzeba było się dowiedzieć, gdzie jest Bayard.

- Niech ktoś przyniesie moją torbę - zawołała do Robba, który próbował powściągnąć wrywające się psy.

Czekając na lekarstwa, zagarnęła w dłonie trochę wody i przyłożyła do zakrwawionych ust Richarda. Zakaszła i zakrtusił się, po czym rozchylił powieki. Jego oddech przyspieszył. Usłyszała świst, który świadczył o tym, że powietrze wydostaje się z jego płuc pod zakrwawioną zbroją.

- Hełm - wymamrotał, ledwie dostrzegalnie unosząc rękę. Ostrożnie zdjęła ciężki hełm z jego głowy, zostawiając tylko czepiec.

- Gdzie jest Bayard? - zapytała, ujmując jego twarz w dłonie.

- Nie żyje.

Odrętwiała kobieta przysiadła na piętach i patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- W takim razie gdzie jest jego ciało? - zapytał Armand bez śladu współczucia i litości.

- Nie... wiem.

- Powiedz mi, gdzie go zostawiłeś? Bo jak nie, to, na Boga, zabiję cię w tej chwili.

Gillian wzięła swoją torbę od Toma i przytrzymała ją przed twarzą Richarda.

- Mam tu lekarstwa, które złagodzą twój ból. Dam ci je, jeśli powiesz nam, gdzie on jest.

Może d'Artage próbował ich jeszcze raz oszukać, może stracił konia albo zostawił go

gdzieś i wpełzł do tego wąwozu, a Bayard pojechał dalej?

- On... nie... żyje.

- To gdzie jest jego ciało? - powtórzył Armand jeszcze głośniejszym głosem. Twarz Richarda wykrzywiła się z bólu, oddech stał się płytszy, a okropny dźwięk z klatki piersiowej nasilił się.

- Może... nie... - wyszeptał. - Boli.

- Jeśli rozdzielili się w ciemnościach, to on może mówić prawdę - przyznał Boisbaston niechętnie. - Nie wie, gdzie jest mój brat ani czy w ogóle żyje. Czy ten napar przedłuży jego życie? Może udałoby się nam dowiedzieć chociaż tyle, gdzie ten łotr ostatni raz go widział. To też by nam pomogło.

- Dam ci to lekarstwo, jeśli mi powiesz, gdzie po raz ostatni widziałeś Bayarda - powtórzyła Gillian.

Ranny przymknął oczy.

- Proszę... pomóż...

Nie była w stanie odmówić. Otworzyła sakwę, wyjęła z niej gliniane naczynko z naparem z maku i pusty miedziany kubek, nabrała nieco wody ze strumienia i palcem wmieszała do niej trochę naparu, a potem przyłożyła kubek do ust Richarda. Nie odważyła się unieść mu głowy w obawie, że złamane żebra mogłyby przebić skórę. Zakaszła i zakrztusił się, ale połknął większość płynu.

Teraz trzeba było odczekać chwilę, aż mikstura zacznie działać. Gillian zaczęła się obawiać, że d'Artage przestanie oddychać, zanim ból się zmniejszy. W końcu jednak otworzył oczy. Był otepiały od lekarstwa, ale wydawał się spokojniejszy i oddychał łżej.

- Gdzie po raz ostatni widziałeś Bayarda? - powtórzył pytanie Armand.

- Nie pamiętam - mówił tamten resztkami sił, z wykrzywioną bólem twarzą. - Łajdak... powinien... chciałem... przeklęty łajdak.

- Richard, jeśli chcesz mieć nadzieję na zbawienie duszy, to powiedz mi, gdzie po raz ostatni widziałeś mojego brata?

Umierający odwrócił się i z nieoczekiwaną siłą pochwycił dłoń kobiety.

- Ktoś inny... nie ja... to jego szukacie... to on...

- Kto? - zapytała z desperacją. - Czy to on schwytał Bayarda?

Nie odpowiedział. Zamknął oczy, jego ciało rozluźniło się i dłoń wysunęła się z dłoni Gillian. Wykrzywił się jeszcze w śmiertelnym grymasie, gdy reszta powietrza umykała z jego płuc, a potem znieruchomiał.

Zbyt ogłuszona, by się poruszyć, lady d'Averette podniosła wzrok na Armanda.

- O kim on mówił? O Lindallu czy o kimś innym?

Boisbaston podniósł się i z całej siły kopnął hełm Richarda wzdłuż strumienia.

- Przekłęte, zdradzieckie dranie. Obawiałem się, że ta konspiracja jest bardziej rozległa, niż nam się wydawało. Słyszałem coś, zanim wyjechaliśmy z dworu. Plotki, że jakiś

lord z Midlands może za tym stać.

- Jaki lord?

- Na razie nie wiadomo, ale dowiemy się, na Boga, dowiemy się.

Twarz Armanda złagodniała. Obszedł dokoła ciało d'Artage'a i pomógł Gillian wstać.

- Jeśli chcesz wrócić do Averette, to...

- Nie, nie - zaprotestowała. Odzyskała już równowagę i zdolność podejmowania decyzji. - Chcę dalej szukać Bayarda.

Skinął głową, po czym przywołał Toma i jeszcze jednego żołnierza.

- Zabierzcie ciało do zamku. Powiedźcie mojej pani...

- Lady Gillian! Lordzie Armandzie!

Robb, stojący po drugiej stronie strumienia, szaleńczo wymachiwał do nich ramionami.

- Jest tutaj! Sir Bayard jest tutaj!

- Bogu dzięki! - wykrzyknęła kobieta z radością. Ale czy żył, czy był martwy? Żyje, powiedziała sobie, sięgając po torbę z lekami i modląc się z desperacką nadzieją, musi żyć. Boże, spraw, żeby żył.

Ruszyła przed siebie tak szybko, że potknęła się o kamienie i omal nie wpadła do lodowatego strumienia. Jej towarzysz jednak pochwycił ją za ramię i pociągnął za sobą. Po chwili stanęli oboje obok Robba.

Ranny rycerz siedział oparty plecami o drzewo, przytrzymując prawą rękę lewą. Był niemal tak samo blady jak Richard. Kora drzewa poznaczona była śladami krwi. Widocznie opierał się o nie, nim osunął się na ziemię.

- Bayard! - zawołała Gillian. Upuściła torbę i opadła obok niego na kolana. - Och, Bayard!

Łagodnie ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała. Skórę miał ciepłą, ale nie rozpaloną. Żyje, i Bogu dzięki nie ma gorączki, myślała, wyciskając kolejne pocałunki na jego czole i policzkach.

- Bogu dzięki, że żyjesz. Nigdy więcej mnie nie opuszczaj. Ja nie zostawię cię nigdy, obiecuję.

Wyciągnął lewą rękę ku jej twarzy.

- To dobrze. Ja też cię nie opuszczę. Chcę, żebyśmy zawsze byli razem.

Armand odchrząknął, ale zignorowali go i całowali się, aż w końcu ranny syknął z bólu. Gillian natychmiast się cofnęła.

- Twoje uściski są niezmiernie przyjemne, ale mam złamane ramię - wyznał.

Przepełniona poczuciem winy i uniesieniem, sięgnęła po torbę.

- Czy masz jeszcze jakieś rany?

- W plecach, po strzale. Oczywiście, widziała przecież krew.

- Czy to głęboka rana?

- Nie. Boli jak diabli i straciłem trochę krwi, ale nie jest groźna - mruknął, choć jego

słaby głos przeczył słowom. - Zabierzcie mnie z powrotem do Averette, a wkrótce wyzdrowieję. - Podniósł wzrok na Armanda i dodał słabnącym głosem: - Gdzieś tam jest Richard. Musicie go znaleźć. On nam powie, kto przewodzi zdrajcom.

- Mniejsza o niego - powiedziała Gillian. - Zabieramy cię do domu, do Averette.
- Tak - szepnął i przymknął oczy. - Chcę wrócić do domu, do Averette.

Rozdział dwudziesty piąty

W jakiś czas później Bayard otworzył oczy i uświadomił sobie, że choć bolą go plecy i ramię, to leży na czystym prześcieradle, a przed oczami ma znajomą kotarę łóżka w Averette. Było mu ciepło i sucho, choć chciało mu się pić, jakby przeszedł przez pustynię.

Komnata oświetlona była migoczącym światłem woskowej świecy. Po raz pierwszy od chwili, kiedy spadł z konia, przyszło mu do głowy, że może jednak nie umrze.

Nie pamiętał jednak, jak się tu dostał. Przypominał sobie walkę z Richardem, pościg, upadek z konia, wędrówkę w ciemności i pewność, że samotnie dokończy żywota, a potem pocałunek Gillian. Widocznie jakoś go znalazła. Mógł sobie wyobrazić jej determinację w poszukiwaniach.

Czy Armand też tam był, czy tylko mu się to przyśniło? Co się stało z Richardem i pozostałymi najemnikami?

Czyjeś ramię otoczyło jego barki, ktoś pomógł mu usiąść i znajomy głos powiedział:

- Wypij to powoli i nie próbuj jeszcze mówić.
- Gillian - wychrypiał. Spojrzał na jej twarz i poczuł, że szczęście obmywa go jak ciepła woda.

- Tak, to ja. A teraz proszę, kochany, nie ruszaj się i wypij tę miksturę. To ci pomoże.

Wolałby ją pocałować, ale brakowało mu sił, by się podnieść, więc zrobił, co mu kazała. Napar miał dziwny smak.

- To zmniejszy ból i pomoże ci wypocząć - wyjaśniła, opuszczając go znów na poduszki.

Lewą ręką pochwycił jej dłoń.

- Nie odchodź - szepnął przez wyschnięte gardło, czując przebiegające przez ciało fale bólu.

Odstawiła puchar na stolik obok łóżka, delikatnie rozplotła jego palce i usiadła na stołku na tyle blisko, że mógł ją widzieć, ale nie mógł dotknąć.

- Bayard, musisz odpocząć. Straciłeś dużo krwi i twoje kości muszą się zrosnąć. Na szczęście złamanie jest proste i poza tym nic poważniejszego ci się nie stało. Mimo wszystko powinieneś być ostrożny, aby wszystko dobrze się zagoiło. Na szczęście jestem pewna, że rana na plecach nie będzie się paskudzić, choć zostanie ci po niej blizna.

- Ile czasu minęło od bitwy?

- Dwa dni. No cóż, dwie noce - poprawiła się. - Jest już prawie świt.

Przyjrzał się jej i zauważył, że jest bardzo blada i wygląda na zmęczoną.

- Ty też powinnaś odpocząć.

- Wkrótce odpocznę. - Rzuciła mu lekki uśmiech. - Zapewniam cię, że nie odgrywałam roli męczennicy przy twoim łóżku. Dena zajmowała się tobą, gdy ja opatrywałam rany innych. Pewnie się ucieszysz, gdy ci powiem, że nikt z naszych ludzi nie zginął w walce.

Ucieszył się, ale w tej chwili bardziej interesowało go coś innego.

- Czy Armand tu jest?

- Tak. I Adelaide też. Przybyli do zamku po twoim wyjeździe. Siostra pomaga mi zajmować się gospodarstwem, a twój brat próbował odnaleźć pozostałych bandytów, żeby się dowiedzieć, kto ich tu przysłał.

- I jak mu poszło? Potrząsnęła głową.

- Znaleźliśmy tylko martwych. Jeśli ktokolwiek przeżył, to uciekł stąd bez śladu. Ale dość tej rozmowy o bitwie - dodała z uśmiechem. - Jesteśmy już bezpieczni. Armand opowiedział mi o tobie kilka interesujących historii.

Policzki Bayarda pokryły się rumieńcem.

- Mogę sobie to wyobrazić. Mówiłem ci przecież, że byłem młody i głupi.

- Ale to były same dobre rzeczy - zapewniła go. - Teraz będę cię kochać jeszcze mocniej, choć wydawałoby się, że to niemożliwe.

Poczuł ulgę i pogładził ją po dłoni.

- A co z Richardem? - zapytał. - Czy jemu też udało się uciec?

Wzięła go za rękę i pocałowała.

- Nie żyje.

Bayard poczuł, że ma ciężkie powieki. Ból zaczął się zmniejszać. Miał wrażenie, że unosi się w powietrzu.

- A Lindall?

Gillian położyła dłoń na jego piersi.

- Porozmawiamy o tym, gdy poczujesz się lepiej. Śpij teraz, kochany, później przyniosę ci coś do jedzenia. Armand też już powinien wtedy wrócić.

* * *

Gdy znów się obudził, był jasny dzień. Do komnaty wpadało popołudniowe słońce. Plecy bolały go mniej, ramię również. Usłyszał, że ktoś krząta się w pobliżu. Podniósł głowę i zobaczył Gillian, która uprzątała brudne bandaże. Na stole stało otwarte gliniane naczynie, a w powietrzu unosił się miętowy zapach.

Uświadomił sobie, że ten zapach pochodził od niego. Może niezupełnie od niego, raczej od jakiejś maści, którą jego opiekunka posmarowała mu rany. Przez chwilę obserwował w milczeniu jej zręczną krzątanicę.

W końcu obróciła się i zauważyła jego spojrzenie.

- Nie przeszkadzaj sobie - powiedział. Gardło również mniej go już bolało. - Patrzenie na ciebie sprawia mi przyjemność.

- A ja lubię patrzeć na ciebie, gdy odpoczywasz - odrzekła z uśmiechem, podchodząc do niego. - Kiedy śpisz, wyglądasz bardzo niewinnie.

- A kiedy nie śpię?

- Trochę mniej niewinnie.

- A czy ty spałaś choć trochę?

- Tak, gdy już byłam pewna, że wyzdrowiejesz - odpowiedziała, siadając na stołku przy łóżku i odsuwając pasmo włosów z jego czoła. - Nie masz gorączki ani zakażenia. Gdy tylko twoje ramię się zrośnie, będziesz tak samo zdrowy jak wcześniej.

- Dzięki tobie.

- I dzięki Robbowi, który cię znalazł, i dzięki Armandowi, który przywiózł cię tutaj, trzymając przed sobą na siodle. Niedługo powinien tu być. Powiedziałam mu, że wkrótce się obudzisz. Czy chciałbyś coś zjeść? Jest chleb, cydr i ser. Umberto codziennie od twojego powrotu przygotowuje świeży gulasz wołowy.

- Gillian, ja...

- Oczywiście, nie możesz jeść na leżąco. Chodź, pomogę ci się podnieść.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, znalazła się obok niego i pomogła mu usiąść. Było to bardziej bolesne, niż przypuszczał.

- Przepraszam, starałam się być delikatna - rzekła, znów siadając na stołku. - Zastanawiałam się, czy twoim zdaniem Frederic naprawdę próbował cię ostrzec, czy tylko chciał cię wciągnąć w pułapkę. Wiem, że trafiła go strzała, ale przypuszczam, iż Richard wolał go zabić, gdy chłopak już wypełnił swoje zadanie.

- Myślę, że on szczerze chciał nam pomóc - odparł Bayard z przekonaniem.

- Przykro mi, że nie żyje, ale cieszę się, że miał honorową śmierć - westchnęła. - Znalezione ciało węglarza. D'Artage zabił go i zabrał jego wóz.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Mam nadzieję, że to już ostatni. Może teraz nasi wrogowie dwa razy się zastanowią, zanim zdecydują się wystąpić przeciwko nam.

- Ja też mam taką nadzieję - odpowiedziała. - Nie musimy się też martwić o Lizette. Adelaide dostała od niej list. Nasza siostra chorowała, ale Iain jest razem z nią i wracają już do domu. Powinna tu dotrzeć za kilka dni.

Sięgnął po jej dłoń i uścisnął mocno.

- A więc, Gillian, jesteśmy cali i bezpieczni. Co teraz stanie się z nami?

Ona też się nad tym zastanawiała i w tym okropnym i niekończącym się czasie, gdy nie była pewna, czy Bayard żyje, czy zginął, zdążyła podjąć decyzję. Niektórzy sądziliby zapewne, że jest to zła, a nawet grzeszna decyzja, jednak ona z całego serca wierzyła, że czyni słusznie.

- Tak się bałam, że cię stracę, że nigdy cię już nie zobaczę - powiedziała. - Nie mogłam znieść tej myśli. Chcę zawsze być z tobą, gdziekolwiek się udasz i cokolwiek będziesz robił. Jeśli nie mogę być twoją żoną, to trudno. Ważne jest tylko to, bym była przy tobie, jeśli ty też tego chcesz.

- Pamiętam, co obiecałaś, gdy mnie znalazłaś. Ja też złożyłem ci wtedy obietnicę - powiedział i poczuł okropny ból w sercu. W pełni zasługiwała, by zostać żoną najlepszego z ludzi, a on nie mógł jej tego dać. - Gillian, nie mogę cię prosić o takie poświęcenie. Powinnaś...

- Ty albo żaden - powiedziała stanowczo, ale w jej oczach błysnął niepokój. - Chyba że już mnie nie chcesz.

- Ja miałbym cię nie chcieć? Na rany Boga, potrzebuję cię tak bardzo jak powietrza do oddychania i wody do picia, ale nie możemy wziąć ślubu. Kościół...

- I tak będę z tobą, zawsze i wszędzie - powtórzyła z przekonaniem, bowiem była już zupełnie pewna, że jej miłość do Bayarda jest głębsza, silniejsza i daje jej więcej satysfakcji niż miłość do Averette.

- Zostawiłabyś Averette, by być ze mną?

- Zrobiłabym wszystko, by być z tobą. Przecież cię kocham.

- Ja też cię kocham z całego serca. Uniósł jej dłoń do ust i pocałował.

- Moje życie bez ciebie byłoby puste - szepnął.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Chory zaklął pod nosem, a Gillian zarumieniła się. Do komnaty wszedł Armand w towarzystwie żony. Na twarzy miał uśmiech, jaki jego brat rzadko u niego widywał.

- Ależ nas przestraszyłeś, ty stary ośle. Dlaczego, do diabła, nie poczekałeś na pomoc? To było niepotrzebne ryzyko ścigać w ten sposób Richarda.

- Nie chciałem, żeby uciekł.

- W ogóle nie myślałeś. Mogłeś zginąć.

- Ale nie zginąłem - odparł Bayard, śmiejąc się.

- Tylko dzięki Gillian.

- Tak - potwierdził, chwytając ją za rękę. - Dzięki Gillian.

Adelaide stanęła obok męża. Rzeczywiście była piękna i inni mężczyźni, patrząc na obydwie siostry, zapewne doszliby do wniosku, że młodszy brat zdobył serce tej mniej urodziwej. On jednak wiedział swoje, choć nigdy nie powiedziałby tego Armandowi.

Spojrząwszy na ich połączone dłonie, Adelaide delikatnie odchrząknęła.

- Niezmiernie się cieszę, że dochodzisz do siebie, ale muszę zapytać... - zawahała się. - To znaczy martwię się o...

Starszy z Boisbastonów popatrzył na żonę z niepokojem. Nagle w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

- Armandzie, możesz sobie wziąć Averette - odezwała się Gillian z triumfalnym

uśmiechem na twarzy, na widok którego Bayardowi zaparło dech w piersiach. Ja i twój brat kochamy się i pojedę za nim wszędzie, gdziekolwiek się uda.

- Jesteś zakochana i chcesz opuścić Averette? - wykrzyknęła Adelaide z niedowierzaniem, przy czym widać było, że bardziej ją dziwi to drugie niż to pierwsze.

- Jeśli to konieczne, bym mogła być z Bayardem - oświadczyła jej siostra. - Kocham go i chcemy być razem, nawet jeśli nie możemy wziąć ślubu.

Spojrzenie Armanda wędrowało od jednej twarzy do drugiej.

- Na rany Boga, Bayardzie. Nigdy nie sądziłem... nie przypuszczałem...

Alabastrowe czoło jego żony zmarszczyło się z troską.

- Chcecie żyć w grzechu?

- Z przyjemnością - odpowiedzieli obydwójce jednocześnie, z równą determinacją.

- Prawo kanoniczne na razie zabrania takich małżeństw - powiedziała Adelaide powoli, siadając na skraju łóżka - ale może nie zawsze tak będzie. Słyszałam, że kilku szlachciców i dostojników kościelnych próbuje to zmienić. W niektórych wioskach te ograniczenia doprowadziły do tego, że wszelkie małżeństwa stają się niemożliwe. Szlachetnie urodzeni zaś chcą mieć większe możliwości jednoczenia swych rodzin. Słyszałam, że papież patrzy na ten projekt przychylnym okiem, ale dopóki to prawo nie zostanie zmienione...

- Bez względu na to, czy prawo na to zezwala, czy nie, będziemy razem. Jeśli nie tu, to gdzieś indziej - oświadczył Bayard. - Nic nie mogłoby uczynić mnie szczęśliwszym niż małżeństwo z Gillian, zwłaszcza gdyby Bóg zechciał obdarzyć nas dziećmi, i przykro mi, że jej reputacja musi na tym ucierpieć. Moja i tak nigdy nie była zbyt dobra. Uważano mnie za cygańskie dziecko, a potem za cygańskiego kochanka.

- No właśnie! - wykrzyknęła Gillian i zerwała się na nogi, bowiem w jej umyśle objawił się naraz sposób na to, by mogli mieć ślubne potomstwo. - Musielibyśmy powiedzieć, że jesteś bękartem, Bayardzie, ale mógłbyś przy tym utracić swoje dobra.

- O czym ty mówisz? - zapytała Adelaide zdziwiona.

- Powiedzieć, że jest bękartem? - powtórzył Armand, równie zaskoczony. - Doskonale wiem, że nie jest. Byłem przy jego narodzinach, choć nie w tej samej komnacie - wyjaśnił. - Bez względu na to, co ludzie gadali, wiem na pewno, że nie został zamieniony z innym dzieckiem.

Młodszy z braci jednak zrozumiał już, co proponuje Gillian.

- Ale jeśli ja sam oświadczę, że jestem bękartem, że moja matka naprawdę ukradła lub kupiła dziecko, które miało zastąpić jej własne, martwo urodzone, to wówczas nie będę twoim bratem przyrodnim. Nie będziemy w ogóle spokrewnieni. A wtedy Gillian i ja będziemy mogli wziąć ślub!

- To niedorzeczne! - zawołał Armand. - Chcesz ogłosić, że przez te wszystkie lata udawałeś szlachcica? W najlepszym wypadku król Jan wtrąci cię do lochu i przejmie twoje posiadłości na rzecz korony.

- Niekoniecznie - pokręciła głową Adelaide z oczami błyszczącymi z podniecenia. - Król tego nie zrobi, jeśli Bayard sam zaoferuje mu te posiadłości jako rekompensatę za oszustwo, które dopiero teraz odkrył i o którym nic wcześniej nie wiedział. Możemy powiedzieć, że niedawno znalazł pomiędzy dokumentami matki wyznanie, które wcześniej pozostawało ukryte.

- Adelaide mogłaby je napisać - zasugerowała Gillian.

- Na rany Boga, to chyba mogłoby się udać - powiedział Bayard z uszczęśliwionym wyrazem twarzy.

- Mnie też się tak wydaje - przytaknęła mu szwagierka. - Zwłaszcza jeśli przez małżeństwo zostaniesz kasztelanem na Averette. Wówczas Jan będzie pewien, że ma oddaną sobie twierdzę w Kent, a to powinno być dla niego wiele warte w sytuacji, gdy z dnia na dzień traci lojalność kolejnych baronów. Byłaby to również dla niego szansa na wykazanie się wspaniałomyślnością, która nic by go nie kosztowała, a nawet pozwoliłaby mu przejąć nowe posiadłości; mógłby nimi obdarować swoich popieczników. Ten pomysł powinien mu się spodobać.

Armand pogłodził się po brodzie.

- Na Boga, zdaje się, że macie rację. To mogłoby się udać. O ile, mój bracie, nie przeszkadza ci, że będziesz uchodził za bękarta i utracisz posiadłości matki.

Bayard jeszcze nigdy w życiu nie czuł się szczęśliwszy. Jeśli chodziło o ziemię, które i tak rzadko odwiedzał, to chętnie i bez żalu gotów był je oddać za możliwość pozostania w Averette.

- Nie przeszkadza mi to w najmniejszym stopniu, jeśli dzięki temu uda mi się wziąć ślub z Gillian i będziemy mogli żyć tutaj razem. Bóg jeden wie, że słyszałem już w życiu gorsze obelgi niż bękart. Aby zostać mężem tej damy, gotów byłbym na większe wyrzeczenia.

Armand de Boisbaston uśmiechnął się w końcu.

- W takim razie sądzę, że moja żona powinna zacząć układać to wyznanie.

Epilog

Siedząc w bawialni swojego zamku, lord Wimarc de Werre zmiął kawałek pergaminu w wypielegnowanej dłoni i wrzucił go w płomienie. Pergamin skurczył się, krawędzie chwyciły ogień i wkrótce izba wypełniła się zapachem palonej skóry, a wiadomość zmieniła się w popiół. Grymas na twarzy lorda zniknął, gdy w drzwiach pojawił się człowiek, po którego posłał.

- Chciałeś mnie widzieć, panie? - zapytał Lindall z wzrokiem rozbieganym jak schwytna w pułapkę łasica.

- Tak, wejdź i usiądź.

Wciąż niespokojny, dawny zastępca komendanta w Averette wsunął się do komnaty i przycupnął na skraju misternie rzeźbionego krzesła, jakby się obawiał, że może się ono pod nim złamać.

Wimarc złożył razem długie, ozdobione klejnotami palce i przez chwilę wpatrywał się w żołnierza.

- Może zainteresuje cię wiadomość, że te plotki o pochodzeniu Bayarda okazały się prawdziwe. On nie jest synem Raymonda de Boisbastona.

Lindall szeroko otworzył oczy.

- Jest bękartem?

- Tak. Według słów mojego przyjaciela, który przebywa na dworze, Bayard właśnie przyznał, że jego matka straciła dziecko przy porodzie i kupiła w zamian inne. I to właśnie on jest tym kupionym dzieckiem.

Na pospolitej twarzy Lindalla pojawił się szeroki uśmiech.

- Czy wyznał to podczas tortur?

- Nie. Twierdzi, że dowiedział się o tym dopiero niedawno, toteż nasz wspaniałomyślny władca postanowił nie wtrącać go do lochu - rzekł Wimarc z sarkazmem. - A ponieważ Janowi potrzebny jest lojalny lord w Kencie, wielkodusznie nakazał, by Bayard ożenił się z Gillian d'Averette i objął władzę nad zamkiem. Bez wątpienia wpływ na tę decyzję miało to, że jako rekompensatę ten bękart zaoferował królowi swoje dobra odziedziczone po matce. Nie bez znaczenia było także wstawiennictwo Armanda Boisbastona i jego pięknej żony.

- Sir Bayard ożeni się z lady Gillian? - zapytał Lindall z niedowierzaniem.

- Na to wygląda.

Żołnierz skrzywił się i potrząsnął głową.

- Nie wierzę w to.

- Niestety, do tego małżeństwa nie jest wymagana aprobatą ani moja, ani twoja, jedynie króla. To wielkie nieszczęście, że Bayard pozostał przy życiu, a Richard zginął.

Na górnej wardze zdradzieckiego woja pojawiły się kropelki potu.

- Robiłem, co mogłem, panie. Obydwaj zniknęli po bitwie. Zabiłem wszystkich rannych spośród twoich ludzi, których udało mi się znaleźć, żeby nie mogli cię wydać.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny i zostałeś już za to wynagrodzony - zauważył Wimarca. - Faktem jednak jest, że Boisbastonowie nadal żyją i służą temu idiocie, naszemu królowi, a jeśli moje plany mają doprowadzić do sukcesu, to obydwaj muszą zginąć. I do tego właśnie jesteś mi potrzebny.

- Chcesz, panie, bym ich zabił? Nie jestem zabójcą. Zadawanie śmierci w bitwie to co innego, ale podkraść się do kogoś w pojedynkę...

- Na szczęście nie takie zadanie chcę ci wyznaczyć. Żołnierz znów się rozluźnił i przesunął dłonią po czole.

- Młodsza siostra Gillian i Adelaide, Elizabeth, zmierza właśnie w stronę Averette. Chcę, żebyś wziął dwudziestu ludzi, znalazł ją i przywiózł tutaj.

Lindall z trudem przełknął ślinę.

- To nie będzie łatwe, panie. Pojechał po nią Iain Mac Kendren...

- I podobno ją znalazł - przerwał mu Wimarca. - Rozumiem, że powrót do Averette opóźnił się, gdyż dama zachorowała.

Odwiązał ciężką sakiewkę od pasa i rzucił ją żołnierzowi.

- Pięćdziesiąt marek. I drugie pięćdziesiąt, kiedy przywieziesz mi Lizette.

Zdrajca pochylił się i podniósł swoją zapłatę. Usta lorda Wimarca skrzywiły się w złośliwym uśmiechu.

- Słyszałem, że ona ma piękny głos. Chciałbym, żeby mi zaśpiewała.

